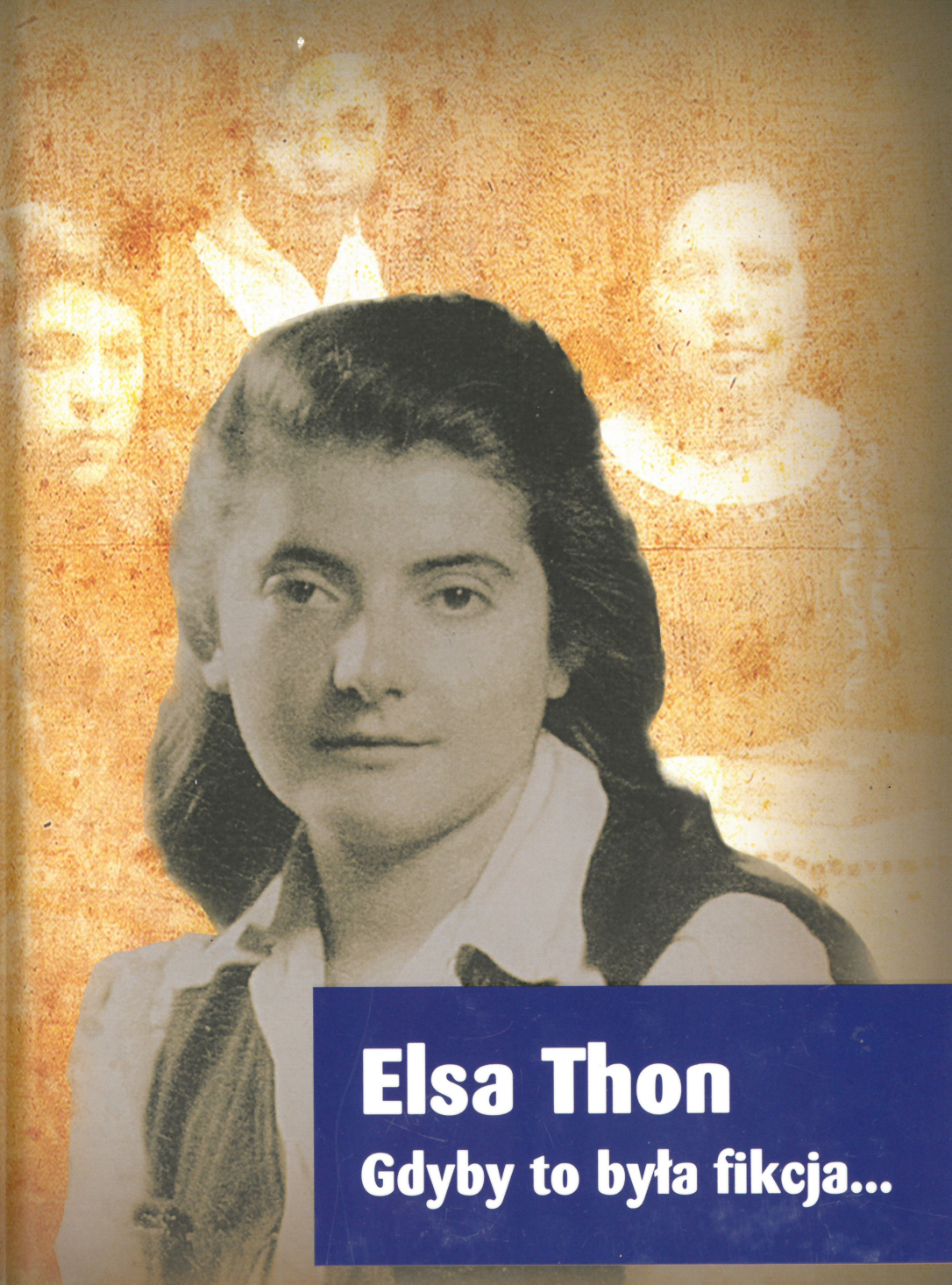

Elsa Thon

Gdyby to była fikcja...

Elsa Thon

Gdyby to była fikcja...

Elsa Thon

Gdyby to była fikcja...

Przekład
Anna Maziarska

Książnica Pruszkowska
im. Henryka Sienkiewicza
2015

Tytuł oryginału: If Only It Were Fiction

Copyright © 2013 The Azrieli Foundation and others

Copyright © for Polish edition by Książnica Pruszkowska im. Henryka Sienkiewicza, 2015

Copyright © for Polish translation by Anna Maziarska

Projekt okładki: *Michał Bernaciak*
Redakcja: *Katarzyna Zegadło-Gałecka*
Korekta: *Zespół*
Skład i łamanie: *Beata Włodarczyk*
Organizacja produkcji: *Rachocki i S-ka, Pruszków*

Publikacja została sfinansowana przez Urząd Miejski w Pruszkowie

ISBN 978-83-62144-36-5

Wydanie pierwsze

Książnica Pruszkowska im. H. Sienkiewicza
ul. Kraszewskiego 13
05-800 Pruszków
tel. 22 758 47 39
tel./fax 22 730 10 80
e-mail: ksiaznica_pruszkowska@biblioteka.pruszkow.pl

Wstęp od wydawcy polskiego

W naszej serii wspomnień pruszkowiaków z dużą satysfakcją ale i z pewnym niepokojem prezentujemy po raz pierwszy literaturę przekładową. Niezwykła to książka i niezwykłe świadectwo – jak niezwykła jest historia jej autorki.

Elsa Thon (Balbinka Synalewicz) – urodziła się w Pruszkowie 10 stycznia 1923 roku. Tu dorastała, uczyła się – najpierw w szkole im. Józefa Piłsudskiego, następnie w szkole im. Tadeusza Kościuszki. Jak sama wspomina, patriotyczne uczucia do Polski odziedziczyła po ojcu, a szkoła tę miłość do ojczyzny umacniała. Pierwsze sympatie, fascynacje i zainteresowania związała z naszym miastem. Pruszków tego okresu przez nią malowany, to świat ciepłych, pastelowych barw, dziecięcych zabaw i radości.

Dzieciństwo jej skończyło się nagle, szybko i brutalnie – 1 września 1939. Z tą chwilą wspomnienia Autorki mogą posłużyć za kanwę scenariusza filmu sensacyjnego, choć lepiej może powiedzieć – dramatu. Getto pruszkowskie, getto warszawskie, szczęśliwy epizod z kibucem, który – być może – uchronił ją od najgorszego.

Życie „na fałszywych papierach" i udział w konspiracji nie mogło trwać długo. Donos, gestapo, obóz w Płaszowie a potem w Skarżysku-Kamiennej i wreszcie wyzwolenie. Cudem uniknęła losu większości swoich pobratymców. Straciła jednak ukochanych rodziców, siostrę, a także większość krewnych. Jej przeznaczone było przeżyć.

Wspomnienia Elsy Thon, to opowieść o odwadze, grozie, wytrzymałości i odrobinie szczęścia, które umożliwiło jej przetrwanie.

Dziękujemy Autorce, że zechciała się nimi z nami podzielić.

Dziękujemy także naszym kanadyjskim przyjaciołom z Azrieli Foundation, a zwłaszcza Arielle Berger i Ericowi Bélisle za życzliwość i pomoc w przygotowaniu tej książki.

Brzydkim i głupim najprzyjemniej na tym świecie. Mogą sobie spokojnie siedzieć i przyglądać się zabawie. Jeśli nic nie wiedzą o zwycięstwie, to bywa im też zaoszczędzona świadomość klęski.

Oskar Wilde, *Portret Doriana Graya* (przełożyła Maria Feldmanowa)

Serce się krwawi na myśl o boleściach

William Szekspir, *Burza* (przełożył Leon Ulrich)

Dziękuję moim dzieciom, Soni i Natanowi, które wspierały mnie i namawiały do pisania dalej, kiedy już zaczęłam tę książkę.

Gorąco dziękuję też mojej synowej Lucii za to, że nauczyła mnie, jak ułatwić sobie pracę, korzystając z komputera, a także moim wnukom: Naomi, Jonatanowi i Joszui za ich miłość.

Dziękuję memu mężowi, Mayerowi, za czas, który – jego kosztem – spędziłam na pisaniu.

Dziękuję wam wszystkim. Kocham was.

Ku pamięci matki mego ojca, Ity-Baili Litman Synalewicz

To fikcyjny fragment dziennika mojej babci. Prawdziwe są w nim fakty, wiele razy wspominane przez moją mamę.

Sierpień 1921
O, Wszechmogący! Nie wysłuchałeś moich modlitw. Czterej synowie zabici na służbie, w obronie Polski! Czuję ból w środku. Cierpię. Boże! Czterej chłopcy, dobrzy i zdrowi. Za każdym razem, kiedy siadam do pisania, o nich myślę. Cóż za kara! Patrzę na wdowy po nich i na ich dzieci dorastające bez ojców. Moje rany wciąż się otwierają na nowo. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby moje synowe powtórnie wyszły za mąż – wciąż są młode. Widziałam ich łzy. Ale zachowują wierność przysiędze.

Sierpień 1922
Odwiedziłam dziś Sonię, żonę mojego najmłodszego syna, Nachmana. Wrócił z wojny z żoną i córeczką. Lubię ją; jest wykształcona i mądra. Dobra żona dla mojego syna. Teraz jest w ciąży z drugim dzieckiem. Sonia tęskni do swoich w Rosji. Nie widziała ich od dwóch lat. Pierwszej córeczce dała na imię Regina, po matce, Icie-Ryfce. Teraz zastanawia się nad imieniem dla drugiego dziecka. Powiedziałam jej, żeby się nie martwiła. Znajdzie imię, kiedy dziecko się pojawi. Wiem, że dotrzymam obietnicy. Będzie o mnie pamiętać dzięki dziecku. Jestem zmęczona cierpieniem. Słabnę z wiekiem. Boże! Dlaczego są wojny?

Na Dzień Pamięci

Pamięci tych wszystkich, którzy zaginęli
i nie mają swych miejsc, gdzie by ich wspominano.

Ciche pokoje, rozerwane gniazda,
Puste kołyski, które kryje kurz.
Młodzi, szlachetni – nie ma po nich śladu.
Już zapomniani, dziś niewspominani.
Gdzie są?

Powietrze ciężkie, słońce gdzieś zniknęło,
Śmiech zamilkł; ich lamentu też nie słychać;
Ich łzy, ich strachy; nie ma dla nich chwały.
Przeżyli koszmar; dziś niewspominani.
Gdzie są?

Wstyd mają w oczach i drogę cierpienia;
Bezradni, opuszczeni. Ich dusze uleciały.
Trudno pogodzić się z tym, że tak wielu odeszło.
Nie mają imion, wytarto ich ze spisów...
Gdzie są?

Miłość jest mitem, imiona spłukane,
Nic nie pozostało po ich życiu,
Nikt nie wspomina ich dzisiaj.
Uleciały wspomnienia, nie ma grobów, przy których
można zapłakać,

Nie ma gdzie złożyć kwiatów ani się pożegnać...
Gdzie oni są?

Drżące wargi wymawiają ich imiona,
Nie pamięta się o nich dzisiaj,
Zapomina.
A jednak w naszych sercach zostaną na zawsze.
Wciąż opłakujemy ich w bólu...
Gdzie oni są?

Przedmowa autorki

Przez pół wieku zachowywałam swoje wspomnienia tylko dla siebie, aż nagle uznałam, że skumulowany ból, który we mnie tkwi, staje się coraz trudniejszy do zniesienia. Dlatego przelałam na papier fakty z tamtych pięciu lat. Opisuję w tej książce przygody, uwikłania i rzeczy przerażające – życie w ukryciu, na fałszywych dokumentach, nędzę obozów pracy i potworne warunki przymusowych marszów.

Jak już pisałam, trudno znów przywoływać z pamięci okropności wojny; jeszcze raz przeżywać tak straszne emocje, rozdzierające serce i wtedy, i teraz. Jestem zarówno świadkiem, jak i ofiarą upodlenia człowieka. Wiem, że nic nie zmieni ani nie zagoi moich ran. Mam nadzieję jednak, że moja historia w jakiś sposób stanie się nauką dla wszystkich, którzy ją przeczytają.

Jest to też, na swój sposób, historia pewnego okresu, dlatego starałam się przedstawiać fakty w chronologicznym porządku. Odtwarzałam wydarzenia tak dokładnie, jak potrafiłam, choć oczywiście we wspomnieniach spraw sprzed pięćdziesięciu lat błędów nie da się uniknąć. A ponieważ rzadko wtedy czytałam gazetę, patrzyłam na kalendarz czy zegar, często musiała mi wystarczyć tylko zapamiętana pora roku, dnia albo nocy.

Podczas pracy wracałam pamięcią przede wszystkim do rodziców i siostry. Z wielkim szacunkiem wspominam wszystkich, których znałam – i tych, co zginęli, i tych, co przetrwali. Moim obowiązkiem jest opisać, jak żyli i jakie po sobie pozostawili dziedzictwo honoru, prawości, miłości i szacunku. Jestem im to winna.

Pełno we mnie wspomnień o rodzicach i siostrze. Chcę na zawsze zachować ich żywy obraz, opisać ich liczne przygody, dobre i złe. Może zdołam przekazać ich portret moim dzieciom i wnukom, by pamiętały o nich przyszłe pokolenia. Śpieszę się... czasu coraz mniej, a moja pamięć nie jest już tak sprawna jak kiedyś. Być może pewne wydarzenia blakną, ale zrobię wszystko, co w mojej mocy. Tylko ja jedna zostałam, by ich historię opowiedzieć.

Dziwnymi drogami chadza pamięć; zastanawiam się, jak po tylu latach z takiego oddalenia potrafię wyobrazić sobie ojca siedzącego przy stole, matkę, która wychodzi z kuchni i podaje kolację; siostrę i siebie po przeciwnych stronach stołu. Zapamiętałam pokój, gdzie się urodziłam, i wszystkie meble, choć nie miały wielkiej wartości. Dziś zdaję sobie sprawę, że tylko moja rodzina była skarbem – cała reszta nie ma znaczenia.

Wciąż widzę też Pruszków, miasto, w którym dorastałam; ulice pełne ludzi, sklepy, domy, szkoły, aleję, gdzie chodziłam na spacery. Obrazy przewijają się przed moimi oczami jak na ekranie filmowym. Mogę znaleźć się w każdym miejscu miasta, gdzie tylko zechcę; pamiętam ludzi i ich mieszkania. Mam obowiązek pamiętać i opisać to wszystko i przywołać tyle wydarzeń, ile tylko zdołam.

Wciąż zadaję sobie pytanie, dlaczego mam taką obsesję na punkcie przeszłości, ale znam odpowiedź – tęsknię. Nikt z mojego otoczenia nic nie wie o tamtych dniach mojego życia, dlatego chcę zatrzymać te widoki, by odzyskać utraconą przeszłość.

Kiedyś, podczas wizyty w Izraelu, bawiłyśmy się z przyjaciółką w przypominanie sobie Pruszkowa. W wyobraźni chodziłyśmy ulicami i wyliczałyśmy ludzi, którzy kiedyś tam mieszkali. Była to wielka przygoda. Skończyła się jednak łzami. A mimo to nadal uważam, że dobrze jest pamiętać. Przeszłość jest przewodniczką dla przyszłości, a wartości wpojone w dzieciństwie zostały we mnie jako dowód moich korzeni i potwierdzenie tożsamości.

Kiedy bardzo powoli i ostrożnie pisałam pierwszą część książki, dotykałam delikatnych spraw, które chroniłam w sobie przez wiele lat. Mimo upływu czasu wciąż noszę w sobie ciężar wspomnień. Nie chcę wymazywać tych obrazów z mózgu. To wszystko, co zostało mi z przeszłości, zachowuję więc to z miłością i szacunkiem. Wreszcie, po upływie pół wieku samotność, moja prawdziwa towarzyszka przez wiele lat, zmusiła mnie do napisania tego pamiętnika.

Sądzę, że przeżyłam tylko dlatego, że miałam szczęście – a może dzięki serii cudów. Inaczej nie potrafię tego wytłumaczyć. Czy takie było moje przeznaczenie, że mam zostać sama, podczas gdy moja rodzina zniknie bez śladu? Blizny są bolesne, a urazy nie do uleczenia.

Elsa Thon
2006

Historia mówiona

Kiedy byliśmy bardzo młodzi, a o telewizji jeszcze nikt nie słyszał, bajki się opowiadało, a nie czytało. Razem z Reginą, moją siostrą, siadywałyśmy przy stole spragnione bajek ojca. Tata, jowialny z natury, snuł je ochoczo. Był kopalnią wiadomości, swoich własnych i historycznych. W miarę jak dorastałyśmy i w jego opowieściach pojawiało się coraz więcej szczegółów, coraz lepiej rozumiałyśmy ich polityczny i historyczny kontekst, a nasze pytania stawały się bardziej wnikliwe. Oboje rodzice z entuzjazmem opowiadali o swoich przeżyciach, kiedy tylko prosiłyśmy o kolejną historię. Fascynowały nas, więc czasem któraś z nich się powtarzała, za każdym razem z nowymi detalami. Kochali nas i choć ojciec liczył, że drugim dzieckiem będzie chłopiec, nie dziewczynka, nie zawiodłam go. Myślę, że dziś byłby dumny ze swojej młodszej córki.

Opowieści matki były równie zdumiewające jak ojcowskie. Z relacji ich obojga dowiadywałyśmy się, kim byli, a jednocześnie poznawałyśmy swoje korzenie sięgające staromodnego romansu wplątanego w politykę i historię. Doświadczyli zdrady, musieli walczyć, ale ich pragnienia przetrwały; przeżyli wiele dramatycznych sytuacji, by znów się połączyć. To normalne, że młodzi ludzie się zakochują. Tym, co zadziwia w historii moich rodziców, jest fakt, że rozdzieleni na wiele lat czekali i wierzyli, że znów będą razem. Prawdziwa love story.

Kiedy pytałyśmy ojca, dlaczego ożenił się z mamą, odpowiadał: „Bo była piękna". Mama na to samo pytanie odpowiadała: „Bo go kochałam".

Pod koniec XVIII wieku Rosja i sąsiednie Prusy oraz Austria podzieliły między siebie terytorium Polski i wymazały ją z mapy. Młodych mężczyzn z zagarniętych przez siebie ziem Rosja powoływała do wojska. I tak w 1910 roku mój ojciec, liczący sobie 21 lat, dostał wezwanie do odbycia obowiązkowej służby wojskowej w pobliżu Jekatierinosławia, który dziś nazywa się Dniepropietrowsk. Mój ojciec, Nachman Synalewicz, urodził się w 1889 roku w Grodzisku. Był wysoki, miał owalną twarz, regularne rysy, ciemne włosy i piwne oczy. Zawsze odznaczał się dobrą kondycją fizyczną.

Nauczono go dyscypliny, taktyki wojennej, posługiwania się bronią; uczył się też rosyjskiego. W domu śpiewał żołnierskie piosenki po rosyjsku. Czasami rozumiałyśmy słowa, ale nie pojmowałyśmy ich znaczenia. Pamiętam *Madeline*, bardzo popularną podczas I wojny światowej, przetłumaczoną potem na polski. Kiedy spytałyśmy ojca, czy podczas wojny zastrzelił żołnierzy wroga, odpowiedział: „Nigdy". Nigdy nikogo nie zabił. Podnosił lufę karabinu do góry i strzelał w powietrze. – Prosto w niebo? – pytałyśmy. – Tak – mówił. Nie lubił życia w koszarach. Nie mógł zmieniać ubrania, godzinami tkwił w okopach w okropnej pogodzie, strzelanina trwała nieustannie, a po kiepskie jedzenie trzeba było ustawiać się w kolejce. Był jednak młody i jakoś znosił niedogodności wojny.

W rosyjskim wojsku młodym żydowskim żołnierzom wolno było w dniach wielkich świąt, takich jak Rosz Haszana i Jom Kippur, modlić się w synagodze w Charkowie, blisko ówczesnego miejsca stacjonowania. Tam właśnie moi rodzice zobaczyli się po raz pierwszy. Oboje pamiętali to spotkanie i każde z osobna opowiadało dokładnie tę samą historię – miłość od pierwszego wejrzenia. Jak było w zwyczaju, modlili się, by nadchodzący rok przyniósł zdrowie i szczęście. Historia potoczyła się swoją drogą; zaczęły się też toczyć ich własne dzieje.

Moja Matka, Sonia Samojłowna Pisznow, urodziła się w 1886 roku w Rosji, w małym miasteczku pod Petersburgiem.

Jej ojciec był handlarzem zbożem; mieli swój dom i ziemię. W tamtych czasach zdarzały się straszliwe pogromy Żydów. Pod koniec XIX wieku car Aleksander III zaostrzył obowiązujące restrykcje co do miejsc zamieszkania Żydów i wysiedlił ich z St. Petersburga i Moskwy na tereny Białorusi, Litwy i Ukrainy. Zabroniono im posiadania ziemi i zajmowania się rolnictwem, co zmusiło ich do szukania innych sposobów utrzymania. Zostawali kupcami, rzemieślnikami, rękodzielnikami. Ale i to nie uchroniło ich przed wygnaniem. Taka sytuacja zmusiła dużą część ludności żydowskiej do emigracji.

Mój dziadek ze strony matki, Samuel Pisznow, jako przedsiębiorca mógł wprawdzie zostać, jednak świadomość zagrożenia okazała się trudna do zniesienia, dlatego Pisznowowie przeprowadzili się pod granice Ukrainy. Matka i jej starsza siostra Masza uczyły się w Beit Jakow, hebrajskiej szkole dla dziewcząt. Były jeszcze młodymi dziewczętami, kiedy zmarła ich matka, Ryfka. Ojciec nosił żałobę przez rok, po czym ożenił się z kobietą, która choć może dobra dla niego, źle traktowała jego dzieci.

Ta część historii mojej matki była smutna; pamiętam, że słuchając jej, płakałyśmy. Kochałyśmy matkę i wiedziałyśmy, że nie postąpiłaby wobec nas tak, jak zachowywała się jej macocha. W obronie przed nią obie z siostrą mocno się wtedy do siebie zbliżyły, ale były coraz bardziej nieszczęśliwe. W domu nic się nie zmieniło, dopóki dziewczynki nie zaczęły dorastać i macocha nie miała już odwagi dłużej z nimi walczyć. Masza poznała młodzieńca nazwiskiem Milichan i wyszła za niego za mąż. Przeprowadzili się do Charkowa, gdzie Żydom wolno było mieszkać. Masza rychło ściągnęła do siebie Sonię, której życie radykalnie się dzięki temu zmieniło – mieszkanie z siostrą nadawało mu sens. Sonia pracowała i chodziła na wykłady na uniwersytecie, co ją uszczęśliwiało, bo zaspokajało jej potrzebę zdobywania wiedzy.

Kiedy matka spotkała w synagodze mojego ojca, nastąpiła w jej życiu kolejna zmiana. Pokochali się, w pełni świadomi, że

ojciec może w każdej chwili zostać wysłany na front. W 1913 roku, kiedy miał już wyjechać, rodzice, jak przypuszczam, przysięgli sobie wierność, w nadziei, że pewnego dnia ojciec wróci z wojny i wezmą ślub. Mimo groźby wojny pozwalali sobie marzyć. Kiedy dostał rozkaz wyjazdu, mieli tylko młodość, nadzieję i wielką miłość, która ich połączyła.

Wszystko to wprawdzie wydarzyło się, nim się urodziłam, historia ta, opowiadana i powtarzana wiele razy, wryła mi się jednak w pamięć. Myślę, że matka nastawiała się na bardzo długą rozłąkę. Szczęście dawały jej wykłady z literatury i praca w charakterze nauczycielki robót ręcznych, choć nie zarabiała wiele. Opuszczała posiłki, żeby pójść do teatru, kiedy tylko było ją na to stać. Uczyła rzemiosła przez trzy lata, ale straciła pracę z powodu sytuacji gospodarczej. Wkrótce zatrudniła się jako szwaczka w teatrze. Uwielbiała przedstawienia teatralne i z dumą opowiadała nam, ile sztuk zdołała obejrzeć. Jednak trzy lata później teatr trzeba było zamknąć, bo zabrakło pieniędzy na płace dla aktorów i personelu. Mama znalazła potem stałą pracę w prywatnym domu zamożnej rodziny Nemetzów; szyła suknie dla pani domu i jej córki. Byli dla niej mili i traktowali ją jak przyjaciółkę.

W kraju, niestety, nie było spokojnie. Na długo przed rewolucją 1917 roku społeczeństwo podzieliło się na zwolenników bolszewików, mieńszewików i inne frakcje. Rewolucja zwyciężyła, ale zamieszki nie ustawały; rodzina pracodawców mojej matki straciła swój majątek. Mama nadal dla nich pracowała, ale jej zarobki zmalały i musiała wrócić do siostry. Masza miała już wtedy dwoje dzieci – córeczkę Ronię i synka Szurę.

Matka była piękną i mądrą kobietą; znali ją wszyscy sąsiedzi. – Jak długo będzie na niego czekać? – pytali, mając na myśli mojego ojca. – Jest coraz starsza, a odmawia wszystkim starającym się. – Niektórzy jej żałowali, inni podziwiali za wierność. Tymczasem pracowała i pomagała siostrze, a jedyną rozrywką w czekaniu stały się dla niej książki.

W swojej dzielnicy poznała młodego człowieka imieniem Michaił, który chciał się z nią ożenić, choć w żaden sposób go nie zachęcała. Rozmawiała z nim, kiedy spotykali się na ulicy, ale poza tym starała się go unikać. Czekała na ojca naprawdę z oddaniem. Michaił nie rezygnował i czatował na nią, kiedy wracała z pracy. Gdy powiedziała mu, że jest zaręczona i czeka na powrót narzeczonego z wojny, odpowiedział złośliwie: On nigdy nie wróci. – Napisał, że wraca – odparowała. – Zobaczymy, kto wygra na ostatku – brzmiała odpowiedź.

Lata mijały, matka dostała od ojca kilka listów. Kiedy już wszystko wyglądało ponuro i rozpaczliwie, w Polsce Baila, matka mojego ojca, i daleko od niej, w Rosji, moja matka dostały od niego listy. W tamtych latach poczta wędrowała do adresatów długo. Po latach spędzonych na froncie ojciec trafił do niemieckiej niewoli. Dla babki cień nadziei, że zobaczy syna żywego był iskierką w mroku – wciąż opłakiwała synów poległych na służbie w Port Artur podczas wojny rosyjsko-japońskiej w 1904 roku. Dla matki, tak długo czekającej na spotkanie z ukochanym, list stał się zastrzykiem siły do czekania, aż jej marzenie się ziści.

Po roku spędzonym w więzieniu ojciec spróbował ucieczki, ale złapano go i skazano na ciężkie roboty. Rok później znów uciekł i tym razem mu się udało – silne pragnienie czyni cuda. Wiele tygodni wędrował przez różne miasta, aż w końcu dotarł do Charkowa.

Pamiętam zdjęcie ojca z niemieckiego obozu. Wyglądał na dwadzieścia lat starszego. Co za różnica w porównaniu ze zdjęciem z domu, w eleganckim garniturze! Ze swoją fryzurą wyglądał jak dandys. Na więziennym zdjęciu, ubrany w ciemnoszarą, zapiętą na ostatni guzik kurtkę, był zamyślony i poważny.

Kiedy ojciec, w więziennych ciuchach, zbliżał się do domu Maszy, matka była w pracy. Poznali go sąsiedzi. – Synalewicz wrócił! – wołali. W Rosji mówiono o ludziach po nazwisku. Nawet Ronia i Szura poznali go ze zdjęcia, które wisiało na ścianie. – Mamuśka – krzyczeli – Synalewicz przyszedł. – Masza powitała

go serdecznie. Matka pracowała niedaleko i ktoś zaniósł jej wiadomość. Przeprosiła swoich pracodawców, że musi nagle wrócić do domu. – Nie szłam, biegłam – opowiadała. Z każdym krokiem mocno biło jej serce. Padli sobie w ramiona po raz pierwszy od jego odjazdu przed z górą pięciu laty.

*

W 1919 roku, po rewolucji rosyjskiej, w Rosji wciąż było niespokojnie. Narzucono nowe prawa, panował gniew i podejrzliwość. Ludzie opowiadali się po różnych stronach; często niebezpiecznie było ufać sąsiadowi lub przyjacielowi. Nikt nie czuł się pewnie.

Ojciec mieszkał wtedy w domu Maszy. Po tym, co przeszli oboje – jej siostra i on – nie pozwoliłaby mu odejść. Masza kochała siostrę i chciała jej szczęścia, dlatego szybko ustaliła z rabinem datę ślubu rodziców. Matka uszyła sobie kostium i zaniosła do krawca materiał na garnitur dla ojca. Doskonale pamiętam, jak opowiadali nam, że mieli na sobie ubrania, które na tę uroczystość właśnie mama przygotowała.

Kilka miesięcy po ślubie ich szczęście zakłóciło kolejne niedobre wydarzenie. Doniesiono na mojego ojca, że jest kontrrewolucjonistą. Został aresztowany i uwięziony. Oskarżenie było fałszywe, ale policja nie ujawniła, kto jest oskarżycielem ani co powiedział. Pamiętam, jak matka opowiadała nam, że codziennie chodziła na ulicę, przy której było więzienie, żeby zobaczyć ojca w zakratowanym oknie.

Matka była wtedy w ciąży z moją siostrą. Kiedy pod koniec grudnia 1920 roku urodziła, ojciec wciąż jeszcze siedział w więzieniu. W dniu procesu matka usiadła w sali sądowej z maleńką Reginą. Masza, jej mąż i sąsiedzi, znający historię ich miłości i walki o to, by znów być razem, ochoczo przybyli jako świadkowie.

Kiedy jeden z trójki sędziów wstał i odczytał wstępny akt oskarżenia oraz dowody, wszyscy zamarli. Nachman Synalewicz, mój ojciec, został oskarżony o zdradę ludowej rewolucji. Zarzut był poważny, podsądnemu groził wyrok śmierci. Jako świadka przestępstwa wymieniono Michaiła Czostkowa, mężczyznę, który chciał ożenić się z moją matką. Ten głupi, obrzydliwy człowiek zamienił ich życie w koszmar. Powiedział, że widział, jak mój ojciec zbiera na polu broń – przypuszczalnie pozostałą po bitwie białych z czerwonymi – której zamierzał użyć do kontrataku na bolszewików. To było szokujące!

Ojciec wyjaśnił, że oskarżenie jest aktem zemsty na jego żonie i że ma świadków, którzy mogą zeznać, jakie Czortkow miał zamiary względem niej, gdy ojciec przebywał w niewoli. Michaił Czortkow z kolei nie przedstawił żadnych świadków potwierdzających jego zarzuty.

Sędziowie wyszli do swojego pokoju. Matka zdawała sobie sprawę, że po latach cierpień, czekania i nadziei, ich marzenia mogą rozpaść się jak domek z kart. Jeśli sędziowie nie uwierzą oskarżeniu Czortkowa, mogą uniewinnić ojca z powodu wątpliwości. Może są na tyle mądrzy, by widzieć, że oskarżenie jest fałszywe. Polska była wtedy wolna i niepodległa – może obywatel polski będzie sądzony inaczej. Jedyne, o czym myślała, to że wyznawcy rewolucji nie skażą na śmierć niewinnego człowieka. Muszą być sprawiedliwi. Są idealistami, nie mordercami.

Sędziowie powrócili. Jeden z nich kazał ojcu powiedzieć, skąd pochodzi. Ojciec wspomniał fabrykę ołówków Majewskiego. Sędzia odchrząknął i ciągnął – Nachman Synalewicz, obywatel polski, skazany zostaje na marsz pod nadzorem, z miasta do miasta, aż do osiągnięcia polskiej granicy. Tam zostanie uwolniony i będzie mógł udać się do miejsca, gdzie mieszkał wcześniej. – Wszyscy odetchnęli z ulgą.

Mama świętowała to wydarzenie w każde święto Simchat Tora – gotowała gołąbki z mielonego mięsa zawiniętego w liście kapusty i zapraszała sąsiadów i przyjaciół, by razem uczcić cud.

Choć nie byliśmy specjalnie religijni, mama prowadziła koszerną kuchnię.

Natychmiast po ogłoszeniu wyroku ojcu zapowiedziano, że rozpocznie swoją podróż za kilka dni. Matka postanowiła wyruszyć razem z nim; nie chciała kolejnej rozłąki. Wyrok był w rzeczywistości łagodniejszy dla ojca, który po drodze nocował w więzieniach, gdzie dostawał racje żywnościowe, niż dla matki, zmuszonej spać na zewnątrz. Szła obok niego z dzieckiem na rękach. Jeśli trafiał się ludzki strażnik, pozwalał ojcu nieść córeczkę. Czasami wolno było matce przenocować w sieni więzienia. Częściej jednak musiała pukać do jakiegoś domu w pobliżu i prosić, by mogła wykąpać małą. Ludzie, do których zwracała się o pomoc, często traktowali ją obojętnie. Strażnicy bywali wyjątkowo okrutni. Raz, gdy Tata wziął od Mamy Reginę, rozzłoszczony strażnik wyciągnął bagnet i chciał wbić go w jej główkę. Ojciec instynktownie zasłonił ją ręką i otrzymał głębokie pchnięcie. Tak mijały tygodnie, aż wreszcie zbliżyli się do granicy z Polską.

Dotarli do Polski wczesną wiosną 1921 roku. Ojciec był wolny. Pojechali pociągiem do Pruszkowa, położonego niecałe 20 kilometrów na południowy zachód od Warszawy, gdzie tuż koło stacji kolejowej mieszkała moja babcia. Wzruszyła się na widok syna i z miejsca zachwyciła się moją mamą. Inaczej było z ciocią Diną, wdową po jednym z braci ojca zabitych w Port Artur. Matka, w krótkiej i szerokiej spódnicy, z krótko obciętymi włosami była jak na gust Diny zbyt nowoczesna. Dina zawsze nosiła długie spódnice, a włosy spinała za uszami.

Kiedy babcia, mieszkająca u Diny, dostała list od syna z wiadomością, że żyje, Dina wbiła sobie w głowę, że wyjdzie za niego za mąż. Miała czworo dzieci, dwóch synów i dwie córki. Ale gdy Tata wrócił do domu z żoną i dzieckiem, Dina, zgorzkniała i rozczarowana, nie zaakceptowała mojej Matki i nie tolerowała jej tak długo, jak pamiętam.

Moja Polska

Przed II wojną światową Polska miała kształt serca. Jak na ironię, zagłada ludności żydowskiej – bodaj najbardziej haniebna karta w dziejach ludzkości – miała miejsce właśnie w tym przypominającym serce państwie. Patriotyczne uczucia wobec Polski odziedziczyłam po ojcu, a później wyniosłam je ze szkoły. Darzyliśmy nasz kraj prawdziwą miłością.

Polska była pogańska do roku 966, kiedy jej władca Mieszko I przyjął chrzest. Stała się wtedy ziemią chrześcijańską. W XIV wieku, gdy nasilała się imigracja niemieckich Żydów na polskie tereny, król Kazimierz Wielki włączył ich ochronę do swej światłej polityki gospodarczej i społecznej. Żydzi, którzy wprowadzili do Polski handel i rzemiosło, mogli tu praktykować swoją wiarę. Pod wpływem niemieckich Żydów rozszerzył się zasięg jidysz – połączenia słowiańsko-niemieckiego, powszechnie używanego i przyjętego jako język ludności żydowskiej.

W wieku XIX Adam Mickiewicz, Juliusz Słowacki i Zygmunt Krasiński, polscy poeci romantyczni, sięgali między innymi do tematyki narodowej. Inni znani pisarze to Bolesław Prus i Henryk Sienkiewicz, laureat Nagrody Nobla przyznanej mu w 1905 roku za powieści historyczne[1], wśród nich słynne *Quo vadis*. Wiele dramatów wyszło spod pióra Stanisława Wyspiańskiego i Stefana Żeromskiego, a w roku 1924 literacką Nagrodę Nobla otrzymał Władysław Reymont. Twórczość polskiego Żyda Juliana Tuwi-

[1] H. Sienkiewicz otrzymał Nagrodę Nobla za całokształt twórczości (przyp. red.).

ma odegrała ważną rolę w literaturze eksperymentalnej. Słynnym malarzem swoich czasów był Jan Matejko. Światową sławę zdobył pianista i kompozytor Fryderyk Chopin. W 1903 roku Nagrodę Nobla w dziedzinie fizyki zdobyli Maria Skłodowska-Curie i Piotr Curie, wspólnie z Henri Becquerelem. W 1911 roku Maria Skłodowska-Curie otrzymała drugiego Nobla, w dziedzinie chemii, za odkrycie radu i polonu. W świecie mojego dzieciństwa były to wszystko wzory do naśladowania i nauki.

*

Moi rodzice musieli jeszcze raz zawrzeć związek małżeński w pruszkowskim magistracie, ponieważ żydowskie świadectwo ślubu wydane w Rosji nie było w Polsce uznawane. Pruszków, wieś istniejąca od XVI wieku, dostał prawa miejskie w roku 1916. Było to ważne miasto przemysłowe; w czasie gdy mieszkali tam moi rodzice, liczył około 16 000 mieszkańców, w tym tysiąc Żydów.

Rodzina ojca miała firmę zaopatrującą w żywność prywatne kliniki. Ojciec i jego bracia pracowali razem z dziadkiem do jego śmierci, po czym przejęli przedsiębiorstwo. Później, kiedy kolejno dostawali powołanie do wojska, prowadziła je babcia. Była bardzo dumna, że jej synowie są zdrowi i nadają się do służby wojskowej, ale gdy tragicznie zginęli, sprzedała firmę i przeniosła się do ciotki Diny, żeby pomóc jej przy dzieciach. Nie była tam szczęśliwa, nigdy się jednak nie skarżyła. Dina, jako wdowa po żołnierzu, miała prawo do otrzymania pozwolenia – nie zawsze przyznawanego Żydom – na sprzedaż towarów objętych monopolem, takich jak tytoń i alkohol. Babcia pomogła jej otworzyć mały sklepik z papierosami i zapałkami, ale Dina nie chciała sprzedawać alkoholu, za to dodała jeszcze czekoladę, słodycze, lody i świeże owoce. Była tęga, siedziała więc całymi dniami, a klienci sami wybierali zakupy i podchodzili do niej tylko, żeby zapłacić.

Dzięki pomocy babci Ojciec mógł wynająć mały pokoik z piecem, za piekarnią. Kupił łóżko, stół, dwa krzesła i kołyskę dla mojej siostry. Babcia nie mogła mu pomóc w niczym więcej, bo to, co jej zostało z pieniędzy, poszło na pomoc Dinie i jej dzieciom. Rychło jednak Tata znalazł pracę w wytwórni dzianin w Warszawie, gdzie wyrabiano swetry męskie, damskie i dziecięce.

Przypuszczam, że nieźle tam zarabiał, bo zanim się urodziłam, rodzina przeprowadziła się do nowego mieszkania. Zamieszkali w jednym pokoju, na parterze, po drugiej stronie ulicy, naprzeciw dotychczasowego domu. Wodę musieli przynosić z pompy, a ubikacja była na zewnątrz, na drugim końcu wielkiego podwórza. Rosło tam kilka drzew, na których mama suszyła pranie. Właściciel, jego żona i sześcioro dzieci mieszkali obok. Ich pokój był mniejszy od naszego, a na dodatek mieścił się w nim jeszcze warsztat szewski. Byli biedniejsi niż my, kiedy zaczynaliśmy.

Mama kupiła maszynę do szycia i rozpowiedziała po okolicy, że będzie szyła. Początkowo panie, które stać było na zamawianie sukien, nie powierzały jej nowych materiałów; prosiły o przeróbki starych rzeczy na mniejsze, dla dzieci, albo o przewrócenie kołnierzyków w męskich koszulach. Były to więc głównie naprawy, ale mama przyjmowała każde zlecenie. W latach 20. XX wieku gospodarka Polski była w katastrofalnym stanie. Wojny i walki o niepodległość zubożyły nie tylko Polskę, ale i dużą część Europy. Mama zdawała sobie z tego sprawę i nie miała do nikogo pretensji.

Po mieście szybko rozeszła się wiadomość, że Synalewicz wrócił z wojny z żoną i dzieckiem, a jego żona jest szwaczką. Ojciec był bardzo przystojnym mężczyzną i wiele dziewcząt w mieście łudziło się, że pewnego dnia którąś z nich poślubi. Mimo że minęło wiele lat i te dziewczęta miały już mężów i dzieci, wciąż na swój sposób uważały się za narzeczone ojca. Niektóre z nich z ciekawości chciały zobaczyć moją matkę i przychodziły z nowymi materiałami na spódnicę czy bluzkę. Mama pojechała do

Warszawy i kupiła żurnal, żeby mogły sobie z niego wybierać fasony. Klientkom podobały się jej prace, wracały więc później z materiałami na sukienki. Nazywały ją Sonią Rosjanką. Bardzo szybko, kiedy ją lepiej poznały, nazwały ją Uczoną Sonią.

OPOWIEŚĆ W OPOWIEŚCI

W Izraelu, na początku lat 50. XX wieku, postanowiłam, że kilka razy w roku będę zapraszać przyjaciół na nostalgiczne spotkania i wspominanie dzieciństwa. Witaliśmy się wtedy uroczyście i zasiadaliśmy do rozmów.

Pewnego piątkowego wieczoru, przed ostatnim spotkaniem tamtego roku, przyjaciele zaprosili mnie do siebie na kolację. Właśnie uprzątnęliśmy ze stołu, kiedy przyszło jakieś nieznane mi małżeństwo. Po krótkim powitaniu panowie siedli przy stole porozmawiać o pracy, a pani podeszła do sofy, na której siedziałam, i z uśmiechem przedstawiła się jako Rose.

Moja przyjaciółka nalała nam wina i poszła zaparzyć kawę. Przy winie rozmowa potoczyła się łatwo i wkrótce już coś o sobie wiedziałyśmy. Rose miała piękne oczy, kocie, szarozielone, z krótkimi czarnymi cętkami. Spytała mnie, skąd pochodzę i kiedy usłyszała o Pruszkowie, szeroko otwarła swoje kocie oczy i powiedziała, że żyli tam kiedyś jej dziadkowie. Okazało się, że znałam jej babcię Malke i dziadka Barla, którzy mieszkali niedaleko nas. Malke zawsze okrywała głowę czarną chustką, pasującą do bluzki i suto marszczonej spódnicy, wyszarzałej od wielokrotnego prania. Zimą nosiła porządny czarny sweter i wełniany szal okrywający głowę i ramiona. Nagle uświadomiłam sobie, że Malke miała takie same oczy jak Rose. Barl, mężczyzna średniego wzrostu, o owalnej twarzy z krótką, starannie ostrzyżoną brodą, był szklarzem. Widywałam go na ulicy, zawsze starannie ubranego, jak niósł pod pachą szybę, a w drugiej ręce narzędzia.

Gdy Rose spytała mnie, jak to się stało, że zapamiętałam ich tak dobrze, mimo że byłam wtedy dzieckiem, powiedziałam jej, że ilekroć myślę o swoim dzieciństwie, najdrobniejsze szczegóły przesuwają mi się przez głowę jak na ekranie. Miałam też szczególny powód, żeby zapamiętać Malke.

Pewnej nocy usłyszeliśmy, że ktoś puka do drzwi i woła:

– Nachman, wstawaj! Obiecałeś, że zabierzesz mnie na tańce. Obudź się! Chodź ze mną tańczyć! Czekam!

Obie z siostrą obudziłyśmy się przerażone. Kiedy pukanie i wołanie nie ustawało, usłyszałam, jak mama mówi: „Porozmawiam z nią". Podeszła do zamkniętych drzwi i powiedziała:

– Malke, to ja, Sonia. Nachman ma żonę. I dzieci. Obudzisz go. Idź do domu. Idź spać.

Malke odeszła, tylko rano rodzice rozmawiali o tym, co wydarzyło się w nocy, i o urojeniach Malke, której się wydawało, że kocha mojego ojca.

*

Matka zawsze była osobą obcą, z zewnątrz, niezależnie od tego, jak bardzo się starała. Odziedziczyłam po niej to poczucie izolacji; ja też bywałam w życiu przybyszem, a ludzie nie zawsze wiedzą, jak się z kimś takim obchodzić. Nasze historie są dla nich dziwne i niewiarygodne. Myślę, że to powierzchowna reakcja, ale niektórzy wolą nie wiedzieć. Mało kto rozumie, co znaczy zostać przeniesionym w inne miejsce i jak trudno dopasować się do obcych obyczajów. Moja własna rodzina i ja sama doświadczyliśmy tego, przeprowadzając się do różnych krajów.

Babcia często odwiedzała mamę. Lubiła ją i było jej przykro, że nie może jej bardziej pomóc. Rodzice powoli zaczynali stawać na nogi, wkrótce mama zaszła w ciążę. Mówiła mi później, że miała mieszane uczucia. Cieszyła się, że będzie miała drugie dziecko, ale martwiło ją oddalenie od rodziny. Często dręczyła ją samotność, z trudem przywykała do otoczenia.

Kiedyś babcia, widząc mamę tak przygnębioną, spytała, czy coś się stało. Wiedziała o jej przeżyciach i zdawała sobie sprawę, że potrzebuje kogoś, komu może ufać. Mama wykręciła się od odpowiedzi; powiedziała, że nie wie, jakie imię dać dziecku. Przypuszczam, że nie imię ją martwiło, ale tęsknota za rodziną i przyjaciółmi, bez których czuła się osamotniona.

– Nie martw się, Soniczka (tak mówili do niej oboje z ojcem) – pocieszyła ją babcia – imię się znajdzie w odpowiednim czasie.

Kilka miesięcy później babcia umarła i rodzice nadali mi po niej imię Balbinka. Matka bardzo ją kochała; zapłaciła za jej nagrobek z własnych pieniędzy. Żadna z pozostałych synowych nie próbowała się dołożyć. Jednak zazdrość ciotki Diny jeszcze wzrosła, zwłaszcza kiedy się okazało, że babcia zostawiła swoje miejsce w synagodze mamie, która umiała się modlić.

Urodziłam się 10 stycznia 1923 roku, w domu, jak wtedy było w zwyczaju. Kiedy miałam przyjść na świat, ojciec przyprowadził akuszerkę. W czasie porodu otworzyły się drzwi i nie wiadomo skąd weszła Cyganka (w okolicy było wtedy wielu Cyganów, jak nazywaliśmy wtedy Romów). Ojciec rzucił się do drzwi i kazał jej wyjść, ale uparła się i nie słuchała. Tata wypchnął ją i zamknął drzwi, jednak zdążyła jeszcze przekląć mnie, mówiąc, że moje życie będzie nieustanną walką. Przepowiednia okazała się prawdziwa.

Do dziś pamiętam duży pokój, w którym się urodziłam, choć kilka lat później znów się przeprowadziliśmy. Rodzice mieli ogromne drewniane łoże, kredens, wielki stół i krzesła. My z siostrą spałyśmy razem, w osobnym łóżku, ale w tym samym pokoju. W kuchni stała komoda babci. Właściwie była to komoda z sypialni; babcia przechowywała w niej pościel, ale mama trzymała tam naczynia, żywność, garnki i patelnie. Pamiętam, że wieczorami, kiedy się ściemniało, bałam się wchodzić do kuchni, bo komoda była czarna. Bałam się nawet piórka ulatującego

z poduszki. Skoro drżałam na widok piórka, jak zdołałam później znieść takie cierpienia, samotność i zdradę?

Bałam się też inwalidy, który siadywał na chodniku niedaleko naszego domu. Miał ciemną skórę, czarne kręcone włosy i zszargane ubranie. Oczy błyszczały mu złośliwie i ciągle się śmiał. Kiedy musiałam przejść obok, omijałam go drugą stroną ulicy. Nie pomagało. Byłam mała i wciąż bałam się, że w pewnej chwili mnie złapie. Mama tłumaczyła mi, że nie zrobi mi żadnej krzywdy, że tylko żebrze o datki, ale nikt nie był w stanie mnie przekonać. Nocami budziłam się z krzykiem, bo prześladowały mnie związane z nim koszmary.

Mama z rozpaczy zawiozła mnie do Warszawy, do cioci Szprincy, wdowy po bracie mojego taty. Po śmierci stryja na froncie japońskim ciotka została z trójką dzieci – dwiema dziewczynkami i chłopcem. Ciotka podgrzała wosk, a gdy nieco ostygł, wylała mi go na głowę. Mama powiedziała mi, że żebrak ma na imię Ignac i że całe jego ciało i zmierzwione włosy uszły ze mnie przez wosk na głowie. Pamiętam, że po tym zabiegu nigdy już się go nie bałam i nigdy nie płakałam.

Któregoś roku podczas święta Purim mama kąpała mnie późnym popołudniem. Na zewnątrz było już ciemno, a duży pokój oświetlała wisząca blisko nas lampa naftowa. Nagle drzwi się otworzyły i weszła moja kuzynka Marysia, z którą bardzo lubiłam się spotykać. Była młodszą córką ciotki Diny. Twarz miała jednak pomalowaną na czarno i była tak dziwnie ubrana, że przeraziłam się i rozpłakałam. Nie mogłam się uspokoić. Mama tłumaczyła mi, że na Purim tradycyjnie urządza się maskarady, ale nie przestawałam szlochać i biedna kuzynka musiała pójść do domu. Ten strach przed ludźmi, którzy okazują się fałszywi lub zdradliwi, został we mnie na całe życie i do dziś boję się ludzi w maskach albo z twarzami pomalowanymi, jak to często bywa na Purim lub Halloween.

Mimo niechęci panującej między Diną i moją matką razem z siostrą często odwiedzałyśmy ciocię i jej rodzinę. Matka uwa-

żała, że dzieci nie wolno wplątywać w rodzinne spory. Młodszy syn Diny, Benjamin, jako jedyny z tamtej rodziny często do nas przychodził. Nauczył mnie gwizdać i zabierał mnie do ich sklepu na lody.

Pamiętam szczególne wydarzenie związane z Herszem Izaakiem, starszym synem Diny. Pewnej nocy został pchnięty nożem przez gromadę chuliganów, nie-Żydów, którzy sądzili, że jego jasnowłosa i niebieskooka narzeczona jest Aryjką. Wyśmiewali go i pytali:

– Czemu wybrałeś Aryjkę, a nie Żydówkę? Nie pozwolimy chrześcijance wychodzić za Żyda.

Kiedy go dźgnięto, nie czuł bólu, ale gdy przybiegł do domu i zdjął płaszcz, ciotka Dina zobaczyła krew na koszuli. Lekarz, który go badał, orzekł, że miał szczęście, bo nóż nie przebił płuca, choć wszedł bardzo blisko. Benjamin leżał kilka dni w szpitalu. Sporo było w Polsce takich antysemickich incydentów.

Ciotka Gela, też wdowa po jednym z braci ojca, mieszkała z synem w Błoniu, mniej więcej 20 kilometrów od nas. Była kobietą pobożną i posłała syna na naukę do jesziwy. Chłopak skończył szkołę, ale później zbuntował się i porzucił religijne praktyki. Kiedy ożenił się i miał syna, wrócił do wiary. Lubił moją mamę i często nas odwiedzał.

*

W Pruszkowie, w którym dorastałam, ślicznym małym miasteczku, mieszkało około 20 000 ludzi. Domy były schludne, a chodniki czyste. Żyło tam ponad tysiąc Żydów – między innymi rzemieślników i przedsiębiorców. Warszawa leżała niedaleko, dlatego wielu młodych Żydów jeździło tam do technikum ORT, do żydowskiego gimnazjum albo którejś ze szkół handlowych. My z siostrą często bywałyśmy w Warszawie, w teatrze albo w eleganckich lodziarniach. W Pruszkowie była żydowska szkoła podstawowa i synagoga, trzy państwowe podstawówki, jedna szkoła średnia, kilka

klubów sportowych i dwa kina. Pamiętam zwłaszcza park Anielin, który wyglądał jak wysepka na rzece. Latem, w sobotnie wieczory, grała do tańca orkiestra, a w parku było pełno ludzi. Młodzi przychodzili na tańce, starsi odetchnąć świeżym powietrzem i spotkać się ze znajomymi. Można było wynająć łódkę i powiosłować wokół wyspy. Zimą woda zamarzała i zamieniała się w ślizgawkę.

Siostra była ode mnie o trzy lata starsza. Mama zapisała ją do żydowskiej szkoły tuż za rogiem naszej ulicy. Uczyli się tam głównie chłopcy, a nauczycielem i dyrektorem był pan Koziebrodzki. Regina spędziła w tej szkole tylko rok; szkoły państwowe miały siedem klas, a ta tylko cztery. Na początku drugiej klasy mama zabrała ją do szkoły im. Tadeusza Kościuszki. Regina musiała zdać egzamin z matematyki i czytania. Poszło jej dobrze, bo była bardzo bystra i zawsze pilnie się uczyła.

Kiedy skończyłam trzy lata, mama zapisała mnie do prywatnego przedszkola, gdzie poznałam Halinę, moją przyjaciółkę, jedną z zaledwie pięciorga czy sześciorga chodzących tam dzieci. Wciąż korespondencyjnie utrzymujemy przyjazne kontakty, a kiedy przenieśliśmy się do Kanady, Halina i jej mąż, dziś już nieżyjący, przyjechali do nas z USA. Wysłałam jej też pierwsze napisane strony tych wspomnień; chciałam poznać jej opinię i zawiadomić, że znajdzie się w mojej książce. Była zdziwiona, że tyle pamiętam, szczęśliwa, choć się popłakała.

Halina mieszkała po drugiej stronie ulicy, za rogiem, bez trudu więc mogłyśmy się odwiedzać i niemal codziennie razem się bawiłyśmy. Na podwórku jej domu rosły drzewa owocowe; leżały też deski, po których mogłyśmy biegać i skakać. Rodzice Haliny mieli cegielnię, budowali wiele domów i byli bogaci. Kiedy trochę podrosłyśmy, mama Haliny wysyłała nas nawet razem do banku, na tę samą ulicę, gdzie mieszkała ciotka Dina, po pieniądze na wypłatę dla robotników.

Czasem, gdy się pokłóciłyśmy i nie przychodziłam do Haliny, jej mama wołała do mnie ze schodów naszego domu:

– Balbinko, przyjdź do Halinki, siedzi sama. A ja muszę wyjść.

Przed wielkimi świętami mama Haliny czuła potrzebę spełniania dobrych uczynków. Raz w roku kupowała buty albo tkaniny w miejscowych sklepach, żeby wesprzeć lokalne firmy. Kiedy pokazała nam materiał kupiony na dwie sukienki dla Haliny – jeden w drobne niebieskie i czerwone bławatki, mama poszła do tego samego sklepu i kupiła taki sam na sukienkę dla mnie.

Odprowadzała mnie do przedszkola codziennie. Pamiętam, jak pewnego dnia przybiegła po mnie w środku zajęć. Powiedziała nauczycielce, że odbywa się wiec przeciw Piłsudskiemu; prowadzi go Józef Haller i jego żołnierze. Nie pozwoliła mi nawet iść piechotą, niosła mnie na rękach. Mama słuchała wiadomości radiowych – choć nie chciała mówić ani nauczyć się pisać po polsku, rozumiała każde słowo. Interesowała ją polityka; dokładnie wiedziała, co się dzieje na świecie. Zainteresowanie polityką odziedziczyłam po niej. Nazajutrz z powrotem zaprowadziła mnie do przedszkola. Żołnierze Hallera zebrali się, ale – wbrew jej obawom – nie wzniecili powstania.

Na początku 1929 roku Tata postanowił otworzyć własny biznes, nie rezygnując z pracy w fabryce włókienniczej. Kupił wyroby swojej firmy, wynajął stragan na rynku i posadził Mamę, żeby zajęła się sprzedażą. Nie był to, jak się okazało, najlepszy pomysł. Rodzice sądzili na początku, że interes musi rozkręcać się powoli i trzeba cierpliwie czekać, ale wtedy właśnie wybuchł kryzys. Nie chodziło o brak zainteresowania ze strony klientów; to sytuacja gospodarcza kraju stała się bardzo zła. Ludzie po prostu nie mieli za co kupować.

Ojciec mojej koleżanki, Reginy Postolskiej, też miał stragan na rynku. Sprzedawał materiały na sukienki. I on musiał zrezygnować z interesu i czekać na lepsze czasy. Kryzys gospodarczy odbijał się na każdym, ale ci, którzy mieszkali tu od dziesięcioleci, zwykle jakoś sobie radzili z utrzymaniem firmy czy sklepu. Okoliczności się zmieniały, ale oni sami przynajmniej

byli tu od zawsze. Mama mawiała: „Nawet skała rośnie, jeśli leży w tym samym miejscu". Rodzice musieli zaczynać od zera, ze świadomością, że każdy dzień będzie walką. Musieli wykazać się zdolnościami i inteligencją, bo nie mieli spadku ani rodzinnego biznesu, na którym mogliby się oprzeć. Mieli tylko siebie i swoją nadzieję, ale byli odważni.

W tym czasie Mama postanowiła zarabiać szyciem podomek. Jedna z kobiet handlujących na rynku zgodziła się je przyjmować na sprzedaż. Mama miała kwalifikacje i wyobraźnię; pierwszy tuzin jej wyrobów szybko się rozszedł i dostała zamówienie na następne, w różnych rozmiarach. Jednak w rezultacie naszych kłopotów finansowych przestała prowadzać mnie do przedszkola – nie stać nas już było na opłaty. Publicznych przedszkoli wtedy w Polsce nie było. Nie wiem, co nauczycielka powiedziała innym matkom, ale jakimś sposobem dzieci zorientowały się, że już mnie nie ma, i odmówiły przychodzenia na zajęcia. Byłam mała i nie wiedziałam, co oznacza strajk, ale z pewnością zastosowały swego rodzaju bierny opór. Jestem pewna, że żadne z nich nie słyszało o solidarności grupowej w imię przestrzegania praw socjalnych, ale tak to wyglądało. Pani Raisberg, matka wychowawczyni, przybiegła do nas, prosząc mamę, by pozwoliła mnie zabrać do przedszkola, bo w przeciwnym razie trzeba będzie je zamknąć. Powiedziała, żeby mama nie martwiła się o pieniądze; zapłaci, kiedy będzie mogła. Przedszkole nastawione było głównie na bogate rodziny, ale wydaje mi się, że obie z siostrą byłyśmy akceptowane wszędzie, bo zostałyśmy bardzo starannie wychowane. Wróciłam do grupy i wszyscy byli zadowoleni.

Nauczyłam się tam nie tylko czytania i pisania. W wieku czterech lat miałam „chłopaka". Nazywał się Zdzisiek Pawłowski i zwykle odprowadzał mnie po zajęciach razem z mamą albo tatą Haliny. Rodzice Zdziśka i Haliny byli wspólnikami w jakiejś firmie. Na widok Zdziśka i mnie sąsiedzi żartowali:

– Pani Soniu, niech no pani popatrzy, córka już w tym wieku chodzi z gojem.

Zdzisiek miał dwie dużo starsze siostry i widząc, że ich chłopcy odprowadzają je do domu, postanowił robić to samo. Po wojnie jedna z jego sióstr powiedziała Halinie, że Zdzisiek walczył w konspiracji i zniknął bez śladu.

*

Ojciec wciąż próbował się dorobić, jakiś czas pracował, ale niewiele z tego wynikło. Po mniej więcej sześciu miesiącach postanowił wyjechać do Urugwaju, gdzie, jak sądzę, spodziewał się znaleźć lepsze warunki dla rodziny. Mama nadal dostawała zamówienia od klientek, ale nie wystarczało to na utrzymanie domu. Zdarzało się, że któraś z pań przynosiła jakiś niezwykły materiał, wybierała fason z żurnala i oczekiwała, że sukienka będzie gotowa niemal natychmiast. Mama wobec wszystkich kapryśnych klientek wykazywała się wielką cierpliwością. Była utalentowana i bardzo pracowita.

Tata opuścił Polskę pod koniec lata 1929 roku. Odprowadziłyśmy go na dworzec kolei elektrycznej; stamtąd miał najpierw pojechać do Warszawy, a potem do Gdańska, na statek. Byłam za mała, żeby zorientować się, czy mama akceptowała jego decyzję o wyjeździe, ale nigdy nie powiedziała na ten temat złego słowa. Pamiętam za to, że choć nieobecność taty dawała nam nadzieję na zmianę położenia, jednak pewnego dnia, kilka miesięcy później, obudziłyśmy się w zimnym domu, w którym brakowało nawet chleba. W sumie ojca nie było przez blisko dwa lata.

Kiedy wyjechał, miałam sześć lat i tęskniłam za nim ogromnie. Pisałam do niego do Urugwaju listy, wysyłałam rysunki, które miały mu pokazać, czego nauczyłam się w przedszkolu. Mama uznała, że może książki będą dla mnie jakąś rozrywką i kazała mi wypożyczyć z biblioteki *Serce* Edmondo de Amicisa, opowieść o małym chłopcu, który wiele przecierpiał. Kiedy rozmawiałam z nią o tym, powiedziała: „Jeśli nie cierpisz, nie wiesz, co to zna-

czy życie". Nie pamiętam, czy zrozumiałam wtedy jej słowa, ale dziś wiem, co miała na myśli, mówiąc o życiu.

Mama kupiła piękne materiały i uszyła nam wszystkim nowe sukienki. Nasze były różowe, a jej koloru stali. Uszyła nam też podomki z czarnego jak smoła sztruksu. Poszłyśmy zrobić sobie zdjęcia do zakładu Abramowicza. Raz pozowałam z siostrą; na drugim zdjęciu byłyśmy wszystkie trzy. Mama wysłała fotografie ojcu. Przysłał potem Reginie i mnie zasuszone liście i motyle, a mamie pieniądze.

W wieku sześciu lat skończyłam pierwszy etap edukacji i latem pomagałam mamie w pracy. Nauczyła mnie przyszywać guziki, obrębiać, a także odwracać na drugą stronę paski. Rano zawsze leżał stos wyprasowanych i starannie złożonych sukienek. Przyzwyczaiłyśmy się do zasypiania przy odgłosach maszyny do szycia. Z czasem zaczęłyśmy sobie całkiem nieźle radzić. Mama mogła w końcu odłożyć trochę pieniędzy na naszą ewentualną podróż. Dwa razy w tygodniu chodziłyśmy wypożyczyć książki z biblioteki. Wtedy też mama nauczyła mnie drukowanych rosyjskich liter. Pierwszą książką, jaką przeczytałam w całości po rosyjsku, był *Mały lord*. Mama pracowała ciężko, a ja byłam jej prawą ręką, pomagałam, jak tylko potrafiłam. Siostra chodziła do szkoły, a po lekcjach musiała odrabiać zadania domowe, nie miała więc czasu na pomoc.

Wkrótce mama zapisała mnie do szkoły im. Józefa Piłsudskiego. Do szkoły im. Tadeusza Kościuszki, gdzie chodziła moja siostra, nie zostałabym przyjęta, ponieważ w myśl nowych przepisów nie należałyśmy do jej rejonu. Mama poprosiła, żeby pozwolono mi uczyć się w pierwszej klasie, mimo że nie miałam jeszcze siedmiu lat. Wyjaśniła, że umiem czytać i pisać i nie będę miała kłopotów w nauce. Mama poklepała mnie po głowie; wiedziała, że trzeba mi znaleźć zajęcie jako najlepsze lekarstwo na smutek i tęsknotę za ojcem.

Byłam bardzo podniecona. Szkoła im. Józefa Piłsudskiego miała wielkie boisko, na którym można było się bawić na prze-

rwach i gdzie latem odbywały się lekcje gimnastyki. Obok szkoły w niedużym ogrodzie rosły brzozy; były tam też rabaty, chryzantemy i grządki z warzywami. Ogrodem zajmowała się moja nauczycielka, która powierzyła mi podlewanie chryzantem rano, przed lekcjami. Dała mi klucz, więc codziennie z wielkim zachwytem wypełniałam swoje obowiązki. Niekiedy, po południu, gdy miała czas, prosiła mnie o pomoc w pieleniu albo przygotowywaniu nasion na wiosnę. Lubiłam szkołę i choć nie byłam szczególnie ambitna, wiele się nauczyłam.

Raz na miesiąc do szkoły przychodziła lekarka, która sprawdzała stan zdrowia uczniów, a co tydzień higienistka kontrolowała nasze paznokcie. Trzeba było mieć wyczyszczone buty i porządnie uczesane włosy. Kiedyś poskarżyłam się lekarce, że boli mnie w prawym boku. Nie stwierdziła nic złego i w końcu powiedziała: „Cóż, nie jesteśmy z gumy". Minęło od tamtej chwili wiele lat, a ja wciąż pamiętam jej słowa.

W jakimś momencie ojciec przysłał nam pozwolenie na wyjazd do Urugwaju i matka poczyniła wszystkie przygotowania. Ustalono nawet dokładnie, kiedy wyruszymy. Mama sprzedała wszystko, czego nie mogłybyśmy zabrać ze sobą; byłyśmy gotowe do podróży. Zdarzają się jednak rzeczy, o których, jestem przekonana, decyduje wyłącznie przeznaczenie. Gdyby nie ono, cała moja rodzina być może by żyła.

W piątek przed zaplanowanym wyjazdem mama jak zwykle sprzątnęła i przygotowała jedzenie na szabas. Rozmawiałyśmy, kiedy myła podłogę, nie pamiętam o czym, ale przypominam sobie, że powiedziałam: „Mamo, cicho, może tata stoi za drzwiami i słucha, o czym mówimy". Mama skończyła gotowanie, zapaliła świece i właśnie miałyśmy usiąść do stołu, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Wszedł sąsiad i spytał:

– Soniu, co byś zrobiła, gdyby teraz przyjechał Nachman?

– Nic – odparła – przywitałabym go.

I wtedy sąsiad powiedział, że spotkał ojca na dworcu. Przybiegł do nas z tą wiadomością, nim ojciec zdołał go zatrzymać.

W tym momencie wszedł ojciec z dwiema walizkami w rękach. Pamiętam, że wyobrażałam sobie go z brodą, bo od tak dawna nie było go w domu. Ale przyjechał taki sam jak kiedyś, gładko ogolony, w garniturze i kapeluszu. Kiedy wziął mnie na ręce, wcale nie poczułam się dobrze. Patrzyłam na niego jak na obcego człowieka. Mama wytłumaczyła, na czym polega mój problem; rano tata pokazał mi, jak się codziennie goli. Pacnął mi nawet na nos odrobinę piany, tak samo jak kiedyś, zanim wyjechał. Powiedział, że wygrał trochę pieniędzy na loterii w Urugwaju i miał tam niedużą fabryczkę dzianin. Nie wiem, dlaczego wrócił. Być może uznał, że Urugwaj to nie jest dobre miejsce dla jego córek.

Ryzyko i niepewność

Ojciec wrócił do domu w 1931 roku; w samym środku kryzysu. Ludzie tracili pracę, a studenci stypendia. Miasto organizowało roboty drogowe, by w beznadziejnej sytuacji dać młodym pracę przez kilka dni w tygodniu, a biednym wydawało ziemniaki, węgiel i chleb. Pamiętam, bo kiedy rano szłam do szkoły, widziałam, jak studenci w swoich uniwersyteckich czapkach naprawiali chodniki.

Była w mojej klasie dziewczynka, która mieszkała z babcią. Nigdy nie mówiła o swoich rodzicach. Szczupła, drobna, miała oliwkową cerę, wielkie czarne oczy i bardzo ciemne włosy. Powiedziała mi, że występuje w cyrku jako akrobatka. Nie należała do żadnej grupy, z nikim się nie przyjaźniła, zwykle była sama. Któregoś dnia podeszła do mnie i powiedziała, że mogłabym robić takie piruety jak ona, bo mam równie giętkie i szczupłe ciało. Często tańczyła i wykonywała ćwiczenia akrobatyczne na korytarzu w szkole. Byłam bardzo podniecona, kiedy uczyła mnie różnych sztuk; naśladowałam ją i robiłam szybkie postępy. W końcu potrafiłam objąć nogami szyję, zrobić szpagat i tańczyć – bez upadku – na zagłówku łóżka rodziców. Kiedy wystąpiłam w domu, ojciec był zdumiony, ale nie pochwalał moich akrobatycznych popisów.

Mimo to zabrał mnie później do Warszawy do cyrku. Wielki budynek był murowany, ale w środku zachowano kształt i charakter tradycyjnego namiotu cyrkowego. Przedstawienie nazywało się „Cyrk pod wodą". Występowali wszelkiego rodzaju atleci i clowni; była też scena porwania Heleny Trojańskiej. Nie mia-

łam żadnego pojęcia o Helenie Trojańskiej, ale patrzyłam, co się będzie działo po porwaniu jej przez Tezeusza. Konie galopowały wokół sceny, Polideukes wziął Helenę na konia i uciekli. W tym czasie środek cyrku zaciemniono. Kiedy znów zabłysło światło, zobaczyłam basen z wodą. Dziewczęta w kostiumach kąpielowych wskakiwały do wody, pływały i wykonywały ćwiczenia akrobatyczne. Był to wspaniały pokaz. Siedziałam zachwycona, a ojciec nie posiadał się ze szczęścia, że mi się podoba.

Najpierw zamierzałam więc zostać akrobatką, ale później postanowiłam, że będę uliczną śpiewaczką. Bardzo mnie ten pomysł ekscytował i przekonywałam ojca, że to jest właśnie to, co naprawdę chcę robić. Lubiłam śpiewać – miałam niezły głos i dobrą pamięć, czyli wszystko, czego potrzebowałam do kariery. Podobała mi się myśl, że będę chodzić po ulicach i śpiewać piosenki znane ze szkoły i nowoczesne utwory słyszane przez radio. Ojciec jednak nie życzył sobie śpiewaczki w rodzinie. Przymuszał mnie do matematyki, z którą miałam kłopoty. Nie był przesadnie surowy; po prostu nie pozwalał nam robić wszystkiego, na co tylko miałyśmy ochotę. Wiedziałam, że do śpiewania na ulicy nie potrzebuję znajomości tabliczki mnożenia, ale ojciec nie widział swojej córki w roli akrobatki ani śpiewaczki; chciał, żebym poszła na studia. Każdego dnia odbywaliśmy tę samą rozmowę:

– Jak tam w szkole? – pytał.

– Wszystko w porządku, tato. Kiedy pani daje nam zadania matematyczne, ja piszę pytania, a moja koleżanka robi obliczenia. Nigdy się nie myli. Jest dobra z matematyki, a ja jestem bardzo dobra z polskiego. Dostajemy dobre stopnie.

– Córcia, nigdy się w ten sposób nie nauczysz. Jutro masz sama rozwiązać zadanie, łącznie z liczeniem.

– Nie mogę zapamiętać tych liczb.

– Wiem, że znasz na pamięć mnóstwo piosenek i wierszy.

– Tak, ale to dlatego, że się rymują. Pamiętam, że sześć razy sześć jest trzydzieści sześć. A pięć razy pięć – dwadzieścia pięć. Cała reszta jest bardzo trudna.

– Jak będziesz chciała, to się nauczysz – odpowiadał zawsze z uśmiechem.

Moi rodzice różnili się od innych w naszej społeczności. Nikt z moich przyjaciół nie pochodził z polsko-rosyjskiej rodziny, nikt nie miał matki mówiącej po polsku z rosyjskim akcentem i mieszającej słowa polskie i rosyjskie. W domu mówiliśmy w trzech językach: po polsku, rosyjsku i w jidysz. Kiedy zaczęłam pisać wiersze, tata, bardzo dumny, pokazał je sąsiadowi, który stwierdził, że doskonale władam polskim i że wiersze są bardzo dobre. Wybuchła jednak wojna i straciłam pięć lat pisania i nadziei – obróciły się w proch i nicość.

*

Kilka tygodni po tym, jak ojciec wrócił z Urugwaju, wezwano mnie do dyrektora. Przywitał mnie uprzejmie i poprosił, żebym usiadła na krześle po drugiej stronie biurka. Był to niewysoki, garbaty mężczyzna o owalnej twarzy i niebieskich oczach. Włosy i wąsy miał zupełnie białe. Nosił garnitur z kamizelką i okulary na cienkim łańcuszku. Dał mi list do taty. Następnego dnia tata przyszedł do szkoły. Dyrektor przywitał się z nim i spytał o podróż. A potem powiedział, że chciałby poprosić ojca, by podczas zbliżającego się pochodu z okazji uroczystości patriotycznych niósł do kościoła polską flagę. Ojciec wyraził wdzięczność za takie wyróżnienie, ale stwierdził, że jako Żyd wolałby nie wchodzić do kościoła. Dyrektor wyjaśnił wtedy, że był jeszcze jeden powód, dla którego go zaprosił: ponieważ jestem bardzo inteligentną uczennicą, chciałby pokierować moją przyszłą edukacją. Ojciec podziękował, niczego jeszcze nie przesądzając. Mimo propozycji dyrektora tata zapisał mnie do szkoły im. Tadeusza Kościuszki, do której chodziła moja siostra i Halina. Tamtejszy dyrektor znał naszą rodzinę. Granice rejonów zostały zmienione i bliżej było tam z domu.

W 1934 roku moja siostra, wówczas czternastoletnia, skończyła szkołę podstawową. Wprawdzie rodzice chcieli, żeby poszła do gimnazjum, Regina jednak odmówiła. Pod wpływem swoich przyjaciółek postanowiła podjąć pracę. Dość szybko została zatrudniona jako sprzedawczyni w dużym sklepie tekstylnym. Właściciele ufali jej i nawet wysyłali ją do Warszawy po zakupy towarów do sklepu. Kiedyś niespodziewanie dostałam od niej w prezencie granatowy płaszcz przeciwdeszczowy, pasujący na mnie idealnie, i sportowe, brązowe pantofle na maleńkim obcasie, od Baty. W jej sklepie potrzebowali jeszcze kogoś do pomocy przed wakacjami. Mimo że nie skończyłam jeszcze trzynastu lat, właścicielka poprosiła mnie, żebym przychodziła. Niewiele tam robiłam, ale czasami dostawałam pieniądze za swoje godziny. Kiedy indziej dawali mi rękawiczki albo pończochy. Raz właścicielka wręczyła mi klucz do szuflady pełnej pieniędzy. Miałam rozmienić większe banknoty. Natychmiast zwróciłam jej klucz i zaczęłam liczyć pieniądze. Obserwowała mnie i od tej pory ufała mi całkowicie.

Miałam swoje własne pomysły na zarobienie. Poprosiłam mamę, żeby kupiła mi batyst i kolorowe nici i obrobiłam chusteczkę ładną, szydełkową koronką. Wyglądała jak naprawdę drogi wyrób. Sprzedałam ją. Mama pozwalała mi robić niemal wszystko, co wymyśliłam, choć nie lubiła, gdy przyjmowałam pieniądze od ludzi, którzy prosili mnie o napisanie listu. Raz pisałam nawet podanie o zainstalowanie sieci elektrycznej w domu jednorodzinnym i dostałam za to pięćdziesiąt groszy. Mama powtarzała, że to jest przysługa, za którą nie powinnam brać pieniędzy.

Właścicielka sklepu zaproponowała mi kiedyś, żebym w czasie wakacji pojechała z nią i z jej dwojgiem dzieci do Morszyna-Zdroju, kurortu leżącego w pobliżu granicy z Rumunią. Chłopiec miał siedem, a dziewczynka dziewięć lat i potrzebny był ktoś, kto by się z nimi bawił. Mama uszyła mi kilka prześlicznych strojów, w sam raz do kurortu. Dzieciaki okazały się absolutnymi dzikusami; zachowywały się skandalicznie i były

zupełnie niewychowane. Nie umiały siedzieć porządnie przy stole, nie uważały i biegały zamiast chodzić. Robiłam, co mogłam, żeby je zająć, opowiadałam im bajki albo czytałam, wymyślałam nawet zabawy, żeby czymś je zainteresować. Starałam się je trochę ucywilizować, a kiedy mi się nie udawało, ogarniał mnie smutek, frustracja i tęsknota. Pierwszy raz znalazłam się tak daleko od domu.

*

Chodziłam jeszcze do szkoły, gdy w 1936 roku wybuchła hiszpańska wojna domowa. Po lekcjach czytałam w gazecie o pozycjach zajmowanych przez wojska rządowe i o ludności cywilnej, która chwyciła za broń i wystąpiła przeciw rządowi. Obie strony ponosiły ciężkie straty. Dzięki lekcjom historii wiedziałam, co oznacza wojna, ale wojna bratobójcza z powodu różnic ideologicznych była dla mnie trudna do pojęcia. Żeby zrozumieć, co to jest walka o władzę, musiałabym więcej wiedzieć o polityce. Niejasne było dla mnie zwłaszcza, jak może zapanować nienawiść nawet w rodzinie. Jak to możliwe, żeby bracia zabijali się nawzajem?

Zbliżało się zakończenie nauki w podstawówce; zaczynałam się denerwować. Dla uczniów kończących szkołę organizowano zabawę, musiałam więc nauczyć się tańczyć. Tata uczył nas kiedyś, gdy byłyśmy małe; stawiał nasze stopy na swoich i przesuwał się w tańcu, ale teraz musiał mi udzielić lekcji bardziej serio. Na zabawę włożyłam granatową, plisowaną spódniczkę i białą bluzkę z marynarskim kołnierzem. Nauczyciele przyszli w swoich najlepszych garniturach, a nauczycielki miały na sobie najpiękniejsze suknie, jakie kiedykolwiek widziałam. Pamiętam żonę dyrektora, panią Mazurkiewicz, nauczycielkę robót ręcznych – i jej długą suknię z brązowej tafty, z wysokim plisowanym kołnierzem, à la Maria Stuart. Moja pani Olejnikowa od polskiego, która uczyła też chłopców stolarstwa, miała długą

czarną suknię bez rękawów. A panna Świetlińska, nauczycielka geografii i botaniki, wystąpiła w kwiecistej sukni, z długim do pasa sznurem bursztynów. Często nosiła naszyjnik na co dzień, co niesłychanie mi się podobało. Kiedy opowiedziałam o tej zabawie mojej córce, musiała dobrze zapamiętać ten opis. Wiele lat później, gdy przyjechałam do niej do Kanady, obdarowała mnie sznurem bursztynów przywiezionych z Rosji. Są piękne, ale rzadko je wkładam, bo boję się, że je zgubię.

Na zabawie, na stołach przykrytych białymi obrusami, stały tace pełne kanapek i napojów. Kiedy zagrała muzyka, pani Olejnikowa, która była wtedy w ciąży, rozpoczęła tańce ze mną, bo niewiele ważyłam. Chłopcy, trochę nieśmiali, prosili do tańca dziewczynki wyższe ode mnie. Byliśmy dobrze przygotowani do tego wydarzenia, bo wcześniej pokazano nam, jak zachować się na balu i jak się prosi do tańca. Mnie poprosił do tańca pan Ordysiński, nauczyciel anatomii i fizyki. Do dziś pamiętam też radę na przyszłość, jakiej udzielił mi matematyk, pan Biernacki: „Cokolwiek robisz, staraj się być najlepsza".

Tego lata, gdy skończyłam szkołę podstawową, nie bardzo wiedziałam, co postanowić dalej. Mama nie chciała, żebym szła do technikum ORT i uczyła się fachu. Mówiła, że nie chce, żebyśmy szyły. Kilka moich koleżanek zapisało się tam, inne wybrały szkołę średnią. Mogłam jeszcze to zrobić i ja, ale nie potrafiłam podjąć decyzji. Któregoś dnia, gdy szłam z innymi dziewczynkami ulicą, zatrzymałyśmy się przy zakładzie fotograficznym Abramowicza, żeby popatrzeć na zdjęcia wiszące w witrynach po obu stronach wejścia. W oknie zakładu zauważyłam małe ogłoszenie: „Ucznia do zakładu fotograficznego przyjmę". Żadna z moich koleżanek nie zwróciła na to uwagi, ale zaczęłam się zastanawiać, czy to nie jest to, co chciałabym robić.

W domu zwierzyłam się mamie. Rano kazała mi kupić nowe wstążki do moich długich warkoczy, uczesała mnie i zawiązała kokardy. Poszłam do zakładu i spytałam, czy mogłabym się uczyć fotografowania. Pani Helena Spiegel, córka właści-

ciela, spytała, jak się nazywam i od razu wiedziała, kim jestem. Uśmiechnęła się, postawiła mały pulpit na stoliku obok biurka, dała mi ołówki i negatywy. Kazała mi usiąść na krześle i pokazała, jak ostrzy się ołówki i retuszuje niedoskonałości na fotografowanej twarzy. Dwie godziny później powiedziała mi, żebym przyszła po obiedzie. Doszłam do wniosku, że nie wypadłam tak źle, bo wieczorem kazała mi przyjść następnego dnia na ósmą rano. Byłam szczęśliwa, ale gdy po południu usłyszał o tym tata, rozgniewał się, bo znał Abramowiczów z czasów, kiedy spotykał się ze starszą siostrą pani Heleny, Marią. W zakładzie wisiał jej wielki portret; sfotografowano ją siedzącą na kamieniu. Była naprawdę piękna. Kiedy ojciec poszedł do wojska, wyszła za mąż za doktora Handelsmana, który kierował oddziałem psychiatrycznym szpitala w Tworkach pod Pruszkowem.

Po dwóch tygodniach mojej nauki pani Helena poprosiła mojego tatę, żeby podpisał dokumenty w sprawie wynagrodzenia, bo byłam niepełnoletnia. Nie przyszło mu łatwo ustąpić, ale zgodził się. Mama uszyła mi do pracy piękny fartuch z czarnej żorżety, a pani Helena z wielką pieczołowitością uczyła mnie wszystkiego, co powinnam była umieć. Pokazała mi, jak robi się zdjęcia i jak retuszuje się odbitki. Była w tym czasie w ciąży i miałam ją zastąpić niedługo, gdy urodzi dziecko, dlatego właśnie poszukiwali ucznia. Uczniowie zarabiali zwykle złotówkę tygodniowo, ale pani Helena dała mi trzy złote. Cała rodzina państwa Abramowiczów traktowała mnie bardzo miło.

Mieli jeszcze jedną współpracownicę, która retuszowała negatywy u siebie w domu, w Warszawie. Musiała je następnego dnia przywozić z powrotem do zakładu, co sprawiało jej nieco trudności – jako przyjaciółka właścicieli robiła to grzecznościowo. Zrezygnowała, kiedy tylko okazało się, że mogę przejąć całą pracę w biurze i w zakładzie. Gdy zbierało się dużo roboty, pani Helena dawała mi negatywy i pulpit do domu; pracowałam więc wieczorami, na akord, i zarabiałam dużo pieniędzy. Dostawałam tyle samo, co druga retuszerka, choć ona robiła to już od trzy-

dziestu lat. W tamtych czasach wszystkie zarobione pieniądze oddawało się rodzicom; mama trzymała je dla mnie na potrzebne wydatki.

Znalazłam coś, co polubiłam, miałam odpowiedzialną i artystyczną pracę. Pan Henryk Spiegel miał jednak inne plany wobec mnie. Dowiedział się, że w Warszawie, na Nowym Świecie, otwarto państwową Szkołę Fotografii i Kinematografii i podjął pewne kroki, przekonany, że byłby to dla mnie znakomity pomysł na przyszłość. Jedyny problem polegał na tym, że przyjmowano tam tylko uczniów z Warszawy. Pan Henryk jednak nie zrezygnował. Poprosił o spotkanie prezydenta Warszawy, pana Stefana Starzyńskiego, z którym kiedyś razem walczyli pod komendą Józefa Piłsudskiego o niepodległość Polski. Czekałam, bardzo niespokojna, czym się to skończy.

Pani Helena urodziła syna i ja zastąpiłam ją w zakładzie. Dopóki nie doszła do siebie i nie wróciła do studia, musiałam pracować w niedziele. Którejś soboty przyszedł jakiś przystojny młodzieniec i spytał, czy zdjęcie, potrzebne mu do legitymacji pracowniczej, można byłoby zrobić na niedzielę. Poprosiłam go, żeby zaczekał i poszłam spytać pana Abramowicza, czy zgodzi się, żebym wyjątkowo zrobiła to szybciej. Obiecał, że jeśli wyretuszuję wszystko na niedzielę rano, on skopiuje zdjęcia. Tak się stało i odtąd młody człowiek pozdrawiał mnie codziennie przez okno, kiedy jechał rowerem do pracy. Pochlebiało mi to – był pewnie ze trzy lata starszy ode mnie. Czułam się już kimś ważnym – odpowiadałam za pracę w zakładzie i podejmowanie decyzji o wszystkim, co tam się działo.

Innym razem przyszła jakaś pani z modną fryzurą. Nie ustawiłam ostrości w aparacie jak należy i zdjęcie wyszło trochę zamazane, ale i tak jej się podobało. Kiedy indziej klientka przyniosła roślinę zakwitającą raz na siedem lat. Też bardzo ucieszyła się z fotografii. Zrobiłam błąd, retuszując zdjęcie artysty cyrkowego, który wbijał sobie igły w ramię. Powinnam była zostawić te miejsca nietknięte, a ja je wyretuszowałam. Pani

Helena wytłumaczyła mi, że miały być widoczne. Nie miałam przeszkolenia, ale pracowałam najlepiej, jak umiałam. Pani Helena podwoiła moje tygodniowe zarobki, ponieważ zabierałam negatywy i pracowałam także w domu, finansowo powodziło mi się więc znakomicie.

Pewnego dnia tata powiedział mi, że ma dla nas dobrą wiadomość. Przewodniczący naszej gminy żydowskiej, pan Rosenblum, zaproponował, że wynajmie nam mieszkanie zbudowane w podwórzu jego domu. Było tam światło elektryczne, dwie duże izby – sypialnia i kuchnia – do tego piwnica i strych. Tacie mieszkanie się spodobało i przeprowadziliśmy się jeszcze raz. Zamówił szeroką kanapę pokrytą tkaniną gobelinową; spałyśmy na niej w kuchni obie z siostrą. Dopóki moja droga siostrzyczka dawała mi spokój – bo czasem szczypała mnie w nos – wszystko między nami układało się gładko. Musiałam trzymać się filozofii taty i szanować starszą siostrę, nawet kiedy mnie denerwowała, bo po prostu była starsza. Sypialnię ogrzewał biały, kaflowy piec. Mama zrobiła dość osobliwie wyglądające wypchane lalki i posadziła je na szczycie pieca dla dekoracji. Uszyła piękne zasłony, a tata kupił jej rośliny w doniczkach. Na ścianach wisiały haftowane przez Reginę i mnie makatki. Przez okna wpadało mnóstwo słońca; było ciepło i miło, ale wodę nadal musieliśmy nosić z podwórka.

Moja przyszłość rysowała się jasno. Czułam się bezpieczna, kochana i akceptowana. Rodzice dawali nam wszystko, co mogli. Nie byliśmy bogaci, ale nie pamiętam, żebym czuła się biedna albo czegoś komuś zazdrościła. Nie marzyłam o mieszkaniu w innym domu ani o niczym, co miały moje zamożniejsze koleżanki. Kiedy myślę o przeszłości, dochodzę do wniosku, że miałam wszystko, czego potrzeba dziecku. Dobrze się czułam w swoim otoczeniu i robiłam, co tylko w tamtych warunkach mogłam. Tata mawiał: „Lepiej być bogatym lokatorem niż biednym właścicielem ziemskim". Był optymistą. Nie sądzę, oczywiście, że nas to zadowalało; powiedziałabym raczej, że wycho-

wano mnie na realistkę, która potrafi zaadaptować się do każdej sytuacji.

Być może nie mieliśmy szeroko otwartego okna na świat, ale wyobraźnią można było wędrować w różne strony, gdzie się tylko chciało, bez ograniczeń. Wokół panowała harmonia, inspirująca dla mojej poetyckiej duszy. Lubiłam słońce, deszcz, złote jesienne liście i roziskrzony śnieg zimą.

Dziś zdaję sobie sprawę, że zapewnienie nam przyzwoitego życia wiele kosztowało naszych rodziców. Ojciec długo nie mógł po powrocie znaleźć pracy w Pruszkowie; później próbował w Warszawie, ale zakład dziewiarski, w którym pracował przed wyjazdem, zbankrutował. W poszukiwaniu zajęcia wydzierżawił sad w gospodarstwie pod Pruszkowem. Rosły tam różne drzewa owocowe. Ojciec znakomicie szacował spodziewany zysk z owoców, musiał jednak spędzać w sadzie całe lato, pilnując go przed złodziejami. Wytrwał tam, póki nie zebrał i nie sprzedał ostatnich owoców. Wynajął suterynę, w której przechowywał dojrzewające jeszcze jabłka i gruszki, czekając na zimę, gdy cena była wyższa. Na drugi rok zabrał mnie do sadu na kilka dni. Nauczył mnie jeździć konno, a od gospodarza dostawaliśmy codziennie świeże mleko i ser. Tata wyrywał marchewkę wprost z ziemi, mył ją i dawał mi do jedzenia. Przepracował w sadzie dwa lata i zrezygnował – mama nie lubiła, jak dłużej był poza domem.

Później, gdy szukał zajęcia w Warszawie, trafił na wędzarnię małych ryb, między innymi szprotek. Kupił kilka skrzynek, sprzedał je sklepom spożywczym w Pruszkowie i dostał nowe zamówienia. Pomysł był dobry, tata mógł na nim nieźle zarobić, ale trudno mu przychodziło prowadzenie biznesu. Czasem, gdy był zmęczony, prosił mnie, żebym odebrała pieniądze od klientów. Robiłam to chętnie; przedstawiałam się i prosiłam o sumy, które klienci winni byli ojcu. Mówili mu później, że jestem bardzo dobrze wychowana.

Dwa lata przed wybuchem wojny, w 1937 roku, przyszedł do ojca pewien młody człowiek imieniem Mieczysław. Ojciec

znał jego rodzinę, mieszkającą w Pruszkowie, podobnie jak Synalewiczowie, od wielu pokoleń. Mieczysław miał kontakty z hodowcami bydła pod granicą z Ukrainą i zaproponował ojcu wspólny biznes. Hodowcy wyrabiali różne gatunki sera i Mieczysław, jak twierdził, mógł sprowadzać je na sprzedaż. Mówił do taty „ojcze", jako że jego ojciec od dawna już nie żył. Tata zgodził się, sprzedał pierwszą dostawę, a potem następne. Jednak gdy wybuchła wojna, niemieckie wojska okupowały Polskę i pociągi towarowe wykorzystywano wyłącznie do celów militarnych. Nie można było już wysyłać serów koleją.

Nigdy nie słyszałam, by ojciec kłócił się z Mieczysławem, ale kiedy poprosił go o zwrot pieniędzy, które dał mu jako zaliczkę na kolejny transport, Mieczysław odparł, że nie zwróci gotówki, ponieważ w czasie wojny nie ma obowiązku kontynuowania interesów. Ojciec zainwestował w zakup i przewóz towarów sporą sumę. Był tak dotknięty zachowaniem swojego partnera, że na moich oczach zbladł i zemdlał. Natychmiast pobiegłam do lekarza i poprosiłam go o pomoc. Pojawił się niezwłocznie, zbadał ojca, po czym poprosił mnie, żebym poszła z nim do domu i zrobiła tacie mocną kawę. Kiedy wróciłam z kubkiem, Mieczysław jeszcze tam stał, ale gdy ojciec poczuł się lepiej, nie wytrzymałam i krzyknęłam: „Widzisz, co mu zrobiłeś! Nie jesteś porządnym człowiekiem. Zabrałeś nasze pieniądze".

*

Tuż przed wojną mamę zaczęły nocami dręczyć koszmary, dziwne przeczucia. Wciąż śniło jej się, że ktoś zabiera jej dzieci; często krzyczała przez sen. Następnego dnia była przewrażliwiona, myślała o tym, co jej się śniło. Ogarniał ją smutek. Nigdy nie czuła się w Polsce naprawdę szczęśliwa, ale robiła, co mogła. Niewielu ludzi rozumiało jej niepokój, a my byłyśmy za młode, by pojąć to i okazać jej zainteresowanie, którego tak potrzebowała. Pamiętam, jak opowiadała nam o swoich snach i prosiła,

byśmy uważały. Jej błagania na nic się nie zdały, gdy wybuchła wojna.

Mnie też coś się przyśniło przed wojną. To był sen o rodzicach; niepokoił mnie przez dłuższy czas. Nie chciałam nikomu o nim opowiadać, w obawie, że ktoś mnie skrytykuje albo wyśmieje. Zdawałam sobie też sprawę, że być może nie jestem w stanie objąć w pełni wymiaru tego przeżycia, właściwie pozazmysłowego. Którejś nocy położyłam się spać o wpół do dwunastej i zasnęłam natychmiast. Nagle moje ciało zrobiło się lekkie. W strachu, że spadnę z łóżka, chwyciłam brzeg materaca. Czułam, jak unoszę się coraz wyżej. Otoczyły mnie ciemne chmury. Z natury nie mam zbyt szybkiego refleksu, ale i tak nie wiedziałabym, co robić. Pamiętam, że przez głowę przelatywało mi pytanie, czy umieram. Trwało to chwilę, po czym zaczęło się przejaśniać i zza grubych, ciemnych chmur wyłonili się moi rodzice. Stali bardzo blisko siebie. Widziałam ich tylko od kolan w górę, zapamiętałam też suknię mamy – brązową z dopasowanym do niej żakietem ozdobionym sztucznym kwiatem w klapie. To był jesienny strój. Ojciec miał na sobie garnitur w drobne brązowe kwadraciki na niebieskim tle. Ubrania obojga spowijał szary dym, ale cera zachowała naturalny kolor. Stali i patrzyli na mnie.

– Mamo! Tato! – zawołałam. Ich twarze nie drgnęły; nie poruszyli się ani nie nawiązali ze mną żadnego kontaktu.

Chciałam z nimi rozmawiać, ale stali kompletnie obojętni. Wyciągałam ręce, żeby ich objąć i nie mogłam sięgnąć. Znów zaczęłam mówić, tym razem z rozpaczą w głosie.

– To ja, wasza córka. Długo byłam sama. Pozwólcie mi zostać z wami. Pamiętam o was codziennie; pamiętam, czego mnie uczyliście. Zachowuję się, jak należy, tak jak chcieliście. Pozwólcie mi iść z wami. – Nie było żadnej odpowiedzi. Poczułam się odepchnięta. Byłam zupełnie załamana.

Obraz rodziców w chmurach utrzymywał się jeszcze przez chwilę. Potem nagle przedarło się światło i mogłam zobaczyć ich

wyraźnie. Chciałam się do nich zbliżyć, ale nic to nie dało. Mama i tata lekko się poruszyli, obrócili i odeszli, trzymając się za ręce. Szli w tak gęstych chmurach, że nadal nie widziałam ich nóg. Mama odwróciła głowę i ostatni raz na mnie spojrzała. Ojciec szedł, nie oglądając się za siebie. Wciąż trzymając się za ręce, zniknęli w chmurach. Poczułam wielką pustkę, byłam niepocieszona. I wtedy zorientowałam się, że opadam na łóżko. Kiedy całkiem się rozbudziłam, wpadłam w przerażenie, przekonana, że to nie był sen. Nie wstałam, dopóki nie nabrałam pewności, że to, co mi się przyśniło, nie zdarzyło się naprawdę. Wryło mi się w pamięć uczucie towarzyszące lewitacji, obraz rodziców i to, co czułam, opuszczając się na łóżko.

Ogarnęły mnie dziwne uczucia i pojawiło się mnóstwo pytań bez odpowiedzi. Czy było to wyróżnienie, czy ostrzeżenie? A może przeczucie? Czułam się dziwnie nieswojo. Doszłam do wniosku, że zdarzyło się mi coś, czego nie potrafię wytłumaczyć samej sobie ani opowiedzieć rodzinie. Najlepiej było zachować tę tajemnicę dla siebie.

Ten sen wciąż we mnie tkwi, żywy od czasu, kiedy mnie nawiedził.

*

Pewnego dnia mama, tata i Regina siedzieli przy stole, czekając z obiadem na mój powrót z pracy. Przyszłam tak podekscytowana, że nie mogłam nawet myśleć o jedzeniu. Miałam dla nich dobrą wiadomość – zostałam przyjęta do nowo otwartej szkoły fotografii i kinematografii w Warszawie! Mogłam się zapisać dzięki specjalnemu pozwoleniu prezydenta stolicy. Szansa zdobycia wykształcenia wprawiła mnie w zachwyt. Dla dziewczyny w moim wieku jeszcze bardziej fascynująca była perspektywa noszenia czapki specjalnie zaprojektowanej dla szkoły. Miałam codziennie jeździć do Warszawy pociągiem i wszyscy chcieli mi pomóc w każdej sprawie. Moi najbliżsi mówili o tym

wydarzeniu z entuzjazmem i życzyli mi szczęścia. Byłam oszołomiona wspaniałością tego, co mnie czekało.

W tym czasie zaczęły nas dochodzić niepokojące pogłoski o wojnie. Kiedy w 1933 roku Hitler został kanclerzem Niemiec, obiecał, że jego priorytetem będzie ponowne zjednoczenie ziem, które kraj utracił po I wojnie światowej na mocy traktatu wersalskiego. Złamał postanowienia traktatu dotyczące wojska, zbrojąc się na nowo i budując siły powietrzne, i przygotowywał ludność, a także swoją machinę wojenną, do ekspansji terytorialnej. Poprzednia wojna spowodowała załamanie ekonomiczne Niemiec, a Hitler zapowiedział wzmocnienie gospodarki. Miał taki dar perswazji, że nawet przywódców partii socjalistycznej przekonał, by głosowali na niego, i to w czasie, gdy komuniści z sukcesem rządzili wieloma dużymi miastami. W czasie kampanii twierdził, że ojczyzna odbudowywana pod jego kierownictwem będzie wielka i czysta.

W latach poprzedzających II wojnę światową polski minister spraw zagranicznych pułkownik Józef Beck i ambasador Polski[2] Józef Lipski kilkakrotnie spotykali się z ministrem spraw zagranicznych Niemiec Joachimem von Ribbentropem, by omówić sprawy terytorialne. Traktat wersalski nadał Polsce – która po I wojnie światowej odzyskała niepodległość – pas byłego terytorium niemieckiego nazywany polskim korytarzem i zapewniający Polsce dostęp do Bałtyku. Na mocy traktatu Gdańsk zyskał status wolnego miasta, niezależnego od Niemiec i od Polski. Głównym portem Polski została Gdynia, zbudowana niedługo po tym w pobliżu Gdańska. Niezależnie od tych postanowień Polska i tak miała prawo do tego pasa ziemi. Miała też pewne historyczne pretensje do tych terenów dawnego Pomorza, zajmowanych przez Niemców w wyniku różnych bitew. Ludność mówiła tam po polsku i niemiecku, Polacy żyli w harmonii obok ludności niemieckiej. Roszczenia, jakie zgłaszał Hitler do korytarza, były

[2] W Berlinie (przyp. tłum.).

jedynie pretekstem do jego planu ekspansji. Przyspieszył wybuch wojny, odmawiając kontynuowania toczących się od dawna polsko-niemieckich rozmów.

Przed niemieckim atakiem na Polskę 1 września 1939 roku prezydent Warszawy Stefan Starzyński wezwał mieszkańców przez radio do kopania rowów obronnych. Zgłosiłam się ochotniczo do tych robót, razem z innymi młodymi ludźmi, w nadziei, że przyczynię się do obrony przed atakami z powietrza. Wielu z nas poszło na dworzec kolejowy pomagać zmobilizowanym żołnierzom w dotarciu do ich jednostek. Śpiewaliśmy i machaliśmy do nich. Każdy patriotyczny gest służył wielkości naszego kraju.

Naczelny wódz Edward Rydz-Śmigły był następcą marszałka Józefa Piłsudskiego, dowódcy polskich sił zbrojnych, który zmarł w roku 1935. W pamiętnym przemówieniu Rydz-Śmigły powiedział: „Nie tylko nie oddamy całej sukni, ale nawet guzika nie damy". Stracił nie tylko guziki; Polska została zrujnowana, zbombardowana i zajęta przez Niemców. Dla żydowskiej ludności Polski nie było ucieczki.

Wrzesień 1939

Był słoneczny dzień złotej jesieni, gdy usłyszeliśmy dźwięk ciężkiego samolotu. Silniki ryczały głośniej i groźniej niż zwykle. Wybiegliśmy przed dom popatrzeć na niebo. Nagle ogarnęła nas ciemność. Otoczyła mnie gęsta, czarna chmura. Usłyszałam, jak ktoś krzyczy: „Niemcy!". Ciemność oddzieliła mnie od rodziny. Matka i siostra były wprawdzie tuż obok, ale nagle poczułam się zdumiewająco samotna. Tego dnia wybuchła wojna. W Pruszkowie pierwsze bomby spadły na linię kolejową. A potem na całe miasto.

Po kilku dniach niepewności ojciec postanowił pójść do Warszawy, pomagać w przygotowaniu obrony.

– Będziemy walczyć z niemieckimi wojskami – powiedział. – Nie damy im zająć stolicy.

Liczył też na pomoc mieszkających w Warszawie bratanków, którzy kilka lat wcześniej służyli w wojsku.

Całą rodziną poszliśmy siedemnaście kilometrów do Warszawy. Gdy dotarliśmy do krewnych, ojciec zapytał moich kuzynów o możliwości wstąpienia do wojska, ale było już za późno, by ochotnicy włączali się w obronę naszej ojczyzny. Nie było do czego wstąpić – Polska została pokonana po kilku zaledwie tygodniach od wybuchu wojny. Szybka niemiecka inwazja w krótkim czasie złamała opór polskich wojsk. Dziś widzę, jak mylne były oczekiwania ojca. Nie zdawał sobie sprawy, że od 1914 roku machina wojenna zrobiła tak wielkie postępy. W 1939 roku w barbarzyńskich metodach niszczenia ludzkiego życia staroświeckie walki zastąpiła

technika. Wróciliśmy z Warszawy do Pruszkowa. Tą samą drogą triumfalnie, ze śpiewem, maszerowali do Warszawy niemieccy żołnierze. Wszyscy wydawali mi się tego samego wzrostu.

Rychło na ulicach Pruszkowa esesmani zaczęli nękać pobożnych Żydów i obcinać im brody. Tych, których nie potrafili rozpoznać jako Żydów, wskazywali im miejscowi polscy sympatycy Niemców. W Polsce byli kolaboranci. Nawet dzieci na ulicach pokazywały palcami Żydów i wołały „Żyd!", ułatwiając działania nazistów. Litwini i Ukraińcy służący w niemieckim wojsku bili Żydów wskazanych przez Polaków. Tak było już w pierwszych tygodniach po inwazji.

Później niemieccy żołnierze łapali nas na ulicach i zmuszali – bez względu na wiek – do sprzątania całego miasta. Ojca przydzielono do dowództwa niemieckiego, ponieważ doskonale znał niemiecki – nauczył się go jako jeniec podczas I wojny światowej. Matkę posłano do sprzątania szkoły, a siostrę do prac porządkowych w fabryce. Ja przez krótki czas sprzątałam w technikum, gdzie uczniowie śmieli się ze mnie i robili nieprzyzwoite żarty.

Wciąż pracowałam w zakładzie fotograficznym, choć pani Helena dbała, by mnie tam nie widziano. Dla uniknięcia kontaktów z Niemcami, którzy przychodzili zrobić sobie zdjęcie, siedziałam w jej sypialni, przy stole pod oknem. Któregoś dnia ojca pani Heleny pobito na ulicy. Całe życie mieszkał w Pruszkowie, szanowano go i jeszcze dwa lata wcześniej był jedynym fotografem w mieście. Szkoły, policja, urzędy, śluby, matury i uroczystości religijne – wszyscy robili sobie zdjęcia w zakładzie fotograficznym Abramowicza. W mieście znał go każdy. Nadal pracował w ciemni, wywoływał negatywy i kopiował odbitki. Był postawnym człowiekiem, już dość starym. Nawet jego nie ominęło powszechne nękanie Żydów.

W listopadzie Żydom nakazano noszenie opaski z gwiazdą Dawida. Wciąż łapano ich na ulicach, bito i zmuszano do pracy. Podporządkowywali się, sterroryzowani, godząc się z koniecznością słuchania niemieckich rozkazów.

Pewnego dnia spotkałam w bibliotece dawnego kolegę z klasy. Był synem dyrektora Gimnazjum im. Tomasza Zana; przez wiele lat siedzieliśmy w tej samej ławce w szkole podstawowej im. Józefa Piłsudskiego.

– Co tu robisz? – spytał.

– To samo co ty. Pożyczam książki – stwierdziłam niewinnie.

– Nigdy więcej! Jesteś Żydówką!

Powiedziałam mu, że mam takie same prawo być w tym miejscu, jak i on. Dwie pracownice przy kontuarze, przerażone, przerwały pracę. Znały mnie i moją rodzinę aż do pokolenia dziadków wstecz. Było sobotnie popołudnie, bibliotekę zapełniał tłum ludzi, którzy zaczęli komentować zaistniałą sytuację. Nie mogę powiedzieć, że opinie rozkładały się równo i choć nie wszyscy byli przeciwni mojej obecności, nikt mnie nie bronił. Miałam szczęście, że właśnie w tym momencie do biblioteki wszedł jeden z naszych sąsiadów, poeta, którego poznałam, pracując w zakładzie. On, ryzykując własne bezpieczeństwo, wyprowadził mnie stamtąd.

Właściwie natknęłam się wtedy na syna dyrektora po raz drugi. Pierwsze starcie mieliśmy jeszcze w szkole. Pocztowa Kasa Oszczędności zorganizowała wtedy konkurs na pracę dotyczącą powodzi na Polesiu. Nagrodą był mały sejf z zameczkiem. Kiedy oddaliśmy swoje wypracowania, nasza pani powiedziała mi, że moja praca była najlepsza i że przekazała ją dyrektorowi z najwyższą oceną, piątką z plusem. Nagrodę zdobył jednak syn dyrektora gimnazjum. Któregoś dnia w czasie wakacji nauczycielka powiedziała mi: „Na pewno wiesz, dlaczego tak się stało, ale twoje wypracowanie było najlepsze". Po raz pierwszy poczułam się wtedy dyskryminowana w szkole. Żydowskim chłopcom często dokuczano, popychano ich i wyśmiewano, ale rzadziej dotyczyło to dziewczynek. Gdy wybuchła wojna, rozróżnienie między żydowskimi chłopcami i dziewczętami przestało istnieć.

*

Na początku października 1940 roku Niemcy kazali nam opuścić domy i przesiedlili nas do getta wyznaczonego w bardzo biednej dzielnicy Pruszkowa, gdzie wcześniej mieszkali polscy robotnicy. Cały teren otoczyli drutem kolczastym; przy jedynym wyjściu stał na warcie esesman. Powołali też Komitet Żydowski, który decydował, kto gdzie będzie mieszkał. Nam przydzielono pokój z kuchnią w domu z małym ogródkiem. Nad nami ulokowano starsze małżeństwo z córką, właścicieli sklepiku z nabiałem. Tata natychmiast zaczął kopać w ogródku, by posadzić ziemniaki i kapustę na wypadek, gdyby nasza sytuacja nie miała się szybko zmienić. Robił, co mógł, by zapewnić nam dobre warunki, ale poprawić naszego losu nie mógł. Cała żydowska ludność znalazła się nagle w tej samej kłopotliwej sytuacji. Ani getta, ani udręki, którą tam wszyscy cierpieliśmy, nie potrafię wymazać z pamięci.

Niemcy wyłapywali Żydów do robót przymusowych i bili ich po drodze, dlatego Tata nie mógł już wychodzić na zewnątrz, żeby zajmować się interesami. Rodzice uważali, że moja siostra, starsza ode mnie, też jest zagrożona, tak więc to mnie przypadło wymykać się z getta na peryferie miasta do pewnej kobiety w pobliskiej wsi, by prosić ją o żywność. Przynosiłam z powrotem ziemniaki, melasę i chleb. Miałam ze sobą pieniądze, ale kobieta nie przyjmowała ich, bo znała mojego ojca.

Chociaż matka wciąż nie dogadywała się z ciotką Diną, poprosiła ojca, żeby sprowadził do nas i Dinę, i jej córkę Toby. Toby pracowała wcześniej w banku, ale jako Żydówka teraz już nie mogła być zatrudniona. Nie miało znaczenia to, że była związana z polskim harcerstwem i pełniła wartę w ratuszu. Druga córka Diny, Marysia, uciekła do Związku Sowieckiego, kiedy wkroczyli Niemcy, ale wróciła do Polski po urodzeniu córeczki. Niemal cała rodzina Synalewiczów zginęła w Holokauście. Przeżył tylko młodszy syn ciotki Diny, Benjamin, i to dlatego, że ciotka, chcąc go uchronić przed służbą wojskową i losem ojca, ubłagała go, by wyjechał z Polski. W 1931 roku załatwił

sobie wyjazd do Argentyny, z niedawno poślubioną żoną Zofią. Z jakichś powodów ojciec próbował odwieść Benjamina od tego małżeństwa, dlatego ani nie zaproszono nas na ślub, ani Benjamin nie pożegnał się z nami przed wyjazdem.

*

W czasie naszego pobytu w getcie mama zachorowała. Mimo godziny policyjnej pobiegłam do przyjaciół po jakieś lekarstwo. Do rana nie było jednak żadnej poprawy. Tata zdołał wymknąć się z getta i dotarł z prośbą o pomoc do prywatnej kliniki doktora Steffena. Doktor wziął swoją torbę, kapelusz i poszedł za nim. Znał nas, bo moi dziadkowie dostarczali kiedyś żywność do jego kliniki. Przy wejściu do getta wyjaśnił, że zachorował jeden z jego pacjentów. Żołnierz wpuścił go. Doktor orzekł, że mama ma chorą wątrobę, dał ojcu jakieś leki dla niej i zalecił lekką zupę warzywną. Mieliśmy w piwnicy warzywa przygotowane przez ojca na zimę. Nie znałam się na kuchni, ale domyślałam się, że jarzyny trzeba obrać, pokroić i ugotować w posolonej wodzie. Ciotka Dina oferowała swoją pomoc, nie pozwoliłabym jednak na to ani jej, ani nikomu innemu. Po kilku dniach mama poczuła się lepiej.

Życie w getcie było nie do wytrzymania. Radziliśmy sobie, bo nie mieliśmy wyjścia. Moi znajomi, młodzi ludzie, spotykali się w różnych domach, żeby nie wyśledzili ich Niemcy. Na nasze spotkania często przychodził nauczyciel, pan Koziebrodzki. Była to tylko rozrywka – nie mogliśmy w żaden sposób zmienić naszej sytuacji.

Nikt nie przyszedł nam na ratunek. Kościół katolicki postanowił milczeć w obliczu naszych cierpień. Może jedno ich słowo, by w imię Boże skończyć z nienawiścią, miałoby jakiś skutek, ale może i nie. Antysemityzmu często nauczano w kościołach. Polscy księża, tacy jak ksiądz Trzeciak z jednej z warszawskich parafii, gorliwie uczyli nienawiści do Żydów bez żadnej zachęty ze strony Niemców.

W styczniu tamtego 1941 roku, w getcie, po raz ostatni obchodziłam urodziny z rodzicami i siostrą. Wpadli do nas przyjaciele, a jeden z nich, Zachariasz Artstein, napisał dla mnie w prezencie wiersz. Po latach dowiedziałam się, że był jednym z bohaterów, którzy zginęli w powstaniu w warszawskim getcie.

Żyliśmy w niepewności, ale wciąż liczyliśmy, że sytuacja niedługo się poprawi. Powoli jednak, pod wpływem ciągłego zagrożenia i codziennych upokorzeń, zaczynaliśmy tracić nadzieję. I wtedy doszły do nas plotki, że mamy być deportowani do getta w Warszawie.

Z getta do getta

Pewnego późnego popołudnia, pod koniec stycznia 1941 roku, usłyszeliśmy, że ktoś wyłamuje drzwi. Ojciec w mgnieniu oka dopadł ich i zaryglował tak, że nie można było otworzyć ich z zewnątrz. Bojąc się najgorszego, przeszedł obok okna, żeby zgasić światło. Któryś z bandytów zajrzał przez szybę i pewnie go rozpoznał, bo odeszli, z siekierami w dłoniach. Może to sumienie kazało mu nas ominąć. Przez całą noc siedzieliśmy przerażeni i wstrząśnięci.

Następnego dnia polecono nam przygotować się do wyjścia – pogłoski o ewakuacji okazały się prawdziwe. Widzieliśmy, jak wszyscy nasi dawni sąsiedzi, Polacy, także sąsiedzi innych rodzin czekają za drutem kolczastym, żeby zabrać nasz dobytek. Już wcześniej dowiedzieli się o ewakuacji i dlatego tamci ludzie próbowali poprzedniej nocy okraść nas, a może i zabić. Przed wyjściem z pruszkowskiego getta ojciec zniszczył wszystko, co zostało z naszych rzeczy, i ze złości oblał naftą zapasy w piwnicy. Jego gniew był usprawiedliwiony. Potraktowano nas niesprawiedliwie. Ludzie, którzy przyszli grabić, nie zasługiwali na nic lepszego.

Tego dnia, gdy deportowano nas do getta w Warszawie, pogoda była wyjątkowo piękna. Otaczała nas biel i słońce. Skrzący się śnieg skrzypiał pod nogami. Szliśmy do ciężarówek, którymi Niemcy zamierzali nas przewieźć. Z tobołkami w rękach czekaliśmy na rozkazy. Niemcy wrzeszczeli na starszych ludzi z trudem wspinających się do samochodów.

Błagałam esesmana, by pozwolił mi jechać razem z matką i siostrą. Krzyczał na mnie i nie zgodził się. Musiałam go słuchać

i pójść do ostatniej ciężarówki. Po raz pierwszy rozdzielono mnie z rodziną; później zastanawiałam się, czy nie był to właśnie ten moment, który zadecydował o moim przeznaczeniu. Ciężarówka była pełna kobiet; stałam pośrodku, przyglądając się ich twarzom. Tymczasem mój ojciec, w jeszcze innym samochodzie, podjął się pomóc w tej męce starym i chorym. Pamiętam, że ku memu zdumieniu po drodze panowała cisza; czasem tylko słyszałam głębokie westchnienie. Ludzie siedzieli zrezygnowani. Mało kto się znał i nikt nie miał nastroju do kontaktów towarzyskich. Wszyscy byli w szoku.

Wysiedliśmy z ciężarówek w pobliżu stacji kolejowej. Esesman kazał mi iść tam, gdzie stały pociągi, które miały zawieźć ludzki ładunek do warszawskiego getta. Pierwszego transportu, którym pojechały moja matka i siostra, nigdzie nie było widać. Wagony stały puste, pustkę też czułam w sercu, czekając tam samotnie; rozpaczliwie rozglądałam się za kimkolwiek z rodziny. Czułam się tak, jakbym miała zablokowany wzrok i słuch, jakbym została oddzielona od świata zewnętrznego.

Kilka godzin później do wagonu, w którym czekałam, wsiadły jakieś kobiety. Przeszły przez łaźnię i „dezynfekcję", spuszczały głowy po tym upokarzającym przeżyciu. Spytałam, czy nie widziały mojej matki i siostry. „Niedługo tu będą", powiedziała jedna z nich, bez żadnego wyjaśnienia. Nie pojawiły się jednak. Spotkałyśmy się dopiero w Warszawie, w dużym pomieszczeniu przejściowym, wyglądającym jak szkolna sala gimnastyczna.

W wielkiej hali w Warszawie odnalazł nas ojciec. Siedziałyśmy na podłodze, tak jak tysiące innych, z poczuciem beznadziei. Tam usłyszałam, co przeszły mama i siostra. Mama opowiedziała Tacie, że musiały się rozebrać do dezynfekcji. Mama wciągnęła siostrę za siebie, żeby te zbiry nie zobaczyły jej nagiego ciała. Płakała, opowiadając. W tym momencie przechodził obok nas pan Henryk. Dał nam kilka kawałków cukru dla podtrzymania ducha. Rano pozwolono nam rozejść się po getcie. Kuzynka Jadzia oddała nam swoje mieszkanie, a sama przeniosła się do teściów, gdzie były wolne pokoje.

Jadzia wyszła za mąż za Izika Wainfelda i miała małego, jasnowłosego synka o takich samych niebieskich oczach jak jego ojciec. Mój kuzyn Icchak, starszy brat Benjamina, mieszkał z rodziną w innym budynku w getcie. Pamiętam też, że w warszawskim getcie była kuzynka Mindy, żona Aarona Rosenberga. Nie wiem dokładnie, co stało się z ciocią Gelą, jej synem i jego rodziną. O ile wiem, wszyscy zginęli w ten sam sposób – w obozach.

Warszawskie getto już było przeludnione, ponieważ zwieziono tam Żydów spod Warszawy i z innych okolicznych miast. Na ulicach bito i zabijano Żydów na oślep. Wszędzie błąkały się nagle osierocone małe dzieci. Płakały, były chore, głodne i opuszczone. Starsze żebrały. Bezdomni, wychudzeni jak szkielety, snuli się po ulicach; ich wyciągnięte ręce wyglądały jak patyki zawinięte w suchą, żółtą skórę. Przykryci papierem zmarli leżeli tam, gdzie ich wycieńczone ciała wydały ostatnie tchnienie.

Pamiętam, jak czekałyśmy z matką i siostrą, aż ojciec wróci z synagogi w getcie. Co kilka minut wyglądałam, czy idzie. Kiedy w końcu się pojawił, w szalu modlitewnym na ramionach i z modlitewnikiem w ręce, wybiegłam mu na spotkanie i rzuciłam się mu na szyję. Byłam szczęśliwa, że go widzę! A niedługo potem zostałam sama, zagubiona, bez rodziny i bez korzeni.

W tych strasznych czasach wielu młodych ludzi wstępowało do szkoleniowego kibucu, utworzonego na terenie getta przez dwa ruchy syjonistyczne: Haszomer Hacair i Dror. Chcieli przede wszystkim zorganizować ruch oporu. Nie wszyscy wyznawali obowiązujące w kibucu zasady kolektywizmu. Niektórzy po prostu nie mieli rodziny, domu ani środków do życia. Było jednak wielu wiernych członków ruchu, mimo że w kibucu panowały warunki równie trudne jak w całym getcie; często jadano tylko jeden, i to skromny, posiłek dziennie. Dla idealistów oczywiście kibuc oznaczał nadzieję, że pewnego dnia spełni się marzenie ich życia i wyjadą do Palestyny.

Pierwsze kibuce na terenie Brytyjskiego Mandatu Palestyny utworzono na przełomie wieków XIX i XX. Były schronieniem

dla uchodźców, którzy uciekając przed pogromami w Rosji i antysemityzmem w Polsce, emigrowali do Palestyny w nadziei, że powstanie tam niepodległe państwo żydowskie. Rozpoczynali nowe życie pionierów, doskonalili swoje umiejętności w rolnictwie, budownictwie i samoobronie, kształtując wzory dla kibuców w diasporze. W Polsce kibuce skutecznie przyciągały młodzież szkoleniami (*hachszara*), które przygotowywały do emigracji na tereny przyszłego państwa Izrael i do odbudowy ziemi przodków.

Na terytorium Brytyjskiego Mandatu Palestyny młodzi pionierzy łączyli się najpierw w małe grupy (*kwuca*), później, w miarę jak dochodzili do nich coraz liczniejsi przybysze i inne grupy – w większe wspólnoty. Tak zaczynał się kształtować model życia w kibucu. Kobiety mieszkały w osobnych domach. Podobnie jak mężczyźni, z trudem znajdywały pracę. Poza gotowaniem i pomocą w domach bogatych ludzi nie było nic. Szybko zorientowały się, że trzeba rozglądać się za mniej tradycyjnymi zajęciami i udowodniły, że potrafią sobie radzić w zawodach, które do tamtej pory zarezerwowane były wyłącznie dla mężczyzn.

A kiedy zostały zaakceptowane na stanowiskach, których im wcześniej odmawiano, rozpoczęły epokę emancypacji. Skoro zdobyły uznanie, w kibucach zapanowała koedukacja. Rodziło to kwestie natury moralnej, gdyż konserwatywne, ortodoksyjne rodziny krzywo patrzyły na grupy mieszane. W sumie jednak wspólnotowe życie w kibucach kwitło.

W Warszawie młodzieżowy syjonistyczny ruch Dror miał swój kibuc szkoleniowy, swego rodzaju komunę. Jednak po wybuchu wojny w 1939 roku nie można było funkcjonować w nim tak jak wcześniej. Moja siostra postanowiła wstąpić do kibucu Droru niedługo po naszym przyjeździe do Warszawy w 1941 roku, ponieważ pociągał ją idealizm ruchu i nadzieja na udział w ruchu oporu. Ojciec pomógł jej przenieść rzeczy do domu Droru w getcie, ale pomysł, że jego córka będzie żyła pod jednym dachem z chłopcami, i to w miejscu o nienajlepszej reputacji, ranił jego uczucia. Nie powiedział ani słowa z powodu groźnej

i beznadziejnej sytuacji w getcie – może myślał, że będzie to dla niej najlepszy sposób na przetrwanie. Jednak po jej odejściu przez całe popołudnie siedział przy stole z głową opartą na rękach, nie odzywając się. Następnego ranka, kiedy się obudziłyśmy, ojca nie było. Nie zostawił też żadnej wiadomości. Przez dwa tygodnie nic o nim nie słyszałyśmy. Potem dostarczono nam list i wielki bochen chleba. Ojciec uciekł do Siedlec, około stu kilometrów na wschód od Warszawy. W liście napisał: „Nie mogłem znieść tego, że moja córka poszła do kibucu". Radził nam znaleźć jakiegoś szmuglera, który pomógłby nam wydostać się z getta i przyjechać do niego do Siedlec.

Obie z matką czułyśmy się rozdarte. Nie chciałyśmy zostawiać siostry w Warszawie, ale ciągnęło nas do ojca. Miałam mętlik w głowie, targały mną różne uczucia. Byłam młoda i niedoświadczona – nigdy nie podróżowałam samotnie i poruszałam się tylko w pobliżu domu; chodziłam jedynie do szkoły, do biblioteki i do koleżanek. Chociaż przez ponad rok przed wybuchem wojny pracowałam w zakładzie fotograficznym, wobec życiowych problemów byłam wciąż naiwna. Poza tym i tak nigdy nie rozwiązywałam swoich problemów sama. To przeznaczenie mnie prowadziło. Tego jestem pewna.

Wracałam myślami do życia w Pruszkowie – zaledwie rok wcześniej, a wydawało się, że tak dawno. Kiedy postanowiłam uczyć się fotografii, zrobiłam to za wiedzą mamy. Gdy mnie przyjęto i powiedziałam o tym tacie, był zaszokowany i bardzo temu przeciwny, bo uważał, że młodej dziewczynie nie wypada pracować. Chociaż pracownia była zaledwie dwie przecznice od domu, zawsze czekał na mnie po pracy; nie chciał, żebym późnym popołudniem wracała sama.

Teraz zmuszono mnie do podjęcia ważnej decyzji. Uważałam, że jeśli razem z matką wyruszę do ojca, siostra poczuje się opuszczona. Nie mogłam zrobić jej tego, co nam zrobił ojciec, odchodząc od rodziny, bo nie zgadzał się z wyborem córki, która przyłączyła się do postępowego ruchu. Byłam zła, ale rozumia-

łam go – chciał uniknąć udręki i szukał na to sposobu. Myślami wciąż byłam jednak z siostrą.

Jestem pewna, że pionierom w Palestynie nigdy nie było łatwo zostawiać domy i rodziców i wstępować do kibucu. Jednak w czasie pokoju podtrzymywały ich romantyczne ideały, fascynowało ich budowanie nowego społeczeństwa. Teraz dla wielu z nas była to decyzja nagła i nieoczekiwana, podejmowana w sytuacji, gdy rozpadało się nasze dotychczasowe życie. Nagle rodzina przestawała istnieć. Trudno mi było coś postanowić. Bezsenne noce też nie pomagały. Mimo że rozstałyśmy się z inicjatywy mojej siostry, moja pierwsza myśl brzmiała: nie mogę jej zawieść. Podjęłam decyzję. Postanowiłam też wstąpić do kibucu.

Od tej chwili nie musiałam już o niczym decydować; robił to za mnie ruch. W kibucu musiałam tylko wypełniać rozkazy. Wydawało mi się to dość łatwe, bo tak naprawdę nie wiedziałam jeszcze, czego chcę, a czułam, że dam sobie radę, jeśli tylko będę blisko siostry. Tłumaczyłam sobie, że ojciec może ochronić matkę, a ja powinnam być koło siostry. Jak się okazało, myliłam się we wszystkim.

Znalazłyśmy z mamą człowieka, który za pieniądze wyprowadzał ludzi z getta. Napisałyśmy do ojca, kiedy matka przyjedzie, i kilka dni później przeniosłam swoje rzeczy do kibucu. Tego samego dnia odprowadziłam matkę na spotkanie ze szmuglerem. Pocałowałyśmy się na pożegnanie. Nigdy więcej się nie zobaczyłyśmy. I tak skończyły się dla mnie lata rodzinnego ciepła.

*

W domu Droru brakowało miejsca dla nowych osób, pojawiających się tam każdego dnia; nikogo jednak nie odsyłano. Weterani, jak nazywaliśmy pierwszych członków kibucu, robili, co mogli, żeby ulokować przybyszów, choć wyrzucali nam z pewną goryczą, że dołączyliśmy do nich tylko dlatego, że zmusiła nas do tego wojna. Bardzo często mieli rację. Dowiedzieliśmy się, że

idealiści pracowali przez całe lata, czekając na wyjazd do Ziemi Obiecanej, ale ich marzenia były równie nieziszczalne, jak nasze.

Wczesna wiosna 1941 roku była bardzo zimna. Zarówno w ogromnie przeludnionym getcie, jak i w kibucu sytuacja pogarszała się z każdym dniem. W obawie przed epidemią tyfusu przyszła nas szczepić Lidia Zamenhof – córka Ludwika Zamenhofa, wynalazcy międzynarodowego języka esperanto. Odwiedził nas też doktor Janusz Korczak, doświadczony wychowawca, który prowadził w getcie sierociniec. Zauważył, że z racji dużej liczby ludzi posiłki jadaliśmy na trzy zmiany; stwierdził, że tak długie czekanie na swoją kolej działa przygnębiająco.

– Poza tym – stwierdził – ci, którzy jedzą jako pierwsi już są głodni, kiedy zaczyna jeść trzecia zmiana.

Brakowało jednak naczyń, by wszyscy mogli jeść razem.

Rozwiązanie przyszło kilka tygodni później, kiedy komitet kierowany przez Icchaka Zuckermana i Cywię Lubetkin poinformował, że znalazł w Czerniakowie, na peryferiach Warszawy, dziesięć kilometrów od centrum, prywatne gospodarstwo, w którym będzie mogła pracować grupa dziewcząt i chłopców.

– Jutro przyjadą po was wozy – powiedział Icchak. – Chavera (towarzyszka) Lea będzie kierowniczką grupy. Szalom.

Wyszedł z pokoju. Znalazłam się w grupie wyznaczonej do wyjazdu, choć byłam w komunie od niedawna. Poczułam się zdruzgotana. Oznaczało to rozstanie z siostrą, dla której – i tylko dla której – w ogóle się tu pojawiłam.

Uświadomiłam sobie wtedy, że moja decyzja o chronieniu Reginy wcale nie była mądra. Pomysł, żeby być blisko niej, szybko skończył się rozdzieleniem nas. Musiałam wyjechać i wiedziałam, że Regina nie może w tej sprawie zupełnie nic zrobić. Z rozkazami kibucu nie dyskutował nikt, nawet moja siostra, bardzo tam lubiana. Rano musiała wyjść do pracy tak wcześnie, że nie mogła mi nawet pomachać na pożegnanie, kiedy wyjeżdżałam na wieś.

Czerniaków

Jechaliśmy do Czerniakowa dużymi, głębokimi furmankami, które zwykle woziły warzywa na rynek w Warszawie. Tamtego popołudnia powitał nas w gospodarstwie zarządca, Otto Müller. Pokazał nam, gdzie będziemy spać. Była to duża, pusta stajnia przedzielona ścianą – wschodnią część przeznaczono dla dziewcząt, zachodnią dla chłopców. Wzdłuż długiej ściany umocowano drewnianą półkę z desek służącą nam za łóżka. Stajnia oświetlona była słabo. Deski przykryto warstwą słomy, a na niej rzucono kilka koców. Ułożyłyśmy swoje rzeczy pod półką i wyszłyśmy się rozejrzeć.

Po przeskoczeniu wąskiego rowu szło się do kuchni. W pobliżu wjazdu stał dom Polaka, właściciela gospodarstwa, pana Zatwarnickiego. Dalej, za domem pana Müllera, rozciągał się plac budowy, na którym pracowali najemni robotnicy, pochodzący głównie z pogranicza polsko-ukraińskiego. Miejscowi mieszkali nieopodal i po pracy wracali do swoich domów.

Lea Perlstein, szefowa dziewcząt, poszła z panem Müllerem i kilkoma weteranami do kuchni zorientować się, jak wygląda sprawa aprowizacji. Otto Müller traktował ją z szacunkiem. Lea była przed wojną nauczycielką. Nosiła szary kostium z granatową bluzką; miała brązowe, krótko obcięte włosy, świeżą cerę i okrągłą twarz o piwnych oczach, które mrużyła, kiedy się śmiała. Była szczera i obowiązkowa. Müller podziwiał jej humor i postawę, traktował ją jak równą sobie i często z nią gawędził.

Zaraz po powrocie do stajni Lea powiedziała nam, że rano będziemy wcześnie wstawać, dlatego teraz trzeba kłaść się spać.

Nie było mowy o poszukiwaniu wygodnego miejsca; gdzie kto stał, tam kładł się na noc. Stałam na środku stajni i patrzyłam na wielką półkę. Na moment zapadła pełna napięcia cisza, którą przerwała Lea.

– Będę spać koło Balbinki. Ona ma kołdrę.

Poczucie niepewności na chwilę zniknęło. Kiedy już wszystkie leżałyśmy, Lea podniosła głowę i dorzuciła:

– Wyglądamy jak sardynki w puszce. – Wybuchłyśmy śmiechem.

Prawdziwymi *chalucot*, pionierkami, były Chana, Necha, Masza, Dvora i Malke, pielęgniarka. *Madrich*, kierownikiem grupy chłopców, był Aaron. Wszyscy od wielu lat należeli do ruchu Dror. Jako doświadczeni w pracach kuchennych podjęli obowiązki kierownicze. Obudzili nas wcześnie rano na śniadanie. Kiedy byliśmy gotowi, przyszedł Otto Müller, żeby przydzielić nas do różnych robót.

Gospodarstwo specjalizowało się w hodowli świń i uprawie warzyw. Konie, krowy i kury były własnością majątku; w myśl porozumienia między Drorem i właścicielem, panem Zatwarnickim, mieliśmy pracować za jedzenie. Chłopcy obrządzali krowy i konie, stróżowali w nocy i paśli zwierzęta. Dziewczęta posłano do inspektów, drewnianych ram wypełnionych ziemią, w których kiełkowały nasiona. Ogrodnik, pan Lipowicz, absolwent warszawskiej Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, instruował wszystkich pracujących przy inspektach warzywnych stanowiących jego specjalność. Odpowiadał za produkcję sadzonek – później zabierano je na drugą stronę dużego jeziora dzielącego gospodarstwo i tam wysadzano na polach.

Przez jezioro codziennie przepływałyśmy tratwą. Była to drewniana platforma z dwiema stalowymi linami umocowanymi po każdej stronie na wysokości jednego metra. Liny przywiązano do słupów na twardym gruncie, po przeciwległych brzegach jeziora. Wprawianie platformy w ruch wymagało przesuwania

liny przez uchwyty. Na początku nas to bawiło, ale po całym dniu ciężkiej pracy, zmęczone, już nie dopatrywałyśmy się w tym rozrywki. Zawsze jednak, płynąc tam i z powrotem, śpiewałyśmy, usiłując nie pamiętać o otaczającej nas rzeczywistości.

Przy tratwie czekała na nas Nastka, miejscowa robotnica, ulubienica Müllera. Prowadziła całą grupę na pola i instruowała, co mamy robić. Była to młoda, duża kobieta, zawsze ładnie ubrana do pracy. Jasne włosy obwiązywała kolorowymi, kwiecistymi chustkami. Nieśmiała i obowiązkowa, zachowywała się dobrze, w przeciwieństwie do innych robotników rolnych, głośnych, nieposłusznych i leniwych. Nigdy się na nas nie złościła, a my byliśmy jej wdzięczni za pomoc.

Niemal w każdym miejscu pracy był ktoś, kto wiedział, co jest do zrobienia. Pod rozkazami Ottona Müllera wszystko zostało sprawnie zorganizowane. Miejscowi robotnicy nie okazywali nam jednak żadnej tolerancji ani współczucia. Byliśmy nowi i przechodziliśmy test na wytrzymałość. Naszym zadaniem było przeżyć za wszelką cenę.

Otto Müller, folksdojcz, etniczny Niemiec, urodził się gdzieś za granicą. Zbliżał się do pięćdziesiątki, był wysoki i masywny, opalony od przebywania całymi dniami na powietrzu. Miał żonę, szczupłą, kruchą brunetkę, która bez przerwy chorowała. Dwójka małych dzieci, chłopiec i dziewczynka, odziedziczyła delikatne zdrowie po matce. Nic dziwnego, że lubił żartować z Nastką. Kiedy przekazywał jej polecenia na cały dzień, słuchała uważnie, mocno zarumieniona. Polubił też jednego z naszych chłopców, Heinricha, który pochodził z Gdańska i mówił po polsku i niemiecku. Wysoki jak na swój wiek piętnastolatek miał włosy blond o popielatym odcieniu, szaroniebieskie oczy i bystrą twarz. Często się uśmiechał. Do jego zadań należało między innymi objeżdżanie konnym zaprzęgiem, najczęściej w niedziele, miejscowych gospód, żeby pozbierać resztki dla świń. Zajęcie było zbyt ciężkie jak na tak młodego chłopaka, ale Heinrich nigdy się nie skarżył. Mnie też Müller lubił i od pierwszego dnia mówił do mnie „cór-

cia". Liczył na mnie, kiedy trzeba było wykonać jakąś dodatkową pracę. Miło mi było, że szef mnie docenia, ale zdecydowanie miało to swoje także gorsze strony – dodatkowe obowiązki oznaczały czasem nadgodziny albo zajęte niedziele.

W kuchni *chalucot* pracowały na dwie zmiany. Bardzo potrzebowały pomocy, dlatego od czasu do czasu pomagały im kolejno Gucia, Hela Szuster, Ruszka Borenstein i Cyla Kifkowicz, wszystkie z mojego rodzinnego miasta. Do cięższych robót wyznaczano im dwóch chłopców. Ja wolałam harówkę na polu niż zajęcia kuchenne. Poza tym weteranki były w tym lepsze. Lubiłam pole i świeże powietrze; czułam się tam jak cząstka natury.

Jeden z chłopców pomagających w kuchni zawsze podawał mi jedzenie na talerzu w niezapominajki – jedynym tego rodzaju i najładniejszym ze wszystkich. Do dziś pamiętam tego chłopaka i pamiętam, jak mi to pochlebiało. Gucia zatrzymywała miednicę, żeby umyć mi włosy. Nie mogłam narzekać na brak przywilejów.

Pewnej nocy, kilka dni po naszym przyjeździe do Czerniakowa, usłyszeliśmy pukanie do drzwi.

– Dzieci, wstawajcie – wołał Otto Müller. – Muszę was prosić o przysługę. Zapowiadają mróz w nocy. Trzeba przykryć inspekty słomianymi matami, bo inaczej młode sadzonki zmarzną. Bądźcie gotowi za kwadrans. Zaprowadzę was.

Zeskoczyłyśmy wszystkie z półki, szybko się ubrałyśmy. Kiedy pan Müller, który tymczasem poszedł obudzić chłopców, wrócił, Lea spytała, czemu wybrał do pomocy właśnie nas.

– Tamci są niedouczeni i nieodpowiedzialni – powiedział, czym nas dowartościował. Później zorientowałyśmy się, że sezonowi robotnicy wcale by mu nie pomogli.

Zajmowało się nimi miejscowe małżeństwo. On był zawsze w dobrym humorze, ale żona, osoba wymagająca, zwykle na nich krzyczała. Słyszeliśmy czasami jej barwny, dosadny język, całkowicie dla nas nowy: „Gapisz się jak wół na malowane wrota", mówiła, albo: „Na co czekasz? Aż kura zniesie jajo?".

Słuchaliśmy jej z rozbawieniem i powtarzaliśmy jej powiedzonka podczas Oneg Szabat, świętowanego w piątki po pracy. Chana zapalała świece, a my śpiewaliśmy. Zresztą śpiewaliśmy zawsze; było to antidotum na smutne myśli. Lea lubowała się w żartach i niezwykłych opowieściach, jakie się snuje w piątkowe wieczory; dbała o nasze samopoczucie. Od czasu do czasu czytaliśmy przy kolacji teksty; ja pisałam żartobliwe monologi. Wkładaliśmy w ten eksperyment całą naszą młodzieńczą energię. Choć pracowaliśmy ciężko, nie byliśmy smutni. Skórę na rękach miałam popękaną do krwi, ale się nie skarżyłam.

Późną wiosną, miesiąc czy dwa po przyjeździe do gospodarstwa, dostałam list od rodziców. Przede wszystkim niepokoili się o siostrę i o mnie; bardzo chcieli wiedzieć, jak się czujemy i jak sobie radzimy. Wspomnieli, że wynajęli pokój w domu pani Kartofel i że w Siedlcach nie ma getta. O sobie pisali wprawdzie niewiele, ale zdawałam sobie sprawę z niedoli, jaką musieli cierpieć. Czytając list, nabierałam jednak nadziei, że jakoś uda im się wyjść z tego wszystkiego, co działo się wokół. Ojciec płynnie mówił po niemiecku, polsku i rosyjsku, był przystojny i miał doskonałe maniery. Znał wielu Polaków. Matka była kobietą lojalną, poważną i znakomicie wykształconą. Pomyślałam, że jeśli któraś z tych cech się liczy, musi im się udać.

Dostałam też list od siostry, która nadal była w warszawskim kibucu. *Chalucim* i *chalucot* podejmowali się wszelkich prac, jakie jeszcze były w getcie. Wymieniłyśmy informacje o rodzicach i doszłyśmy do wniosku, że mogą potrzebować pieniędzy – choć same pieniądze nie wystarczyłyby, żeby ich ocalić – ale nie miałyśmy ani grosza; nic do ofiarowania poza dobrymi intencjami. Czułam się bezsilna i bezużyteczna. Było to okropne uczucie.

Lea wiedziała, co się dzieje w warszawskim getcie, ale nie wszystkie wiadomości nam przekazywano. Coraz trudniej było komukolwiek z komitetu Droru wymknąć się z getta i tak jak wcześniej przyjechać do nas do Czerniakowa. Czasem jednak, jako kurier, pojawiał się któryś z *chawerim* (towarzyszy) z innego

miasta, pracujący poza granicami tamtejszego getta. Najczęściej ktoś taki zbierał wiadomości albo ryzykując życiem, przemycał broń. Czasem Lea dowiadywała się czegoś o sytuacji w getcie od pana Müllera. Jako folksdojcz miał prawo słuchać radia, ale była to tajemnica znana tylko kilkorgu z nas.

Jednym z kurierów działających na zewnątrz, poza gettem, była Lonka Kozibrodzka, pochodząca też z mojego rodzinnego miasta, absolwentka uniwersytetu. Przyszła kiedyś do nas i zaprosiła kilka dziewcząt do kina w wiosce. Film nazywał się *Wielki walc* i opowiadał o Johannie Straussie młodszym. Byłam tak podekscytowana, że dość głośno nuciłam melodie filmowe i Lonka musiała mnie uciszać. Żyjąc z dala od cywilizacji, zapomniałam o dobrych manierach.

Pewnego dnia ogrodnik zwierzył mi się, że zamierza nazajutrz przystąpić do strajku.

– Nie wiem, jak długo mnie nie będzie – powiedział – ale wiesz, co trzeba zrobić. Pilnuj inspektów. Trzeba je codziennie podlewać. A sadzonki przesadzić za dwa tygodnie. Ogórki potrzebują dużo wody. Tamte dziesięć rzędów trzeba pod wieczór przykrywać; muszą jeszcze mieć ciepło. Wierzę, że to wszystko zrobisz.

Następnego ranka Otto Mühler spytał mnie:

– Co dziś robimy, córcia? – Z uśmieszkiem zaciekawienia dodał: – Wiem, że pan Lipowicz pracuje z wielkim poświęceniem. Nie zostawiłby wszystkiego, gdyby nie miał pewności, że o rośliny ktoś zadba.

Doglądałam roślin nie tylko dlatego, że mi tak kazano; chciałam mieć pewność, że rosną, jak należy. Pan Müller wiedział, że jestem bardzo odpowiedzialna, dlatego mnie awansował. Nie zawsze było mi łatwo wypełnić te obowiązki. Musiałam wydawać polecenia kilku miejscowym robotnikom, pojawiły się więc pewne niewielkie problemy. Oni nas nie lubili, bo byliśmy Żydami, a jeszcze mniej podobało im się podporządkowanie się moim decyzjom.

Pan Lipowicz wrócił po tygodniu. Prowadził rozmowy z właścicielem w sprawie lepszych płac. Wrócił do pracy z nowym pomysłem: chciał hodować pieczarki. Postanowił starannie wyczyścić dużą, pustą piwnicę, a ściany pobielić wapnem. Poprosił zarządcę, żeby kilkoro dziewcząt i chłopców pomogło mi znosić na dół ziemię na podłoże. Napełnianie drewnianych skrzyń ziemią, podnoszenie ich i znoszenie w dół po ośmiu stopniach okazało się naprawdę ciężką pracą. Wpadłam na pomysł, żeby położyć na schodach deskę i ściągać po niej skrzynki. Znacznie ułatwiło to i przyspieszyło robotę. Lea dowiedziała się o moim usprawnieniu. Za wyróżniającą się pracę zawsze zdobywała dla nas wszystkich coś specjalnego w kuchni właściciela, i tym razem było podobnie.

Kiedy piwnica i podłoże były gotowe, ogrodnik pokazał mi, jak umieszczać grzybnię w ziemi. Kazał podlewać grzyby codziennie, delikatnie je zraszając, i dał mi klucze do piwnicy.

– Za kilka tygodni zobaczysz małe, białe punkciki – powiedział. – Obiecaj, że jak zaczną rosnąć, nikogo tu nie wpuścisz, nawet żony właściciela ani jej gosposi.

Pieczarki były przysmakiem i to drogim. Bardzo starannie nawadniałam je każdego dnia, tak jak mi powiedziano. Zdumiewało mnie, że mimo wojny są ludzie, których stać na kupowanie drogiej żywności. Okazało się jednak, że nie jestem w stanie zabronić innym wchodzenia do piwnicy. Właściciel gospodarstwa zaskoczył mnie niejeden raz, przychodząc znienacka, kiedy tam pracowałam. Wspomniałam kiedyś przy stole, że *rosh gadol* (szef) często mnie odwiedza. *Chewra* mi nie uwierzyła. Wszyscy się śmieli.

– Przychodzi patrzyć, jak grzyby rosną? Co ty opowiadasz?

Którejś niedzieli gawędziliśmy w grupce koło kuchni, kiedy przybiegła do nas gospodyni, bardzo podekscytowana. Poznała mnie, bo raz pomagałam jej drylować wiśnie na dżem.

– Balbinko – powiedziała, ciężko dysząc – ludzie czekają pod piwnicą, chcą obejrzeć grzyby.

Pan Lipowicz nie pracował w niedziele, więc tylko ja miałam klucz. Pan Müller mógł wziąć ode mnie klucz i sam pokazać piwnicę, ale odmówił. A ponieważ byłam w gospodarstwie jedyną osobą podszkoloną przez ogrodnika, posłano po mnie. Kiedy przyszłam, czekało na mnie czterech poruczników SS. Byli agronomami.

– Guten Morgen – powitali mnie po niemiecku.

– Dzień dobry – odpowiedziałam po polsku.

Nie musiałam pytać, o co chodzi, bo wiadomo było, że chcą zobaczyć grzyby. Zdawałam sobie sprawę, z kim mam do czynienia. Nie bałam się, ale pomyślałam, że gdyby wiedzieli, że jestem Żydówką... Otworzyłam drzwi i zapaliłam lampę naftową. Jeden z Niemców uprzejmie wziął ode mnie lampę, co było eleganckim gestem. Co za ironia losu! Któryś z nich tłumaczył ich pytania na polski; chodziło o to, jak się sadzi grzyby. Zaspokajałam ich ciekawość, odpowiadając na kolejne pytania. Wszystko to trwało godzinę. Dziękowali mi za objaśnienie całego procesu i zabiegów, jakich ta uprawa wymagała. W chwili, gdy wychodzili, gospodyni poprosiła o kilka grzybów. – Muszę im przygotować kolację – powiedziała, patrząc na mnie błagalnie. Nie mogłam odmówić. W końcu nie było to przestępstwo, ubyło tylko kilka grzybów. Następnego dnia opowiedziałam o wszystkim ogrodnikowi. Roześmiał się i pochwalił mnie za to, że okazałam się pilną uczennicą.

Przyszedł mu do głowy następny pomysł – postanowił uprawiać melony. Szklarnia była wysoka, miała stalową konstrukcję, szklane ściany i dach. Do niej także dostałam klucz; dorobiłam się opinii dobrej robotnicy. Bardzo dbałam o rośliny, dlatego ogrodnik przyniósł mi kiedyś ciastka kupione specjalnie dla mnie. Nie przyjęłam jednak prezentu, bo obowiązywały nas zasady panujące w kibucu – wszystkim należało się dzielić. Jak mogłam mu wytłumaczyć, że gdybym to zjadła sama, byłabym nieuczciwa wobec moich towarzyszy?

*

Ociepliło się i sadzonki można było już przesadzić na pola po drugiej stronie jeziora. Całymi dniami pracowaliśmy schyleni, stojąc w szerokim rozkroku, co powodowało bóle w krzyżu i w nogach. Minęło kilka dni, nim nasze ciała przywykły do tej niecodziennej pozycji. Kiedy w drodze do kuchni na kolację przeskakiwaliśmy rów, jęczeliśmy z bólu. Zesztywnieliśmy do tego stopnia, że chodzenie sprawiało nam trudności. Śmieliśmy się z tego, ale tak naprawdę nie było w tym nic śmiesznego.

Latem zbieraliśmy pomidory. Był to bardzo gorący czas, na polach pracowało dużo ludzi. Do pomocy przyszedł nawet Otto Müller. Choć dwa razy wyższy i trzy razy cięższy ode mnie dobry pan Müller mnie wybrał za partnerkę w noszeniu skrzynek z pomidorami na tratwę. Potem przewoziło się je przez jezioro i ładowało na czekające wozy. Wiele razy obróciliśmy tam i z powrotem, ale w końcu ostatni transport pomidorów zniesiono z pola i wyekspediowano na targ.

Dobrze było czuć się młodym, zdrowym i – przynajmniej na razie – w miarę bezpiecznym. Nikt nie wiedział, co przyjdzie później. Rzadko rozmawialiśmy o wszystkim tym, co sprawiło, że znaleźliśmy się w gospodarstwie. Każdy miał własną, tragiczną przeszłość. Łatwiej było żyć, uciekając od smutnych spraw.

Pewnej nocy postanowiliśmy kilkuosobową grupką przekraść się przez jezioro i odwiedzić naszych stróżów nocnych po drugiej stronie. Pomysł dość głupi, ale byliśmy młodzi i chcieliśmy się zabawić. Z kuchni zabraliśmy duży garnek, a ja wzięłam grzyby i melona na deser. Jeden z pastuchów przyniósł mięso. Wykopaliśmy na polu trochę ziemniaków i marchwi i z wszystkiego tego ugotowaliśmy zupę. Nie jadałam poza domem, wybrałam się więc po prostu dla rozrywki. Śmieliśmy się później, wspominając tę szybką nocną wyprawę na pola, ale nie odważylibyśmy się jej powtórzyć. Gdyby okazało się, że tratwa jest potrzebna, mielibyśmy poważne kłopoty.

Innym razem, w przypływie buntowniczego nastroju, Heinrich zaproponował mi, żebym wybrała się z nim tratwą na pole

i z powrotem. Wahałam się. – Chodź, on nie będzie na nas zły; mamy fory. – Podobało mi się, ale bałam się, co będzie jak nas przyłapią. Wypłynęliśmy też na przejażdżkę łodzią Müllera. Nigdy nie wiedziałam, co Heinrichowi chodzi po głowie. W łódce był jednak poważny. Ostrzegał mnie, żebym była ostrożna z chłopcami.

– Nikomu nie wierz; nie bądź z nimi za blisko.

Mimo że był ode mnie kilka lat młodszy, traktował mnie trochę jak młodszą siostrę. – Uważaj na siebie – mówił. – Dokładnie to samo powiedziałbym mojej siostrze. Z ulgą wysiadłam z łodzi. Bałam się, że utonę.

Müller jeździł nocami konno, na swojej klaczy, ubrany w czarną pelerynę. Kontrolował stróżów nocnych na polach i niejednego zaskoczył we śnie. Szósta rano to był dla niego niemal środek dnia. Pracował ciężko i od innych oczekiwał tego samego. Raz zaprzągł do bryczki dwa konie i zaproponował mi objazd całej wielkiej posiadłości. Kiedy indziej zaprosił Leę na przejażdżkę łódką. Na ogół nie narzekał na nas, zdarzyło się jednak kilka incydentów. Przyłapał jednego z chłopców, jak pił mleko wprost z wymienia krowy. Krowa później zachorowała i pan Müller odesłał tego chłopaka do getta. Kiedy indziej któryś z sezonowych robotników doniósł mu, że ktoś żartował z niego podczas piątkowego spotkania wieczornego (Oneg Szabat). Pan Müller odbył rozmowę z Leą i zagroził, że odeśle nas wszystkich do getta. Kiedy kilka osób poszło poprosić o wybaczenie, zapewniając, że to się nigdy nie powtórzy, krzyknął ze złością: „Wybiję wam ten Syjon z głów!" Zarzucał nam też, że marnujemy żywność. Pozwalał jeść tyle warzyw, ile chcemy, ale bywało tak, że ktoś odgryzł jeden kęs, a resztę wyrzucał. Miał rację; to zdarzało się często.

Lea nie była w stanie kontrolować wszystkich. Niektórzy lekceważyli obowiązki; nie wszyscy wstawali rano do pracy. Ta niewielka grupka najwyraźniej nie rozumiała, że alternatywą dla nas jest tylko getto, gdzie śmierć z głodu i chorób są na porządku dziennym. Pan Müller wiedział, jakie tam panują warunki,

i zdawał sobie sprawę, że jeśli nas tam odeśle, oznacza to dla nas koniec. Pozwolił nam zostać.

Mnie powiedział, że rozpytywał wśród swoich znajomych o miejsce w prywatnym niemieckim domu, gdzie mogłabym pracować i w ten sposób przeżyć. Z odrobiną cynizmu stwierdził, że chce, żebym przeżyła, bo dzięki temu, kiedy wojna się skończy, Żydzi będą mieli szansę się rozmnażać.

Gdy my pracowaliśmy na wsi, podziemna organizacja w warszawskim getcie szkoliła grupy bojowników. Dowiedzieliśmy się o tym od Szlamka, brata Heli, który przybył do Czerniakowa z getta. Był blady i osłabiony, bo dochodził do siebie po tyfusie. Tyfus brzuszny, czerwonka i głód zabiły w getcie tysiące Żydów, Szlamek miał zaledwie czternaście lat, szerokie bary i niezwykle jasne oczy. Zaproponował, że będzie stał na straży (*szmira*) pod kuchnią; stanęłam razem z nim i wypytywałam o siostrę. Szlamek był poważny, na pytania o getto odpowiadał krótko. Powiedział mi, że moja siostra nadal jest w domu kibucu. Później przyznał, że sytuacja w getcie jest dramatyczna.

– Ludzie umierają z głodu albo zastrzeleni na ulicy; ich ciała wrzuca się do zbiorowych grobów. Znikąd nie ma żadnej pomocy – mówił smutno, z rozpaczą. Po wojnie dowiedziałam się, że zginął jak bohater w Powstaniu w getcie. Przenosił do getta kanałami broń dla konspiracyjnej Żydowskiej Organizacji Bojowej.

*

Mimo że jedliśmy jarzyny, brak białka oraz brud zbierający się grubą warstwą na skórze sprawiały, że dokuczały nam wrzody. Chyba nikt ich nie uniknął. Malke, pielęgniarka, która też pracowała w polu, opatrywała po kolacji nasze rany. Robiła, co mogła, ale tylu było cierpiących, że poprosiła kilka osób o pomoc. Nikt nie miał na to ochoty, zwróciła się więc do mnie. A ja prawdę mówiąc, cieszyłam się, że mogę z nią przemywać rany i zmieniać opatrunki.

Wszystko szło dobrze, aż któregoś dnia rozeszła się plotka, że Malke i dwójka jej przyjaciół, Masza i Abram, zaczęli zmawiać się przeciw Lei i innym naszym szefom. Zdałam sobie sprawę, że lepiej nie być osobą kojarzoną z Malke. Nie rozumiałam się na intrygach i podobnych sprawach i nie miałam nic wspólnego z żadnym spiskiem. Tak się złożyło, że w tym samym czasie przybył do Czerniakowa kurier z czekoladą, darem ze Szwajcarii. Ktoś zauważył, że paru weteranów ją jadło. Nie widziałam tego, bo zdarzyło się to w ciągu dnia, kiedy byłam w polu, ale tak mi mówiono.

W każdym razie o tej swego rodzaju zmowie doniesiono Lei i Aaronowi, odpowiadającemu za grupę chłopców. Aaron zwołał zebranie komitetu organizacyjnego, który w drodze głosowania uchwalił, że za karę konspiratorzy zostaną odesłani do getta. Jeden z członków wewnętrznego komitetu, chłopak z Niemiec, wcześniej chciał się ze mną zaprzyjaźnić, a ponieważ nie przyjęłam jego względów, zagłosował przeciw mnie, mimo że nie uczestniczyłam w spisku. Ostatecznie nikogo nie odesłano do getta. Malke i Masza były weterankami, poza tym Malke, pielęgniarki, bardzo potrzebowano w Czerniakowie. Abram znakomicie pracował, a jeśli chodzi o mnie, miałam wspaniałą siostrę, której nikt nie chciał sprawiać bólu. Cała ta sprawa mnie nie dotknęła, ale dostałam nauczkę, żeby unikać plotek i plotkarzy. Miałam obowiązek pracować i w tym się wyróżniałam. To mi wystarczyło. Nie był to jedyny taki przypadek; w kibucu, tak jak w każdej małej społeczności, zawsze znalazł się ktoś niezadowolony z czegoś lub kogoś.

Niełatwo było przezwyciężyć urazę po tak niesprawiedliwym potraktowaniu. Paliło mnie to od środka. Wkrótce potem rozpadało się, zapanowała więc doskonała pogoda na zbieranie kapusty. Miałam przywiązany do ciała duży wiklinowy kosz. Ludzie wycinający kapustę wrzucali ją ponad moimi ramionami wprost do kosza. Uderzenia ciężkich główek w połączeniu z niepogodą sprawiały mi w tej sytuacji pewną ulgę. Nosiłam kosze z kapustą i rabarbarem, przemoknięta do suchej nitki, i to

pomogło mi przemóc gniew i złe uczucia. Gniew brał się z żalu i rozgoryczenia. Długi czas czułam się samotna i zniechęcona.

Pewnego dnia, gdy pracowałam w polu, ktoś zawiadomił mnie, że czeka na mnie jakiś mężczyzna. Przeciągnęłam tratwę na drugi brzeg i pobiegłam do kuchni. Przedstawiłam się. Przybysz miał dwadzieścia, może dwadzieścia dwa lata, ciemnoblond włosy, niebieskie oczy, ubrany był w sportową marynarkę i czarne spodnie. Wstał, przywitał się i powiedział, że ma dla mnie wiadomość od mojego ojca.

– Co z rodzicami? – wyrwało mi się. – Jak pan ich spotkał? Gdzie oni są? – wyrzucałam z siebie potok słów. Zadawałam mnóstwo pytań. Nie na wszystkie potrafił odpowiedzieć. Na inne, jak przypuszczałam, nie chciał, bo wiedział zbyt wiele. Powiedział mi, że widział się z ojcem w miejscu, gdzie pracuje, i że ojciec prosił go, żeby do mnie przyjechał.

– Ojciec chce wiedzieć, gdzie jesteś. Pyta, czy miałaś wiadomość od siostry – mówił dalej. Był księdzem, choć w cywilnym ubraniu. Mojej matki nie spotkał. Powiedział, że oboje są teraz w siedleckim getcie, zamykanym na noc. Rano SS zabiera ich do pracy poza gettem.

Rozmawialiśmy przez chwilę. Chana zaproponowała, by został na kolacji, ale podziękował i wyszedł. Próbowałam wymyśleć coś, co mogłoby jakoś pomóc rodzicom, ale nic mi nie przyszło do głowy. Napisałam do siostry o wizycie księdza. Uznałam, że skoro Tata zdołał skontaktować się z nim, może będzie w stanie zrobić coś, by zapewnić obojgu bezpieczeństwo. Napisałam, że w biernej egzystencji popadłam w stan nirwany. I że cieszy mnie praca w polu, na swój sposób jestem tam nawet szczęśliwa, bo na coś się przydaję. A ponieważ nie mogę nikomu pomóc, przestaję się tym zamartwiać. Nie była to do końca prawda. W rzeczywistości złościłam się na siebie, ponieważ nie mogłam w żaden sposób poprawić nieszczęsnego losu rodziców, a na dodatek nie pozwolono mi zostać z siostrą. Tkwiłam w pułapce i nic nie mogłam z tym zrobić. Napisałam też o panu Mül-

lerze, który mówił mi, że może zdołałby sprowadzić Mamę i Tatę do gospodarstwa. Ale było to jakiś czas temu i nic się nie wydarzyło. Na pewno miał dobre intencje, ale po tym, co o Siedlcach opowiedział mi ksiądz, wiedziałam, że nic się nie da zrobić. Kto potrafiłby wyrwać złapanych Żydów z łap Niemców?

Bolało mnie jeszcze coś innego – jak usłyszałam od jednego z weteranów z kibucu, nie pozwolono mi zostać z siostrą w Warszawie dlatego, że komitet uznał mnie za osobę nieodpowiednią. Uważali, że będę miała zły wpływ na Reginę. Nie wierzyłam w to jednak.

„Ty szalona poetko – napisała mi w odpowiedzi siostra – myśl poważnie. To nie pora na rojenia – getto jest zamknięte, nie dochodzi tu poczta. Czy wiesz coś więcej o Mamie i Tacie?"

Rzeczywiście, szaleństwo pomagało przetrwać. Próbowałam podchodzić do wszystkiego jak do zabawy, ale rzeczywistość, jak czarna chmura wisząca nad moim życiem, dzień po dniu ujawniała mi swoje oblicze. To był ostatni list od Reginy. Nigdy już jej nie zobaczyłam ani nie dostałam od niej żadnej wiadomości.

*

Któregoś jesiennego dnia 1941 roku wczesnym popołudniem usłyszałam na polu, że woła mnie pan Müller.

– Idź, prześpij się parę godzin – powiedział. – Po kolacji, o ósmej, zabieram cię do stodoły na mielenie pszenicy.

Jak się okazało, miejscowy robotnik zapowiedział, że stawi się do pracy, tylko jeśli mu dodatkowo zapłacą. A ponieważ bez mąki nie byłoby chleba, Müller wiedział, że może liczyć na mnie. Przez cały tydzień, noc w noc, mełłam ręcznie w małym młynku ziarno na mąkę, z której miał być chleb dla kilkuset osób. Była to dwunastogodzinna praca, od ósmej wieczorem do ósmej rano.

Stróż nocny rozpoczynający swoją zmianę podawał mi przez zakratowane okno kawę i kanapkę, przysłane z kuchni

przez Gucię. Rozmawialiśmy przez chwilę, a potem on ruszał na swój obchód, a ja zwiększałam tempo. Przez całą noc przyglądały mi się harcujące wokół mnie szczury. Patrzyłam w bok i pracowałam dalej. To była cena odpowiedzialności.

Ostatniej nocy stróż wręczył mi list zostawiony dla mnie w biurze zarządu. Zauważyłam, czytając, że nie jest to pismo ojca. List napisał ktoś inny. Dowiedziałam się, że ojciec zachorował na tyfus, mama jest zdrowa i że tęsknią za mną. Było jasne, że matka poprosiła kogoś, żeby do mnie napisał, bo ojciec był zbyt chory albo może już nie żył.

O ósmej rano, kiedy skończyłam pracę, pan Müller otworzył drzwi i mnie wypuścił. Dla bezpieczeństwa zamykano mnie tak codziennie, ale gdyby wybuchł pożar, nie miałabym jak uciec. Poszłam wtedy sama, najdalej jak mogłam. Płakałam przez kilka godzin. Rozpadła się moja rodzina i walił się świat. Bez litości. Kończył się pewien rozdział mojego życia; z rodzicami, którzy dali mi miłość i czułość.

*

Późną jesienią 1941 roku zrobiło się zimno; ziemia zamarzała. Kazano nam kopać rowy, w których później mieliśmy składać na zimę zebrane warzywa, by nie przemarzły. Wcześniej robili to miejscowi, ale celowo, sabotując polecenia Müllera, pracowali bardzo wolno. Nienawidzili go. Trzeba było uporać się z tym szybko, posłano więc nas do pomocy. Śmiali się z nas, drwili, rzucali podłe komentarze w rodzaju: „Żydzi nie umieją pracować" albo „Niemcy was pozabijają" i podobne.

Przed opadami śniegu trzeba było jeszcze zwinąć druty z pola pomidorów. Druty rozciągano nad roślinami, które przywiązane były do nich sznurkami. Z końcem każdego sezonu należało je zwinąć i odłożyć do następnego lata. Tym razem dokończyć robotę mieliśmy we dwójkę z Mannfredem. Jezioro już zamarzło, musieliśmy więc iść po lodzie na piechotę. Pracowa-

liśmy najszybciej, jak tylko mogliśmy, ale wciąż dużo jeszcze pozostawało do zrobienia.

Mannfred urodził się w Niemczech. Do Polski przyjechał, kiedy Hitler wyrzucił wszystkich Żydów pochodzenia polskiego. Był niewysoki jak na swój wiek i apatyczny. Nie mógł pojąć, co go spotkało i dlaczego. Złościł się, odzywał się tylko wtedy, kiedy musiał. Gdy zaczęło się ściemniać, chciał wracać do gospodarstwa, ale ja uważałam, że możemy zrobić jeszcze kilka rzędów. Odszedł bez słowa. Chwilę później poczułam się zmęczona i postanowiłam wrócić do kuchni. Było już naprawdę ciemno i idąc po grubym lodzie, nie zauważyłam sporych przerębli wyciętych przez wędkarzy. Mówi się, że przeręble mają moc przyciągania z powodu prądu wody pod nimi. Być może tak jest. Ja w każdym razie w jedną z nich wpadłam. Uratował mnie szybki refleks. Pokonałam panikę, zdołałam wesprzeć się na łokciach i wydostać się na lód. Byłam oczywiście cała przemoczona. Wędkarz siedzący kilka metrów ode mnie widział, co się stało, ale nie ruszył z pomocą. Był to jeden z miejscowych robotników, trzy razy starszy ode mnie, nienawidzący Żydów i pana Müllera. On też szydził z nas, kiedy kopaliśmy rowy do przechowywania warzyw zimą, a wcześniej był moim podwładnym, gdy ogrodnik mianował mnie kierowniczką. Teraz miał okazję pomścić upokorzenie, jakim była praca pod moimi rozkazami. Patrzył za mną, uśmiechnięty, kiedy odchodziłam.

W kiepsko oświetlonej kuchni nikt nie zauważył, że jestem mokra, a mnie wstyd było opowiadać, co się zdarzyło. Spostrzegłam za to, że wszyscy byli ubrani, gotowi do wyjścia i tylko czekali na mnie. Ogarnęło mnie dziwne uczucie, jakby przygniótł mnie jakiś wielki ciężar. Byli po kolacji. Nie pamiętam, ale to chyba Chana zrobiła mi kanapkę. Zrobiło się późno. Miejscowe władze nakazały nam „dezynfekcję", musieliśmy więc natychmiast stawić się w wiosce. Dlaczego właśnie my, zdyscyplinowani robotnicy, ciężko pracujący, kulturalni... jasne, byliśmy Żydami.

Wyglądało to groźnie; mogli przecież się nad nami znęcać. Szliśmy w niemal zupełnej ciszy, przerażeni, nie wiedząc, czego się spodziewać. Po chwili podeszła do mnie Lea.

– Nie martw się, Balbinko – powiedziała. – Wzięłam pieniądze. Może starczy, żeby uratować twoje włosy. – Nie miałam pojęcia, że gdzie indziej esesmani obcinali kobietom włosy. Lea o tym wiedziała i bała się o moje piękne, długie warkocze. W budynku, do którego nas wprowadzono, musieliśmy się rozebrać i oddać ubrania polskiej obsłudze, której rozkazy wydawali Niemcy. Na szczęście nie kazano obcinać nam włosów. W gorących piecach do dezynfekcji moje ubranie wyschło, co mnie bardzo ucieszyło. W drodze powrotnej śpiewałam pełnym głosem, żeby podnieść na duchu całą naszą grupę.

*

Nadeszła zima. W stajni, gdzie spaliśmy od przyjazdu wczesną wiosną, panowało lodowate zimno. Lea powtarzała bez końca: „Nic nie mogę zrobić. Nasz los zależy od dobrej woli zarządcy. Musimy tu pozostać, jak długo nam pozwolą. Zyskujemy na czasie". Poprosiła jednak Müllera o jakieś cieplejsze miejsce dla nas na zimę.

Niedaleko wjazdu do gospodarstwa stał jeszcze niewykończony trzypiętrowy budynek. Pan Müller poprosił właściciela, by zgodził się przenieść nas tam na jakiś czas. Pozwolono nam zająć dwa pokoje na parterze, jedyne, w których były oszklone okna. Stolarze zrobili nam drewniane piętrowe łóżka. W środku była równie zimno jak na zewnątrz; poza tym nie mieliśmy tam ani wody, ani umywalni. Twarze i ręce myliśmy śniegiem. Na ścianach dniem i nocą lśnił szron. Jakimś cudem nikt nie zachorował.

Lea ustaliła dyżury do przynoszenia śniadania z kuchni w niedziele, kiedy mieliśmy wolne. Z murowanego domu, w którym spaliśmy, szło się do kuchni mniej więcej kwadrans. Mleko i kawa docierały zimne. Lea wymyśliła, że ten kto zdoła powtó-

rzyć piosenkę usłyszaną tylko jeden raz, dostanie pierwszy kubek, najcieplejszy. I od tej pory każdej niedzieli dostawałam najcieplejszą kawę. Nie była bardzo ciepła, ale lepsza niż przedtem.

Zimą zawsze jest w gospodarstwie coś do zrobienia: czyściliśmy stajnie, wykopywaliśmy resztę ziemniaków, marchwi i innych warzyw i wysyłaliśmy je na targ. Rąbanie zmarzniętej ziemi kilofami nie należało do łatwych zajęć. Sortowaliśmy też na strychu suszącą się cebulę. A kiedy ociepliło się na tyle, że lód zaczął topnieć, przyszła pora na przygotowanie ziemi w polu. I znów przesadzaliśmy wczesne warzywa z inspektów. Życie mogłoby się tak toczyć bez końca, gdyby Hitler nie miał wobec nas innych, bardziej złowrogich planów.

Któregoś dnia w środku lata 1942 roku, gdy wracaliśmy z pola, ktoś powiedział, że wzywa mnie Lea. Była w kuchni, rozmawiała tam z jakąś kobietą. Przedstawiła mi ją jako Irenę Adamowicz. Irena była instruktorką polskiego harcerstwa. Wstrząśnięta niegodziwością, jaką wyrządzano Żydom, pomagała na wszelkie możliwe sposoby. Podróżowała po kraju, nawiązywała kontakty z *chalucim* w największych gettach i opowiadała im o działaniach podziemia. Dla Żydów takie podróże były niebezpieczne, jednak kilka *chalucot*, takich jak Lonka, która wcześniej pojawiła się w gospodarstwie, też z powodzeniem wykonywało zadania kurierskie. Kurierzy kupowali broń, przemycaną później do getta kanałami. Większość ludzi w getcie nie mogła ustalać z innymi, co robić w przypadku masowych zbrodni, ale dzięki Irenie wiedzieli, jak inni przygotowują się na takie sytuacje.

Irena rozmawiała ze mną przez chwilę. Powiedziała mi, że zostanę wysłana do Krakowa. Spytała, co myślę o działaniu w konspiracji i czy znam chrześcijańskie modlitwy. Powiedziałam jej, że wiele z nich umiem na pamięć, bo przez wiele lat słuchałam codziennie rano w szkole, jak modlą się katolicy. Była zadowolona z moich odpowiedzi. Podała mi adres klasztoru żeńskiego i kazała mi siódmego dnia każdego miesiąca wysyłać list do matki przełożonej, jako znak, że żyję. Jeśli podziemie będzie

mnie potrzebowało, dadzą mi znać. Wręczyła mi modlitewnik i powiedziała tylko: „Uważaj i powodzenia". To była jedyna rada, jaką otrzymałam. Poza tym miałam zdobywać doświadczenie na bieżąco, w prawdziwym życiu, i zdać się na intuicję, by ustrzec się niebezpieczeństwa, tak jak to robią zwierzęta – nie myślą o zagrożeniu, po prostu wiedzą, kiedy jest blisko.

Następnego dnia Hela i ja miałyśmy pójść do wioski zrobić sobie zdjęcia do dokumentów. Dvora pożyczyła mi ładną bluzkę i uczesała mnie, żebym wyglądała jak najlepiej. Szłyśmy przez miasteczko pełne obaw, że ktoś rozpozna w nas Żydówki. Fotograf zaskoczył mnie, pytając o nazwisko. Zaszokowana, bez namysłu wymieniłam pierwsze arystokratyczne nazwisko, jakie mi przyszło do głowy. I jako Elżbieta Orlańska figurowałam w podrobionych dokumentach. Był to zbawienny pomysł, bo to nazwisko później przydawało mi się, kiedy potrzebne były inne dokumenty wymagane przez niemieckie władze.

Kilka dni później, zaopatrzona w lewe papiery informujące, że pochodzę z Rzeszowa, oraz w list od Lei do Labana, szefa konspiracji w krakowskim getcie, wyjechałam rannym pociągiem do Krakowa. Helę wyprawiono po południu w innym kierunku.

Po wojnie dowiedziałam się, że moją grupę z Czerniakowa odesłano cztery miesiące później do warszawskiego getta. W kwietniu 1943 roku, kiedy Niemcy nakazali zgromadzenie i deportację wszystkich Żydów z getta, część grupy mieszkająca na Miłej pod numerem 18 i należąca do podziemnej Żydowskiej Organizacji Bojowej zbuntowała się. Inni po prostu się rozproszyli. Większość nie przeżyła.

Przyjaciołom z Czerniakowa, zabitym podczas Powstania w warszawskim getcie, a także złapanym poza murami getta, zaciągniętym na Umschlagplatz – miejsce zbiórki na terenie getta – i zabijanym na ślepo, niech będzie chwała na wieki.

Szukając szansy

W krakowskim getcie Laban, stojący na czele tamtejszej konspiracyjnej organizacji, zaprowadził mnie na poddasze, gdzie mieszkało wielu młodych ludzi. Zaopatrzył nas w jedzenie i zabronił wychodzić. Spaliśmy na podłodze. Poza paroma wyjątkami nie znaliśmy się. Był tam jednak chłopak, który w gospodarstwie w Czerniakowie podawał mi obiad na najładniejszym talerzu; ochraniał mnie w nocy, żebym nie była narażona na niechciane awanse ze strony innych chłopców. Każdy z nas czekał na swoją kolej wyjścia z getta. Wiele osób wywodziło się z odległych miast, z różnych organizacji, ale łączył nas jeden cel: przeżyć bez względu na wszystko albo przynajmniej zginąć walcząc, z bronią w reku, jeśli byłoby to możliwe. Co do tego, że stawimy opór, niezależnie od wyniku, wszyscy byli zgodni. Jak się okazało, do starcia doszło w niespełna rok, a finałem było powstanie w getcie warszawskim.

Dwa dni po moim przyjeździe Laban wysłał mnie z powrotem do Czerniakowa z listem do Lei. Musiałam przekraść się z getta. W Czerniakowie, wręczywszy list, błagałam Leę, by coś zrobiła, żebym mogła zabrać ze sobą siostrę. Wiele razy prosiłam, by pozwolono nam być razem. Odpowiedź, jak zawsze, brzmiała: nie. Zresztą, dodała Lea, Regina już nie mieszka w warszawskim kibucu. Została wysłana z całą grupą do komuny w Ostrowie Wielkopolskim w centralnej Polsce. Mnie Lea kazała wracać do Krakowa.

Co jakiś czas na krakowskim poddaszu pojawiali się nowi ludzie. Inni znikali tak, jak przybyli, niemal niezauważenie. Eks-

pediowano ich gdzieś z fałszywymi dokumentami. Reszta czekała na rozkazy Labana.

Żydowska policja w Krakowie otrzymała rozkaz dostarczenia kontyngentu Żydów przeznaczonych do obozu pracy w Płaszowie. Szukała więc wokół ludzi, którzy nie byli autentycznymi mieszkańcami miasta. Pierwszym do zabrania był zawsze obcy. A ponieważ my wszyscy byliśmy obcymi, Laban niepokoił się o nasze bezpieczeństwo. Wtedy też wysłał mnie po raz drugi do Czerniakowa z listem do Lei.

Tydzień czy dwa później, kiedy już wykonałam zadanie i po raz drugi wróciłam do krakowskiego getta, Laban stwierdził, że ze względów bezpieczeństwa nie powinnam zostawać tam dłużej, bo policja może w każdej chwili nas stamtąd wygarnąć.

– Musisz wyjść na zewnątrz i zrobić wszystko, żeby przeżyć – powiedział. – Nie jestem w stanie załatwić ci bezpiecznego ukrycia. – Sięgnął do kieszeni, wyjął jakieś pieniądze, które jak uważał, powinny mi wystarczyć na dwa dni, i wyraził nadzieję, że zdołam znaleźć sobie pracę.

Minęły trzy lata od czasu, gdy trzymałam w ręce jakiekolwiek pieniądze i naprawdę nie miałam pojęcia, co mogę za nie kupić.

– Czy to wystarczy? – spytałam. – A co, jeśli w ciągu dwóch dni nie znajdę pracy ani noclegu?

Uśmiechnął się. Widać było, że nie jestem prawdziwą *chalutza*.

– W dawnych czasach – tłumaczył – człowiek wyruszający do odległego kibucu dostawał tylko tyle, żeby starczyło do pierwszego postoju. Dalej musiał już radzić sobie sam.

Najwyraźniej próbował nauczyć mnie czegoś, o czym nic nie wiedziałam. Po latach zrozumiałam, co mi chciał powiedzieć: jeśli wolą przeznaczenia jest, bym przeżyła, ta suma pieniędzy na pewno mi wystarczy. Z drugiej strony, gdybym zginęła, a wraz ze mną pieniądze, tak potrzebne na zakup broni, organizacja poniosłaby podwójną stratę. Same pieniądze niczego nie gwarantowały.

Słuchałam, usiłując zorientować się w swoim położeniu. Zagrożenie było w getcie takie samo, jak i poza nim. Tyle tylko wiedziałam. Laban powiedział, że po południu Cyla i ja wyjdziemy z getta razem z nocną zmianą robotników. Zakładałam, że z Cylą Laban rozmawiał osobno, bo do tej chwili nie miałam pojęcia, że będziemy wychodziły razem. Nie przyjaźniłyśmy się specjalnie, mimo że pochodziłyśmy z tego samego miasta i obie byłyśmy później w Czerniakowie. Teraz sytuacja mnie zaskoczyła. Żadnych wskazówek ani instrukcji – po prostu wychodzisz. Nikogo za to nie obwiniam. Podobnie jak my, oni też nie zdawali sobie sprawy z trudności, przed jakimi staniemy.

Był to jeden z ostatnich dni lata 1942 roku. Żydzi, ustawieni w szeregu, czekali na otwarcie bramy, przez którą mieli wyjść do fabryk, do pracy na nocnej zmianie. Kiedy wszyscy byli na swoich miejscach, Cyla i ja wśliznęłyśmy się między nich. Pamiętam ich spojrzenia w tym momencie – patrzyli ze strachem i niepokojem, jakby też uczestniczyli w spisku.

Obecność Cyli i moja sprawiła, że żołnierzowi liczącemu robotników coś się nie zgadzało. W końcu dał sobie spokój i gdy drugi spytał go, czy wszystko w porządku, burknął tylko: „Jawohl!" (Tak jest!). Wartownik otworzył bramę i kolumna wyszła na zewnątrz. Gdyby złapano nas w tym momencie, zginęłybyśmy na miejscu. Później, gdy naprawdę uciekałam, złapałam się na tym, że zazdroszczę zastrzelonym. W mgnieniu oka porzucali poniżającą pozycję ściganych. W tamtej chwili jednak jeszcze nie przychodziło mi to do głowy. To był dopiero początek, a wydarzenia toczyły się błyskawicznie. Należało myśleć i działać szybko.

Znalazłyśmy się w środku kolumny robotników idących na nocną zmianę. Zapadła ciemność. Długi wąż powoli wypełzał na ulicę. Zaczęłyśmy pomału przesuwać się ze środka na skraj, by wydostać się na zewnątrz. Po lewej stronie szedł esesman. Połowa ludzi była jeszcze w getcie, połowa już poza nim. W chwili gdy znaleźliśmy się na ulicy, wyskoczyłyśmy z tłumu,

popędziłyśmy na drugą stronę i w kilka sekund zniknęłyśmy za bramą domu. Reszta w strachu potrząsała głowami.

Najszybciej jak można było, pozbyłyśmy się opasek z gwiazdą.

– Uciekajmy stąd – powiedziałam. – Ktoś może wyjść z któregoś z mieszkań. Jeśli nas zobaczą, będziemy miały kłopoty.

– Nie idę z tobą – odparła Cyla, odwracając głowę. Uznała zapewne, że będzie miała większe szanse beze mnie. Być może nie oceniała zbyt wysoko moich widoków na przeżycie, a może uważała, że dwie młode Żydówki podróżujące razem będą za bardzo rzucały się w oczy. Niezależnie od powodów powrót nie wchodził w grę, a Cyla nie dawała się przekonać, żeby pójść razem. Nie było to ani miejsce, ani czas na kłótnię. Cyla odeszła, nie oglądając się za siebie. Była ode mnie wyższa i miała piękne włosy w kolorze miodu. Na pewno liczyła na to, że będą ją brać za Aryjkę. Później dowiedziałam się, że poszła przez miasto do niemieckich koszar, gdzie spytała o pracę w kuchni. Została natychmiast aresztowana. Później ją zastrzelono, a ciało odwieziono do getta. Podrobione dokumenty wcale nie gwarantowały przeżycia.

Kiedy ucichły kroki maszerujących, poszłam wprost na przystanek tramwajowy. Musiałam oddalić się z tego miejsca. Krążenie w pobliżu było niebezpieczne. Wciąż myślałam pozytywnie. Nie wpadłam w panikę. Zamierzałam pojechać tramwajem do ostatniego przystanku, żeby mieć czas na podjęcie decyzji. Szybko uświadomiłam sobie jednak, że byłam w gorszym położeniu niż dotychczas. Sama, w ciemności, nie mając nikogo, do kogo mogłabym się zwrócić, poprosić o radę albo wskazówki. Dotychczas zawsze ktoś inny podejmował za mnie decyzje. Teraz byłam sama, pełna najgorszych myśli.

Wsiadłam do zatłoczonego tramwaju. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Tramwaj kończył bieg przy Dworcu Głównym. Jechało się tam ponad pół godziny, miałam więc bardzo potrzebny mi czas na myślenie. Wciąż nie wiedziałam, co mam robić.

Wysiadłam razem ze wszystkimi pasażerami, którzy popędzili do pociągu. Przeszedł obok mnie gazeciarz, wykrzykując: „Goniec Krakowski! Wiadomości! Najnowsze wiadomości!". Kupiłam gazetę i przeszłam na drugą stronę ulicy. Na wprost dworca był plac otoczony drzewami i krzewami. Zwiędłe kwiaty doskonale oddawały stan mego umysłu. Usiadłam na ławce i otworzyłam gazetę, szukając ogłoszeń o pokojach do wynajęcia. Szybko znalazłam ogłoszenie o możliwości wynajęcia łóżka na noc, niedaleko placu, na którym siedziałam. Spojrzałam też na rubrykę „Praca". Nagle spostrzegłam ogłoszenie: „Retuszer potrzebny od zaraz".

Hotel był dwie przecznice dalej. U wejścia wisiała informacja: „Noclegi – pukać do dozorcy". Każde miejsce wydawało się dobre, byle nie zostać na ulicy. Na nadzieje na luksusy nie mogłam sobie pozwolić. Zapukałam do drzwi, otworzyła mi niewysoka pani w średnim wieku.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale czy to tutaj można wynająć łóżko na noc? – spytałam. Kiwnęła głową i wpuściła mnie do środka. Wciąż trzymając gazetę w ręce, spytałam, ile kosztuje nocleg. Zaprowadziła mnie do nędznego, ponurego pomieszczenia. Stało tam co najmniej dwadzieścia żelaznych łóżek z brudnymi materacami i kocami, które wyglądały, jakby nikt ich nigdy nie prał. Łóżka stały po lewej stronie piwnicy, w odległości pół metra jedno od drugiego. Po prawej stronie było łóżko dozorczyni, piec, stół i kilka krzeseł.

Kobieta wydała mi się delikatna i uprzejmym zachowaniem wzbudziła moją ufność. Z głodu bolał mnie żołądek. Spytałam, czy zrobiłaby mi herbatę; tłumaczyłam, że po wielu godzinach w pociągu rozbolał mnie brzuch. Byłam blada, więc moja opowieść brzmiała dość wiarygodnie. Ryzykowałam, ale musiałam zawierzyć swemu szczęściu. Kobieta postawiła imbryk na piecu i zaprosiła mnie do stołu. Podając herbatę, spytała, skąd jestem. Odpowiedziałam, że z Warszawy, i wtedy zapytała, czy to prawda, że Warszawa została tak strasznie zniszczona.

– Tak – odparłam. – Niemcy obrócili miasto w ruinę.

To była stara wiadomość. Wojna wybuchła w 1939 roku, a mieliśmy właśnie lato roku 1942.

Kobieta chciała się czegoś dowiedzieć o mojej rodzinie, powiedziałam jej więc, że zginęli podczas bombardowania, a kiedy stara ciotka, u której mieszkałam, umarła, przyjechałam do Krakowa szukać pracy. Popatrzyła na mnie ze współczuciem.

– Taka jesteś młoda – stwierdziła. – Tutaj niełatwo radzić sobie samemu.

Pytałam właśnie, jak dojść na Karmelicką, gdzie mieścił się zakład fotograficzny, gdy wszedł jej mąż. To on mi objaśnił, jak tam trafić. Podziękowałam za herbatę, wstałam i zapowiedziałam, że wrócę później.

– Pokaż dokumenty i zapłać z góry – zażądała – inaczej nie zarezerwuję łóżka. Mnóstwo ludzi przyjdzie tu szukać noclegu.

Zapłaciłam jej tyle, ile chciała, i pokazałam swój nowy dokument. Cena była niższa, niż zakładał Laban, bo nocowało się w piwnicy.

Zakład był jedną przecznicę od przystanku tramwajowego. Po obu stronach wejścia wisiały oprawione w oszklone ramy zdjęcia i portrety. Kto by pomyślał, że kilka miesięcy później w jednej z gablot na zewnątrz zakładu zawiśnie w pięknej ramie mój portret? Wchodząc do zakładu, już rozumowałam jasno. Jedyną wskazówką, jaką od kogokolwiek dostałam, były słowa Labana: „Staraj się przeżyć". Brzmiały jak rozkaz, prawda? Usiłowałam robić to, co mi kazał. Nikt nie mówił: „Rób co należy, stosownie do sytuacji". Musiałam to sobie uświadomić, i to jak najszybciej.

Poczekalnia była duża; krzesła poustawiano pod ścianami. Za kontuarem stała recepcjonistka. Miała trwałą ondulację, tlenione włosy rozdzielone na środku głowy, piwne, okrągłe oczy i wielkie usta o grubych wargach. Ubrana była w kwiecistą bluzkę i czarną spódnicę. Mówiła po niemiecku; później dowiedziałam się, że jest folksdojczką.

– Dobry wieczór – powiedziałam. – Czy mogę rozmawiać z kimś w sprawie ogłoszenia?

Z bocznych drzwi wyszedł jakiś mężczyzna, przywitał się i podał mi rękę. Był średniego wzrostu, około pięćdziesiątki. Przystojny, w szarym garniturze, ze srebrnymi, krótko ostrzyżonymi włosami i jak zauważyłam – zwłaszcza kiedy się odwracał – pewną dyscypliną w ruchach. Przedstawiłam się, podałam mu rękę i powiedziałam, że jestem retuszerką. Przeprosił mnie, ale fotograf, pan Bielec, był tego dnia nieobecny. Bardzo uprzejmie spytał, czy mogę przyjść na próbę następnego dnia. „Będę o dziesiątej", obiecałam i znów uścisnęliśmy sobie dłonie.

Szybko wróciłam do hotelu. Pełen był ludzi, którzy przyszli tuż przed dziewiątą, kiedy zaczynała się godzina policyjna. Zajęli wszystkie łóżka oprócz mojego, stojącego najbliżej wejścia. Nocowali tam szmuglerzy sprzedający na czarnym rynku domowe wyroby – kiełbasę, boczek i ser. Położyłam się w ubraniu i butach, bo tylko to miałam. Nie popełniłam żadnego błędu, ale ciągle czułam napięcie i starałam się nie zasnąć. Byłam zmęczona, głodna i śpiąca. Musiałam jednak spać kilka godzin, bo obudziłam się w nieco lepszej formie. Wstałam, poszłam do ubikacji, gdzie była mała umywalka. Nie miałam ręcznika, przetarłam więc oczy zwilżonymi dłońmi. Poprawiłam włosy i wyszłam. Już na ulicy pożałowałam, że nie spytałam dozorczyni, czy mogę przespać tam jeszcze jedną noc. Odwróciłam się i przeszedł mnie dreszcz zgrozy. Całą ścianę budynku pokrywała płachta z napisem dużymi literami: *SS Zug Kommando*. Spałam w domu pełnym Niemców! Nikt pewnie nie podejrzewałby, że Żydówka schroni się w takim miejscu; może tylko dlatego mnie nie złapano. Nigdy tam nie wróciłam; do końca pobytu w Krakowie nawet tamtędy nie przechodziłam.

Rzuciłam okiem na zegarek, który wciąż jeszcze miałam – dostałam go od rodziców na piętnaste urodziny. Było jeszcze za wcześnie, by iść do zakładu. Czułam głód. Nic dziwnego – rozpoczynał się kolejny dzień bez jedzenia. Minęłam kilka przecznic i zobaczyłam stoły zastawione koszami owoców. Chłopi z okolicznych wsi sprzedawali, co tylko mogli, by kupić to, czego potrze-

bowali w gospodarstwach. Spytałam którąś z kobiet, ile policzy za jedno jabłko. Popatrzyła na mnie i powiedziała, że mogę je sobie wziąć za darmo. Cena jednego jabłka nie robiła wielkiej wyrwy w moim budżecie, a byłam dumna; nie zamierzałam przyjmować jałmużny. Podziękowałam jej i zostawiłam na stole parę monet. Jadłam jabłko, idąc ulicą, czego nie zrobiłabym przed wojną. W przedwojennej Polsce nie wypadało jeść na ulicy, ale byłam głodna. Weszłam też do piekarni, gdzie popatrzono na mnie dziwnie, kiedy kupiłam tylko jedną kajzerkę. Były to drobne błędy, ale szczęśliwie los mi sprzyjał.

Do zakładu przyszłam punktualnie. Punktualności nauczono mnie w domu, i to skutecznie. Chwilę później pojawił się fotograf, pan Bielec, bardzo uprzejmy mężczyzna koło pięćdziesiątki. Miał czarne, zaczesane do tyłu włosy, z przedziałkiem po prawej stronie, granatowy garnitur z kamizelką i białą koszulę. Grzecznie się ze mną przywitał, uścisnął mi rękę i zaprosił do pokoju na lewo od poczekalni. Stał tam w rogu stół z czterema pulpitami do retuszowania.

Przedstawił mnie dwóm już pracującym retuszerom; jeden nazywał się Niedźwiecki, drugi Gargas. Wskazał mi miejsce na drugim krześle, obok Niedźwieckiego i za Gargasem, dał mi kilka negatywów i ołówki. Ręce miałam zgrubiałe od pracy w polu, skupiłam się jednak na pracy. Ten test musiałam zdać. Koło południa pan Bielec poprosił o wyretuszowane negatywy. Zabrał je do biura do sprawdzenia. Reszta wyszła w tym czasie coś zjeść. Chwilę później pan Bielec wrócił, podszedł do mnie i dyskretnie wyjął z kieszeni pieniądze. Uśmiechnął się i powiedział:

– Panno Orlańska, proszę coś zjeść i wrócić.

Byłam mu naprawdę wdzięczna za dyskrecję. Wróciłam i zostałam zatrudniona.

Pierwsze wrażenia z kontaktu z pozostałymi dwoma retuszerami nie były zbyt obiecujące. Niedźwiecki drażnił się ze mną i robił sobie ze mnie żarty. Gargas w tym nie uczestniczył, ale podśmiewywał się z jego dowcipów. Trochę mnie to niepokoiło, bo

nic o nich nie wiedziałam i nie miałam pojęcia, co sobie naprawdę myślą. Nie zwracałam jednak na nich większej uwagi, bo bardziej martwiłam się, gdzie będę tej nocy spać. Pracowaliśmy do siódmej wieczorem i zaraz po wyjściu kupiłam gazetę, żeby poszukać miejsca na nocleg.

Drugi pełen napięcia dzień był sprawdzianem moich możliwości. Nie miałam dokąd iść. Zrobiło się ciemno. Ludzie spieszyli do domów. Od pierwszej w południe nic nie jadłam, ale nie czułam głodu. W świetle ulicznej lampy znalazłam w gazecie inne ogłoszenie o noclegach, tańsze od tamtego i nie tak daleko od zakładu. Jednak biorąc pod uwagę porę i ciemność, bezpieczniej było pojechać tramwajem. Zdumiewające, jak pewnie się zachowywałam drugiego dnia po wyjściu z getta. Nie wahałam się, co mam robić.

Na pierwszym przystanku wsiadła dziewczyna, którą widziałam na poddaszu w getcie, wysoka, tęga, z prostymi, jasnymi włosami. Natychmiast zorientowałam się, że jest jedną z członkiń organizacji Haszomer. Opuściła getto dwa dni po moim przyjeździe z Warszawy. W tramwaju panował tłok, więc by zachować anonimowość nas obu, wolałam się do niej nie zbliżać. Nigdy wcześniej z nią nie rozmawiałam, ale wydawała mi się nieco arogancka. Może uważała, że aryjski wygląd daje jej pewne przywileje. Poznała mnie, lecz nie zrobiła żadnego ruchu, żeby podejść. Tak się złożyło, że wysiadała na przystanku podanym w adresie noclegowni, wyszłam więc z tramwaju za nią. Nie miałam pojęcia, że tam mieszka, a gdybym wiedziała, jak się zachowa, pojechałabym przystanek dalej i cofnęłabym się na piechotę. Poszła wprost do budynku z ogłoszenia. Przez całą drogę nie odzywała się, co było dla mnie zrozumiałe. Jednak już w bramie odwróciła się ze złością i spytała:

– Dlaczego mnie śledzisz?

– Wcale cię nie śledzę – oparłam zdumiona. Pokazałam jej gazetę otwartą na ogłoszeniach o noclegach. – Idę zamówić sobie łóżko. Jestem drugi dzień poza gettem. Dostałam pracę, ale nie mam gdzie spać.

Popatrzyła na mnie z całkowitym niedowierzaniem. Rozzłościła mnie oskarżeniem, że ją śledzę. Chciała, żebym coś jeszcze jej powiedziała, ale nie miałam ochoty. Pamiętałam Cylę – silne pragnienie przeżycia przesłania człowiekowi elementarne zasady ludzkiego zachowania. Zdawałam sobie z tego sprawę i słuchałam jej, jak nieco uspokojona mówiła mi, że mieszka na drugim piętrze, potem podała mi numer pokoju i zaprosiła, żebym ją kiedyś odwiedziła. Było mi to już obojętne, odwróciłam się więc w stronę wejścia.

– Noclegownia jest w piwnicy – powiedziała pogardliwie. Nie odezwałam się i zapukałam do drzwi. Otworzył jakiś mężczyzna i spytał, czego chcę.

– Szukam noclegu. – Podał mi cenę. Było późno, więc zapłaciłam tyle, ile żądał. Musiałam mu też pokazać dokumenty. Z tym, co zostało mi z obiadu, i dzięki tańszemu noclegowi miałam jeszcze pieniądze na dwie noce. Tydzień się kończył, a wypłata była w soboty. Zakład płacił mi od sztuki, im więcej zrobię, tym więcej będę mogła zarobić. Pracowałam najszybciej, jak się dało. Uczyłam się wykorzystywać czas.

Mężczyzna w noclegowni pokazał mi łóżko najbliższe drzwi; tak jak w poprzednim miejscu materace były brudne, koców też nikt nie prał. Młodemu człowiekowi było dobrze – żadnego bólu w kościach, świeża twarz, jasny umysł. W tamtych ciężkich czasach drzwi otwierało mi to, co dostałam od rodziców – dobre zdrowie i dobre wychowanie. To były moje podstawowe narzędzia. Nic więcej nie miałam. I znów przespałam całą noc w ubraniu i w butach. Tym razem jednak czułam się rano bardziej wypoczęta. Cieszyłam się, że mam pracę. Przed wyjściem spytałam dozorcę, czy zarezerwuje mi łóżko na noc. Powiedział, żebym się nie martwiła, mogę tam przenocować jeszcze raz.

Pracownia i zakład zatrudniały około trzydziestu osób. Zaczynaliśmy wszyscy o dziewiątej rano; o pierwszej była przerwa obiadowa. Znów kupiłam tylko kajzerkę i jabłko; na wszelki wypadek, dla oszczędności. Dwaj retuszerzy, kiedy wdaliśmy się

w zwykłe pogawędki, szybko zmienili swój stosunek do mnie. Niedźwiecki, siedzący obok mnie zawodowy retuszer, był średniego wzrostu, miał ciemnobrązowe włosy, piwne oczy i cienki wąsik. Gargas, niebieskooki blondyn o ostrym profilu, okazał się artystą – malarzem i rzeźbiarzem. Ukończył słynną krakowską Akademię Sztuk Pięknych. W trudnych wojennych czasach praca w studiu pozwalała mu przetrwać. Prawie wszyscy pracujący tu robili zupełnie co innego przed wojną. Większość z nas płynęła w tej samej chybotliwej łodzi. W tym także pan Leśniewski, z którym rozmawiałam tamtego pierwszego popołudnia. Zauważyłam wtedy jego wojskowe ruchy i rzeczywiście dowiedziałam się, że był kapitanem wojska polskiego.

Nad wszystkim czuwał pan Bielec; poprawiał negatywy i odbitki przed wysłaniem, najczęściej pocztą, do klientów. Pan Leśniewski zajmował się sprawami administracyjnymi. Było to najwyraźniej dobre rozwiązanie; żadnych tarć między nimi nie dało się zauważyć, a i personel szanował jednego i drugiego. Dwa lata wcześniej pan Bielec ożenił się z o połowę od siebie młodszą retuszerką; mieli maleńkiego synka. Pani Bielcowa przychodziła czasem do pracowni z dzieckiem, wyłącznie zobaczyć się z mężem. Żony szefów nigdy nie zajmowały się firmą. Pan Bielec był człowiekiem poważnym, oddanym pracy. Przy moim stanowisku wcześniej pracowała właśnie pani Bielcowa.

Po drugiej stronie pokoju stała szafa z mnóstwem szuflad, a obok niej stół i krzesło, na którym siadała bardzo elegancka pani w średnim wieku. Zajmowała się negatywami, które numerowała i porządkowała. Miała burzę siwych włosów i nosiła suknie pamiętające lepsze czasy. Była śpiewaczką operową; nauczyła mnie śpiewać *Ave Maria*. Często nuciła religijne pieśni, które pamiętałam ze szkoły. Często też się nudziła i zawsze chętnie wdawała się w rozmowy. Każdy wyretuszowany negatyw trzeba było włożyć do koperty, podpisać inicjałami i oddać jej do archiwum.

Pan Bielec poprosił, żebym podpisywała swoje prace literą „O", bo przyszłam po Gargasie, który miał na imię Eugeniusz,

nie mogłam więc używać „E" od Elżbiety. W wolnych chwilach ćwiczyłam podpis, żeby wyglądał na wyrobiony. W tamtych czasach ważny był każdy szczegół. A przede wszystkim nie wolno mi było zapominać o swojej sytuacji. Zachowywałam ostrożność. Podobne to było do występów na scenie, z paroma różnicami – nie miałam żadnego wzorca dla wymyślanej przez siebie osobowości, żadnej historii związanej z nazwiskiem, żadnych wskazówek, jak działać. To prawda, życie jest najlepszym nauczycielem: wiedziałam, że jeśli popełnię błąd, nigdy nie będę miała okazji, by go naprawić. Przedstawienie się skończy.

Tej nocy po raz trzeci spałam w tym samym miejscu. Nędzne było wprawdzie, ale czułam się, jakbym po pracy wracała do domu. Jednak następnego ranka dozorca, właściciel noclegowni, poprosił, żebym poszukała sobie czegoś innego. Był niesłychanie uprzejmy, ale powiedział, że nie wolno mi spać tam dłużej niż trzy noce, tak mówiły przepisy.

– Nie mogę narażać firmy – stwierdził. – Lubimy panią, jest pani bardzo miłą młodą damą, ale musi pani coś sobie znaleźć.

Dość wymijająco tłumaczyłam, że pracowałam cały dzień i było za późno, żeby szukać innego noclegu. Poza tym stąd miałam blisko do miejsca pracy. Rozważał moje argumenty, ale powtarzał, że nic nie może w tej sprawie zrobić. Nie zgodził się, żebym została, bo narażałam go na ryzyko. W końcu jednak był tak uprzejmy, że pozwolił mi zostać na sobotę i niedzielę, ponieważ w tych dniach nie ma kontroli policyjnych. W poniedziałek miał mnie zaprowadzić do znajomej samotnej pani. Już z nią rozmawiał i zgodziła się mnie przyjąć.

W sobotę pracowaliśmy tylko pół dnia. Wychodząc, spotkałam w bramie dziewczynę z Haszomer Hacair, którą spotkałam w tramwaju. Czekała na mnie.

– Masz ochotę na spacer w niedzielę, o drugiej? – spytała. Zabrzmiało to jak próba nawiązania przyjaznych stosunków, dlatego się zgodziłam. Dziewczyna szybko odeszła. W niedzielę, zgodnie z umową, spotkałyśmy się przy bramie. Dowiedzia-

łam się, że pracuje w szpitalu. Świetnie się urządziła. Mieszkała sama. Niemal odebrało mi mowę. Spacerowałyśmy kilka godzin, a potem się rozstałyśmy. Następnego dnia się wyprowadziłam. Nigdy więcej tej dziewczyny nie spotkałam. W poniedziałek wykonałam codzienną normę negatywów, oznaczyłam je inicjałem i zabrałam torbę, żeby wyjść. W tym momencie przyszło mi do głowy, żeby spytać w pracowni, czy ktoś słyszał o pokoju do wynajęcia. Odrzuciłam jednak natychmiast tę myśl, była zbyt niebezpieczna. W pracy nikt nie powinien wiedzieć o moich kłopotach. Z ciężkim sercem poszłam pod stary adres.

Dozorca czekał na mnie.

– Chodźmy, panienko – powiedział. Był nieduży, szczupły i chodził bardzo szybko. Zapadła noc, ulice były słabo oświetlone i niemal puste. Z rozkazu Niemców okna zasłaniano czarnym papierem albo ciemnym materiałem, by światła nie zdradziły wrogowi, gdzie leży miasto. Jak dwa cienie przemykaliśmy szybko ulicami. Dozorca przyspieszał za każdym razem, gdy przerywaliśmy rozmowę. Szliśmy ponad pół godziny, w końcu zatrzymaliśmy się przed starym, dwupiętrowym budynkiem. Mój przewodnik poszedł prosto do piwnicy, ja ruszyłam za nim. Przy kwadratowym stole siedzieli czterej mężczyźni, grali w karty. Z brudnego sufitu zwisała na przewodzie lampa.

Dozorca podszedł do drzwi po prawej stronie. Zapukał, ale nikt mu nie odpowiedział. Zapukał jeszcze drugi raz i trzeci. W końcu odwrócił się do grających mężczyzn i spytał, czy wiedzą, dokąd poszła praczka i czy szybko wróci. Nie wiedzieli. Wytłumaczył, że przyjechałam z Warszawy, znalazłam w mieście pracę i że on nie może dać mi noclegu u siebie, bo prawo zabrania. Dodał, że jestem delikatną panienką i nie mam dokąd pójść. Był wymowny i przekonujący.

Ciszę przerwał jeden z mężczyzn, który wstał, najwyraźniej przejęty współczuciem. Miał krótkie włosy i zupełnie białe wąsy. Spod ciemnoszarej marynarki wystawał sztywny kołnierzyk nadający mu wygląd urzędnika z lat dwudziestych. Pomy-

ślałam, że chyba rzeczywiście był urzędnikiem. Powiedział, że zabierze mnie do siebie, a jego żona mnie przenocuje. Muszę przyznać, że nie czułam w tym momencie nic, nawet ulgi. Był to dalszy ciąg drobnych cudów, który w każdej chwili mógł się urwać. Moja historia skończyłaby się tak jak historie milionów innych ludzi, którzy przepadli na wojnie i nikt dziś o nich nie pamięta.

Po tym, jak starszy pan postanowił zabrać mnie ze sobą, wszystko potoczyło się szybko. Dozorca podziękował mu, a ja podziękowałam dozorcy, który zniknął w ciągu kilku sekund. Starszy pan poprowadził mnie po schodach na górę, a potem na ulicę. Przecięliśmy jezdnię i przez bramę weszliśmy do domu, na korytarz. Na prawo były metalowe schody prowadzące na balkon z żelazną poręczą po lewej i dwoma mieszkaniami po prawej stronie. Zaprowadził mnie do drugich drzwi, otworzył, wpuścił, po czym zawołał żonę.

Nazywali się Józef i Wiktoria Starowiczowie. Pani była malutka i krucha, miała okrągłą pomarszczoną twarz, co sprawiało wrażenie, że jest starsza od męża. Przywitałam się i czekałam na zaproszenie do środka, które też nastąpiło natychmiast. Spytała, jak się nazywam i gdzie pracuję. Od razu nazwała mnie Elżunią. Wyszła do jadalni, wyjęła z bieliźniarki pościel i rozłożyła ją na kanapie. Po czym wróciła i przygotowała herbatę. Kiedy piłam, usiadła przy kuchennym stole i spytała mnie o rodzinę. Powiedziałam jej, że rodzice zginęli w czasie bombardowania; posmutniała, policzki jej się zaróżowiły. Pokiwała głową i ciężko westchnęła.

– Byliśmy wtedy wszyscy w domu – ciągnęłam – bardzo wcześnie rano. Rodzice i siostra... – przerwała mi pytaniem, kim był mój ojciec; odpowiedziałam, że prawnikiem. A potem życzyła mi dobrej nocy i radziła pójść spać.

Starszy pan spał w kuchni za zasłoną, a jego żona w sypialni. Powiedziałam „dobranoc" i poszłam do jadalni. Zdjęłam buty i sukienkę. Co za przyjemność położyć się w pościeli po

z górą roku! Przespałam całą noc tak mocno, że rano pani Wiktoria musiała mnie zbudzić.

Zrobiła herbatę i dała mi kawałek chleba, co było luksusem, bo pod niemiecką okupacją wszystko racjonowano. W ciągu paru dni po wyjściu z getta jadałam tylko raz dziennie, zresztą niepełny posiłek. Na poddaszu mieliśmy niewiele więcej. Zanim wyszłam, pani Starowicz powiedziała mi, że skontaktuje się w mojej sprawie z córką i że będę mogła spotkać się z nią po pracy.

– Jeżeli Wiki się zgodzi, możesz zostać u nas tak długo, jak zechcesz. To zależy od niej – dodała.

Czyż mogłam zachować spokój przez cały ten dzień i myśleć pozytywnie? Mieszkałoby się tam miło, choć z punktu widzenia kogoś, kto chciałby się ukrywać, miejsce nie prezentowało się najlepiej. Rozkład domu sprawiał, niestety, że ze wszystkich okien głównego budynku można było widzieć, jak wchodzę i wychodzę z mieszkania. Mogło to zwrócić uwagę kogoś o złych intencjach. Miałam cały dzień, żeby pomyśleć o czymś innym, ale nic mi nie przychodziło do głowy. Oczywiście, lepsze to niż piwnica. Tak jak dotychczas pomyślałam, że coś wydarzy się w ostatnim momencie. Dziwne, ale tym razem nie bałam się niczego. Wiedziałam, że zrobię to, co trzeba.

Tego samego dnia rano pan Leśniewski wyjaśnił mi, że muszę pójść do urzędu państwowego i zarejestrować się, by otrzymać pozwolenie na pracę w Krakowie. Dał mi dokument z zaświadczeniem, że zatrudnił mnie na stałe w swojej pracowni jako retuszerkę i uprzejmie poinformował, że trzeba to załatwić następnego dnia. Zatrudnianie osób niemających prawa do mieszkania w Krakowie było sprzeczne z przepisami – ludzie tacy, uznawani za cudzoziemców, musieli występować o specjalne pozwolenie, ponieważ Kraków był teraz miastem niemieckim. Obiecałam, że załatwię to następnego dnia.

Po pracy pojechałam tramwajem i wcześnie stawiłam się na spotkanie z córką państwa Starowiczów. Wiki czekała na mnie

w drzwiach, ubrana do wyjścia. Przywitałam się i przedstawiłam. Zachowywała się oficjalnie, zwracała się do mnie „panno Orlańska", później stanęło na „panno Elzo". Była przystojna, ale miała jakiś grymas na twarzy, jakby nic jej się nie podobało. Ustaliła, że mam płacić osiemset złotych miesięcznie za pokój i wyżywienie i oddawać swoją kartkę na żywność. Zgodziłam się na wszystko. Pensję miałam dużą i mogłam sobie na to pozwolić. Na szczęście zrobiłam na niej dobre wrażenie. Pani Starowiczowa mówiła mi rano tego dnia, że jej córka jest bardzo bystra i pracuje jako sekretarka u adwokata. Musiała zapewne powtórzyć jej, że mój ojciec był prawnikiem. Pokazałam Wiki zaświadczenie, które miałam przedstawić w urzędzie pracy, żeby dostać pozwolenie na mieszkanie i pracę w Krakowie; powiedziałam jej, że gdy tylko mi je wydadzą, dostanę kartkę na żywność. Uśmiechnęła się z aprobatą.

– Rzeczywiście, jesteś córką prawnika – stwierdziła.

Czy było to szczęście, czy cud? Czułam się jak Mojżesz, gdy Wszechmocny, by go ocalić, przesunął jego rękę z miseczki ze złotem ku miseczce z żarzącymi się węglami. Dopóki nikt nie pytał mnie, czy jestem Żydówką, nie przeszkadzało mi zmyślanie różnych opowieści. Były to kłamstwa niewinne, niemal dziecinne, ale brzmiały wiarygodnie. Do tej pory nikomu nie wyrządziły szkody i pasowały do mojej osobowości. A co najważniejsze, pozwalały mi ratować życie, w każdej chwili dnia i nocy. Zastanawianie się, jak długo to potrwa, nie miało sensu.

W urzędzie pracy, gdzie miałam otrzymać zezwolenie na mieszkanie i pracę w Krakowie, moje nobliwe nazwisko zrobiło wrażenie. Niezwykle ważny dokument dostałam w ciągu kilku sekund. Popędziłam z powrotem do pracowni i pokazałam go panu Leśniewskiemu. Podziękował mi: „Czasami pojawia się kontrola i sprawdza personel", powiedział. Tak było rzeczywiście. Niemiecki kontroler systematycznie przychodził do zakładu, wypytywał nas, czy jesteśmy dobrze traktowani albo czy chcemy, żeby szef zainstalował nam kuchnię. Nie skarżyliśmy się, oczywiście. Jak mogli zajmować się obroną praw pracowniczych, mordując w tym samym

czasie niewinnych ludzi, wyciągając ich z domów i torturując? Jak potrafili pogodzić troskę o robotników z potwornymi zbrodniami przeciw ludzkości? Hipokryzja wprost niewiarygodna.

Następnego dnia poszłam do biura zaopatrzeniowego; młoda kobieta poprosiła mnie o dokumenty i spytała, czy mam pozwolenie na pobyt w Krakowie. Wręczyłam jej zaświadczenie. Popatrzyła na nie i na dokumenty.

– Jest pani z Rzeszowa? – spytała.

– Tak.

– A gdzie pani tam mieszkała?

Na każdą sytuację miałam pod ręką gotowe kłamstwo.

– Urodziłam się tam – powiedziałam – ale kiedy byłyśmy bardzo małe, rodzice przeprowadzili się do Warszawy. Wie pani, z racji pracy ojca. W szkole często nas pytano o Rzeszów. Szczerze mówiąc, nie pamiętam nazwy ulicy. Może dlatego, że nie wspominano o tym w domu.

– Wiem. Ludzie przenoszą się tam, gdzie mogą dostać lepszą pracę. Moja siostra pracuje w Warszawie. Tęsknię za nią. – Jej twarz posmutniała. Było więc kilka wspólnych nam spraw, które bardzo mi odpowiadały; wymieniłyśmy uwagi o tęsknocie i smutku. Przyszłam jednak po rzecz konkretną – kartkę żywnościową. Powiedziałam kobiecie, że miło mi było porozmawiać z kimś z mojego rodzinnego miasta i że może uda mi się kiedyś do niej zajrzeć. Chciałam skrócić wizytę, bo co chwilę musiałam wymyślać nowe kłamstwa. Starannie wypełniła papiery, podziękowałam jej i życzyłam szczęścia. Była dla mnie bardzo miła, ale poczułam się szczęśliwa, gdy dostałam kartkę i wyszłam.

Po pracy oddałam kartkę pani Starowiczowej. Podziękowała mi i powiedziała:

– Znasz Wiki – u niej wszystko musi być w porządku.

W krótkim czasie uzyskałam status obywatelki polskiej, katoliczki, mieszkającej i pracującej w Krakowie i posiadającej pełne prawa przyznawane przez Niemców.

Żyjąc w kłamstwie

Siódmego każdego miesiąca wysyłałam list pod adresem podanym mi przez Irenę Lipowicz, jako znak, że nadal żyję. Irena mówiła, że ludzie z konspiracji znajdą mnie, jeśli będą mnie potrzebować, ale do tej pory nie byłam w stanie podać im mego adresu. Teraz już mogłam. Przeżyłam, choć zapłaciłam za to samotnością i brakiem poczucia bezpieczeństwa. Tęskniłam za rodzinnym ciepłem.

Małżeństwo, u którego zamieszkałam, miało troje dzieci, ale tylko jedną wnuczkę. Nigdy ich nie odwiedzała, przynajmniej za mojej obecności. Zauważyłam, że pani Starowiczowa mówiąc o mężu, nazywała go dziadkiem. Pewnego dnia zapytałam, czy pozwoliliby mi mówić do nich: „babciu" i „dziadku". Oboje z radością się zgodzili. Mnie też było przyjemnie. Babcia lubiła przyglądać się, jak jem, a dziadek z przyjemnością słuchał moich opowieści o tym, co robię w pracowni. Słuchałam tego, co opowiadali o swoim życiu. Cieszyli się, że jest z nimi ktoś młody.

Dziadek poczuł się zobowiązany do udzielania mi wskazówek natury moralnej.

– Co to za śpiewy rano przy wstawaniu? – zrugał mnie kiedyś. – Jak wstajesz, powinnaś uklęknąć i zmówić pacierz.

Od tej pory co rano modliłam się zaraz po wstaniu. Oboje byli bardzo pobożnymi katolikami. Ich dzieci też chodziły do kościoła. Starałam się, oczywiście, dostosować do ich życia. Lubili mnie, bo odnosiłam się do nich z szacunkiem i zawsze byłam gotowa pomóc. Babcia często potrzebowała pomocy w robotach

domowych, choćby w zagniataniu ciasta. Nigdy wcześniej tego nie robiłam, ale wszystko mi pokazała. Dziadek też nie był już tak silny jak kiedyś. Któregoś dnia poprosił, żebym przyniosła z piwnicy węgiel do pieca; pierwszy raz byłam wtedy w tak ciemnej piwnicy. Sama w ciemności bałam się tak bardzo, że niemal nie mogłam oddychać, ale zrobiłam co trzeba.

Pochłaniało mnie codzienne życie, ale ogromnie tęskniłam za rodziną. W pracy, w ciągu kilku popołudni, narysowałam na kawałku papieru portret mamy. Wyszedł doskonale. Złożyłam go i schowałam do torebki. W zakładzie wspólny język znajdowałam raczej z Gargasem niż z Niedźwieckim. Gargas miał wyższe wykształcenie; rozmawialiśmy o książkach i o obrazach, natomiast rozmowy z Niedźwieckim ograniczały się do pracy i pogody. Po kilku tygodniach pojawiła się nowa retuszerka, którą posadzono obok Gargasa. Była mała, piegowata i pełna życia. Miała wspaniałe poczucie humoru i zawsze jakiś żarcik do opowiedzenia, szybko też zdobyła sobie powszechną sympatię. Nazywała się Alina, a do mnie mówiła „panno Elu". Pracowała dość wolno i zarabiała niewiele.

Od czasu do czasu odwiedzał ją pewien mężczyzna. Alina mówiła, że to jej wujek. Przestrzegaliśmy w pracy samorzutnie przyjętych zasad. Nikt nikogo nie pytał o życie osobiste. Mało o sobie wiedzieliśmy, choć przez wiele godzin pracowaliśmy razem, w jednym pomieszczeniu. Polacy są tradycyjnie dość powściągliwi, a dla niektórych, choćby dla mnie, ujawnianie zbyt wielu informacji o przeszłości mogło okazać się niebezpieczne.

Pracy było mnóstwo; stosy negatywów rosły. Najczęściej fotografowali się niemieccy wojskowi przydzieleni do Krakowa. Sekretarka sprowadziła retuszera, który mieszkał w Poznaniu, pracował na własne konto i zabierał negatywy do domu. Niedźwiecki znał go, bo często wzywano go do pomocy, gdy powstawały zaległości. Miał różowawą twarz i długie, jasne włosy, ale któregoś dnia pojawił się krótko ostrzyżony. Kiedy Niedźwiecki spytał go, co się stało, roześmiał się i opowiedział, jak zatrzymała go na ulicy niemiecka policja i zaprowadziła do fryzjera.

– Niemcy nie lubią długowłosych mężczyzn – przytaknął Niedźwiecki. Tamten czekał w pokoju retuszerów, aż pan Bielec przygotuje dla niego robotę. Tydzień później, kiedy przyjechał po kolejne zlecenia, zaprosił mnie na spacer w niedzielę. Zgodziłam się.

Nie wiem dokładnie, dlaczego to zrobiłam, ale zwykle ufam ludziom i jestem z natury dobrym słuchaczem. Tym razem jednak powinnam była usłyszeć to, co niesłyszalne. Nieostrożność mogła kosztować mnie życie. Miałam dziewiętnaście lat, byłam młoda i niedoświadczona. Zamiast robić wszystko, by ocalić życie, naraziłam je na ryzyko. Później czułam się zdruzgotana i wstydziłam się, że się z nim umówiłam.

Spotkaliśmy się w niedzielę w Sukiennicach, gdzie handlowano wyrobami rzemieślniczymi, zwłaszcza przywożonymi z gór. Zaprowadził mnie na obrzeża miasta i zatrzymał się przy ogromnym wykopie przygotowanym pod budowę. Stojąc na krawędzi, powiedział:

– Gdybym panią pchnął na dół, co by pani zrobiła? – Czekał, jak zareaguję.

– Och, z łatwością wspięłabym się po zboczu – odpowiedziałam, co było prawdą, pod warunkiem, że nie upadłabym na kamienie. Tymczasem, myślałam, wiedział, dokąd mnie zabiera; ma jakiś straszliwy plan. Czułam w głowie dziwne pulsowanie, ale roześmiałam się.

– Wie pan, jestem gimnastyczką, wyjście stamtąd nie zajęłoby mi wiele czasu.

Bałam się jednak. Zauważyłam, że złośliwie się uśmiecha. Odwróciłam się i ruszyłam przed siebie. W drodze powrotnej do miasta żadne z nas nie mówiło wiele. Myślę, że naprawdę miał jakieś okropne zamiary, ale jeszcze raz miałam szczęście. Cały ten incydent sprawił, że sama sobą się zdenerwowałam. Nigdy więcej tego mężczyzny nie widziałam.

W pracy rozmawiałyśmy z Aliną o naszych domach. Wtedy nie wiedziałam jeszcze, że wymyślała swoją historię tak jak

i ja; budowała sobie przeszłość, która musiała wyglądać mniej więcej wiarygodnie. Wydawało mi się, że jestem dobra w zmyślaniu, ale Alina była ode mnie lepsza. Miała niewiarygodną wyobraźnię, przy tym zorganizowała sobie fikcyjnego wujka; to on ją odwiedzał, utwierdzając wizerunek prawdziwej Polki, która ma rodzinę w odległym mieście. Miłe było to, że ta polska rodzina wspiera ją w tak niepewnych czasach. Zarabiała mało i nie mogła sobie pozwalać na żadne zakupy. Czasami wymieniałyśmy się w porze obiadowej kanapkami, jako że przynosiła tylko dwie kromki chleba bez niczego w środku. W rewanżu chciała mi coś podarować. Dała mi kiedyś brązową aksamitną sukienkę.

– To mojej mamy – powiedziała. – Weź, to twój rozmiar.

Włożyłam ją następnego dnia, czym sprawiłam Alinie przyjemność. Miałam też czarną aksamitną sukienkę, którą matka uszyła ze swojego szlafroka. W czasie wojny kupienie jakiegoś materiału nie było możliwe. Dorobiłam się więc dwóch sukienek, jednej letniej spódnicy i bluzki oraz sukienki, którą dała mi Dvora na podróż pociągiem z Czerniakowa do Krakowa. Była tylko sfastrygowana, ale jakimś cudem biała nitka nie prześwitywała.

Któregoś dnia Alina siedziała smutna, inna niż zwykle. Do tej pory rozmawiałyśmy tylko luźno, w godzinach pracy. Nigdy nie zadawałyśmy sobie osobistych pytań, nie odwiedzałyśmy się ani nie wychodziłyśmy razem. Pod wieczór, kiedy skończyłam pracę, czekała na mnie w ciemności pod zakładem.

– Muszę z panią porozmawiać, panno Elu – powiedziała.

Okazało się, że wynajmowała pokój u pewnej rodziny nałogowych pijaków. Ostatniej nocy, po pijanemu, zażądali od niej więcej pieniędzy. Zagrozili, że jeśli nie dostaną, doniosą na policję, że jest Żydówką. Była przerażona. Gdybym miała swój pokój, mogłabym ją zabrać do siebie. Ale to było niemożliwe; ja też mieszkałam u rodziny i nie miałam własnego miejsca. Poradziłam, żeby wyprowadziła się i poszukała innego domu.

– Nie dzisiaj – odparła. – Tam są moje rzeczy.

Współczułam jej, ale nie byłam w stanie pomóc. I wtedy powiedziałam:

– Idź przed siebie, jak długo się da.

Odwróciła się do mnie:

– Pani też jest Żydówką? – Kiwnęłam głową. Natychmiast zdałam sobie sprawę, że zrobiłam błąd, ale już się stało. Alina stwierdziła, że poczuła się lepiej. Ja byłam skonsternowana. Głupio ujawniłam swoją tajemnicę. Rozstałyśmy się na przystanku tramwajowym. Już następnego dnia znalazła miejsce u jakiejś samotnej kobiety. Nigdy nie wiedziałam, gdzie mieszkała. Nie opuszczała nas świadomość, że musimy dalej żyć. Od pierwszej chwili, gdy pojawiła się w pokoju retuszerów, podejrzewałam, że jest Żydówką, ale jej żarty czasami przyprawiały mnie o rumieniec, co zmieniło moje zdanie. Byłam zbyt naiwna, by wiele z nich zrozumieć.

Tylko Alina znała moją tajemnicę. Później, kiedy byłyśmy same, umówiłyśmy się, że gdyby którejś z nas coś się zdarzyło, druga po wojnie zawiadomi o tym jej żyjących bliskich. Czy rzeczywiście widziałyśmy przed sobą jakąś przyszłość? Niebezpieczeństwo czyhało wszędzie. Nieustannie zachowywałam czujność, ale jak długo można grać na scenie bez potknięcia? Stan czuwania jest dobry, ale strach to zły towarzysz. Poza tym wrogów było więcej. Donieść mogli zarówno Polacy, jak i Niemcy.

Pewnego ranka, kiedy przyszłam do zakładu, przyglądał mi się nasz zawodowy fotograf, pan Łabuzek. Twarz miałam wciąż opaloną od pracy w polu w Czerniakowie, a na głowie lśniącą, złocistą chustkę zawiązaną jak turban. Tak się tym zachwycił, że zaproponował mi, bym pozowała mu do portretu. Był to człowiek dość nerwowy, o zachrypniętym głosie, świdrujących czarnych oczach i czarnych włosach. Portret udał się wspaniale. Pan Łabuzek był z niego tak zadowolony, że oprawił go i wywiesił w witrynie na zewnątrz. Najpierw przyniósł go pokazać w pokoju retuszerów. Bardzo był dumny. Gratulowali nam tego dzieła wszyscy prócz Niedźwieckiego, który z sarkazmem

rzucił, że zdjęcie jest dobre, ale – zwrócił się do mnie z cynicznym uśmiechem – „wyglądasz jak mała Żydóweczka". Powiedział to w obecności wielu ludzi – wszystkich pracujących w pokoju retuszerów, czterech laborantów, ich czterech pomocników i jeszcze trzech innych osób. Zupełnie nie miał racji. Portret miał w sobie coś orientalnego. Nikt nic więcej nie powiedział, nie mogłam więc odgadnąć, co kto myślał. Zachował się celowo złośliwie. Czułam się, jakbym dostała cios w plecy, chciałam wdać się w kłótnię, ale opanowałam odruch. Pochwaliłam fotografa: „Jest piękny. Prześliczny". Należało wtedy odejść, ale jeszcze o tym nie wiedziałam. Pan Łabuzek poszedł powiesić portret w gablocie i wszyscy wrócili do swoich zajęć.

Na tym sprawa się skończyła. Czy na pewno? Później Alina mówiła mi, że rozmawiała z Niedźwieckim i powiedziała mu, że swoim komentarzem mógł ściągnąć na mnie niebezpieczeństwo. Czy jej uwaga utwierdziła go w podejrzeniach, że jestem Żydówką? Przypuszczałam, że nienawidził mnie, bo odmówiłam, kiedy zaproponował mi spacer. Wystarczyło mi jedno doświadczenie; byłam ostrożna. Nie obchodził mnie. Szybko zorientowałam się, że nie jest dżentelmenem i miałam rację. Teraz wydawał mi się jeszcze bardziej odrażający.

Niedźwieckiego często odwiedzał kolega, który nazywał się Szwarcenberg-Czerny. W pewnym momencie jakby zniknął; nie pokazywał się w pracowni przez długi czas, po czym pojawił się z ogoloną na łyso głową. Natknęłam się też kiedyś na niego na schodach. Był pijany i Niedźwiecki pomagał mu stanąć na nogach. Po wojnie opowiadała mi Alina, że trafił za coś do więzienia i zwolniono go pod warunkiem, że będzie donosił o ukrywających się Żydach. Niedźwiecki był widocznie jednym z jego informatorów. Według Aliny już po zakończeniu wojny Szwarcenberga złapało małżeństwo, którego córka zginęła wskutek jego donosu. Przekazali go sądowi w Krakowie. Alina była na procesie, kiedy skazano go i wysłano do więzienia.

Do zakładu przychodzili nowi uczniowie. Jeden z chłopców trafił do laboratorium, gdzie uczył się wywoływania negatywów i kopiowania odbitek. Jakiejś dziewczynie kazano pomagać, gdzie się da, w pokoju retuszerów albo w recepcji. Była młoda, ładna i pomocna. Mówiliśmy do niej „panno Jasiu". W Polsce nie zwracało się do nikogo tylko po imieniu lub nazwisku. Często przynosiła mi cukierki albo ciastka. Spytałam ją kiedyś, skąd je ma. Odpowiedziała cicho:

– Moja siostra pracuje w biurze u Niemców.

– Czemu przynosi je pani specjalnie dla mnie?

– Bo panią lubię – odparła. Była kochana.

Trzeciego ucznia, chłopca nazwiskiem Schwartz, przydzielono mnie, żebym go uczyła retuszowania. Prośba pana Leśniewskiego była dla mnie wyróżnieniem. Wysoki, szczupły osiemnastolatek okazał się skrzypkiem, który z powodu wojny nie mógł kontynuować studiów. Robiłam, co mogłam, żeby zainteresować go sztuką retuszu, ale było jasne, że sercem jest przy muzyce. Miał ją w głowie nieustannie. Pewnego dnia napisał jakieś nuty na szybie, gdzie kładło się negatywy do retuszu. Niewiele wiedziałam o muzyce, tyle tylko, ile wyniosłam ze szkoły, ale z jego pomocą zdołałam rozpoznać melodię, arię z opery *Cavalleria rusticana*.

Chłopak poświęcał mi więcej uwagi wyłącznie wtedy, gdy rozmowa schodziła na muzykę; w pracy robił nikłe postępy. Któregoś dnia nabrał odwagi i zaprosił mnie na popołudniowy koncert symfoniczny, który miał się odbyć w najbliższą niedzielę. W orkiestrze grał jego profesor skrzypiec, bardzo chciał więc być na tym koncercie. Dla mnie było to też ekscytujące. Od niepamiętnych czasów nie miałam żadnej rozrywki. W niedzielę spytałam go, jak mu się udało zdobyć bilety. Roześmiał się: „Mój ojciec i cała nasza rodzina to folksdojcze. Mamy pewne przywileje i z nich korzystamy. Bez trudu możemy dostać, co chcemy". Przeszedł mnie dreszcz. Znów otarłam się o niebezpieczeństwo. Pod salą koncertową zauważyłam czekającą na kogoś

dziewczynę. Była w białej bluzce i czarnej, plisowanej spódnicy. Rozglądała się na wszystkie strony. Coś w jej zachowaniu mnie uderzyło; byłam pewna, że jest Żydówką. Koncert podobał mi się ogromnie; rozpoznawałam nawet melodie z różnych oper. Schwartz odprowadził mnie do domu i podziękował, że poszłam z nim razem. Następnego dnia powiedział mi, że swoją przyszłość wiąże z muzyką i kilka dni później odszedł z pracy.

Po incydencie z moim portretem Niedźwiecki starał się okazywać mi życzliwość. Wiele razy mnie gdzieś zapraszał, ale odmawiałam. Później zorientowałam się, że chce mnie uwieść. Wolałam, by się do mnie nie zbliżał, był fałszywy, nie podobała mi się jego osobowość ani maniery.

Raz, nieostrożnie, powiedziałam, że obraz jeźdźca na koniu, namalowany przez pana Bieleca z małej fotografii, ma chyba niewłaściwe proporcje. Niedźwiecki musiał o tym donieść, bo kilka dni później pan Bielec przyszedł do mnie, pokazał mi go i stwierdził, że proporcje z pewnością są dobre, ponieważ wiernie je odtworzył, powiększając dziesięciokrotnie wymiary zdjęcia. „Może to złudzenie optyczne", podsunął mi. Zdałam sobie sprawę, że absolutnie nie mogę ufać Niedźwieckiemu. Być może powinnam była potraktować to jako ostrzeżenie i odejść z pracy, ale wtedy nie czułam bezpośredniego zagrożenia.

Współpraca z podziemiem

Dwukrotnie w ciągu tego samego tygodnia próbowały się ze mną skontaktować dwie osoby związane z podziemiem. Raz, kiedy wróciłam do domu, babcia opowiedziała mi o kobiecie, która o mnie pytała. Mogła to być jedna z kurierek działających na zewnątrz, poza gettem, po „aryjskiej stronie". Nie zostawiła wiadomości. Drugą osobą, sądząc z opisu babci, był zapewne chłopak z Czerniakowa; ten, który podawał mi obiad na jedynym talerzu w drobne niebieskie kwiatki.

Byłam zdumiona: dlaczego narażali mnie na takie ryzyko? Skoro wiedzieli, gdzie mieszkam, rozsądniej byłoby napisać do mnie list albo czekać na ulicy, kiedy będę szła do pracy lub wracała do domu. Złościłam się, ale i byłam ciekawa, ponieważ mógł to być sygnał, że mnie potrzebują. Nikt z nas wprawdzie nie musiał składać żadnej przysięgi na wierność ruchowi, jednak moralnie czułam się z nimi związana.

Tego wieczora po pracy pojechałam tramwajem do getta. Szłam tuż przy ogrodzeniu, żeby zawiadomić kogokolwiek po drugiej stronie, że chcę się spotkać z Labanem, którego wszyscy tam znali. Laban pojawił się natychmiast; za nim szedł jakiś drugi mężczyzna. Kazał mi jechać do Warszawy; ktoś w tej sprawie miał się ze mną w najbliższym czasie skontaktować. Spytałam go, kim są ludzie, którzy dowiedzieli się, gdzie mieszkam. Nie odpowiedział. Zgodnie z instrukcją Ireny, pisałam co miesiąc do matki przełożonej i o ile wiedziałam, absolutnie nikt inny nie znał mojego adresu. Nie mogła to być dziewczyna z poddasza

w krakowskim getcie, bo po naszym ostatnim spotkaniu przeprowadziłam się. Od tamtej pory nie spotkałam nikogo znajomego. A jednak ci ludzie wiedzieli, gdzie mnie szukać. Wydawało mi się to dziwne; nie mogłam tego zrozumieć. Nie rozumowałam precyzyjnie – zgodziłam się wykonać niebezpieczne zadanie w Warszawie, co nie było zbyt mądre.

Niedługo potem spotkał się ze mną na ulicy niedaleko pracowni Mietek, człowiek, który towarzyszył Labanowi. Zatrzymał dorożkę i kazał jechać na nieznaną mi ulicę. Stanęliśmy tam przed sklepikiem szewca, który mieszkał z tyłu, za sklepem, w pojedynczym, ciemnym pokoju. Uściskali się, po czym Mietek odwrócił się do mnie i powiedział, żebym się nie bała, bo szewc jest „nasz", co znaczyło, że należy do jakiejś podziemnej organizacji. Poszliśmy na piętro. Otworzył nam ktoś, kto najwyraźniej też znał Mietka. „Nie bój się, to nasz", usłyszałam znów. Wyciągnęłam rękę i wtedy spadł mi z nadgarstka zegarek. Fala przesądów napłynęła mi do głowy, ale szybko o całym tym incydencie zapomniałam. Tak wiele wydarzyło się w czasie, kiedy żyłam pod fałszywym nazwiskiem, że nie mogłam każdego wydarzenia traktować poważnie. Nie wiedziałam, jak unikać kłopotów; miałam tylko świadomość, że będę musiała znieść wszystko, co mnie spotka. Kilka minut później wyszliśmy na ulicę. Dorożkarzowi, który na nas czekał, Mietek kazał odwieźć mnie o domu i zapłacił za kurs z góry. Umówiliśmy się, że do Warszawy pojedziemy za kilka dni, w czwartek.

W pracy zapowiedziałam, że muszę jechać do Warszawy na pogrzeb. Pan Leśniewski nie miał zastrzeżeń. Pani Pola, retuszerka pozytywów, sprzedała mi elegancką woalkę. Wszystko toczyło się, jak należy. We czwartek rano spotkaliśmy się na Dworcu Głównym i tam Mietek kupił bilety. W pociągu panował tłok. Usiedliśmy razem po lewej stronie wagonu, rozmawiając tylko z konieczności. Pociąg ruszył i wtedy przyszedł polski konduktor sprawdzający bilety. Mnie poprosił o bilet i dokumenty. W nabitym ludźmi wagonie zaduch był nie do zniesienia.

Nie mogłam wytrzymać w woalce i odrzuciłam ją z twarzy. Konduktor dwa razy popatrzył na moje zdjęcie, a potem na mnie. Nie wiem, czy zastanawiał się nad moim wiekiem, nieprawdziwym w papierach, czy zorientował się, że jestem Żydówką – zapewne jedno i drugie. Spytał, czy jestem sama, i wtedy Mietek powiedział, że jedzie razem ze mną na pogrzeb. Tamten stał przez chwilę i z powątpiewaniem kręcił głową. Po czym powoli się odwrócił i odszedł. Miałam opłacony bilet, dlaczego więc musiał sprawdzać mnie tak dokładnie i tak wyróżnić na oczach wszystkich pasażerów? Czy był to kolejny drobny cud?

Prawdopodobieństwo, że to Polak zadenuncjuje Żyda było znacznie większe niż możliwość rozpoznania przez Niemców. Polacy mogli ocalić życie wielu Żydom, nie donosząc na nich. U wielu z nich antyżydowskie uczucia były tak silne, że całkowicie przesłaniały wrodzone odruchy ludzkie.

W Warszawie Mietek podał mi dwa adresy. Jeden z nich już znałam – był to adres matki przełożonej, do której wysyłałam co miesiąc listy kontaktowe. Weszłam drzwiami po lewej stronie i zastałam zakonnicę składającą pościel. Podałam jej nazwisko i powiedziałam, że chcę się zobaczyć z matką przełożoną. Wyszła i wróciła po kilku minutach. Znów, jakby nigdy nic, bez słowa zajęła się pościelą. Podeszłam i spytałam, jak długo mam czekać. Nie odpowiedziała.

Być może nie wolno było jej pod żadnym pozorem rozmawiać, choć poszła do wnętrza klasztoru z wiadomością ode mnie. Matka przełożona w każdym razie się nie pojawiła. W końcu wyszłam. Patrząc wstecz, myślę, że może powinnam była czekać, ale byłam zdenerwowana. Dostawali moje listy i powinni byli wiedzieć, kim jestem. Nie mogłam pojąć, dlaczego nie podjęli kontaktu. Mietek czekał na mnie na zewnątrz. Kiedy powiedziałam mu, co się stało, wymruczał: „Boją się". Potrzebowaliśmy jednak pomocy. Pod drugim adresem mieszkał niejaki Anielewicz, którego osobiście nie znałam; dopiero później dowiedziałam się, że stał na czele Żydowskiej Organizacji Bojowej. Do mieszka-

nia wpuścił mnie jakiś młody człowiek. Gdy powiedziałam, że chcę się widzieć z panem Anielewiczem, kazał mi czekać; kilkakrotnie wychodził do sąsiedniego pokoju, ale nie odezwał się ani słowem. Ja też nic nie mówiłam. W końcu spytałam jeszcze raz. Cisza. I znów, zmęczona czekaniem, wyszłam. Byłam ostrożna, ale i za pierwszym, i za drugim razem wychodziłam z pustymi rękami. „Boją się", powtórzył Mietek. Nie miałam pojęcia, dlaczego mieliby się nas bać.

Zastanawiałam się, czy chodzi o to, że Mietek należy do innej organizacji. I jaka jest w tym wszystkim moja rola? Jeśli wydarzyło się coś złego albo nie uprzedzono ich o moim przyjeździe, kontakt, nawet z właściwą osobą, nie byłby wskazany. Nigdy nie dowiedziałam się, w czym rzecz. Nie mogłam obwiniać Mietka. Tak naprawdę nawet go nie znałam. Przysłano go do mnie jako kontakt i tyle. Nigdy nie przeszłam żadnego konspiracyjnego szkolenia.

Jakiś czas później, kiedy pracowałam w filii zakładu fotograficznego na Zielonej, zobaczyłam przez okno dwóch mężczyzn wbiegających do bramy domu naprzeciwko. Poznałam Mietka i Icchaka Zuckermana, który używał też imienia Antek. Przypuszczałam, że chowają się tam z jakichś powodów i kiedy następnym razem widziałam się z Mietkiem, spytałam go, co się stało. Odpowiedział wymijająco. Po wojnie powiedziano mi, że zabili wtedy jakichś Niemców. Nie mogę więc zarzucać Mietkowi nielojalności ani niewłaściwego postępowania.

Zrobiło się późno. Na ulicy było niebezpiecznie, musieliśmy więc pójść na noc do hotelu ze względu na porę odjazdu pociągu. Spaliśmy w jednym pokoju, ja na łóżku, a Mietek na kanapie. Rano zapukał do drzwi tajniak. Sprawdzał gości hotelowych. Najpierw zażądał dokumentów od Mietka; oddał mu je usatysfakcjonowany. Zwrócił się do mnie, zajrzał w moje papiery i powiedział:

– Odmów Ojcze nasz.

– Tutaj? – zdziwiłam się. – Chodźmy do kościoła. Tu nie będę się modlić.

Spojrzał na mnie zdziwiony, po czym oświadczył:

– Wszystko w porządku – i wyszedł. Mietek roześmiał się, ale ja dygotałam. Poszliśmy natychmiast na stację i wyjechaliśmy do Krakowa.

*

Maria była sekretarką w filii zakładu mieszczącej się na ulicy Zielonej, gdzie wysłano mnie na kilka tygodni do pracy. Którejś niedzieli zaprosiła mnie na spacer. Później zaproponowała, żebym odwiedziła ją i jej matkę w domu. Mieszkanie składało się z sypialni, jadalni i kuchni. W jadalni stał stół i krzesła, a w kątach pokoju puste skrzynki nakryte białymi prześcieradłami. Reszta mebli zniknęła. Maria z rozbawieniem odkryła je i śmiejąc się, powiedziała mi: „Sprzedałyśmy meble, bo nie miałyśmy pieniędzy. Teraz jest nam nieco lepiej. Ja pracuję i obu nam udało się przeżyć". Matka Marii podała herbatę. W przeciwieństwie do radosnej córki była przygnębiona i specjalnie nie brała udziału w rozmowie.

Po herbacie Maria odprowadziła mnie na przystanek tramwajowy. Po drodze opowiedziała mi, że jej ojciec i brat siedzą w więzieniu. Złapano ich, jak słuchali wiadomości przez radio ukryte na strychu. Sąsiedzi – dawni przyjaciele – dali znać polskiej policji, która ich aresztowała. Nie mogłam pojąć, jak ludzie mogą coś takiego zrobić swoim sąsiadom, przyjaciołom, swoim – a jednak zdarzało się to często.

Minęło kilka miesięcy pobytu i pracy w Krakowie, nadchodziła zima 1942 roku, robiło się coraz chłodniej. Nie zabrałam ze sobą z Czerniakowa mojego pięknego płaszcza, bo wyjeżdżałam latem i bałam się, że płaszcz może wzbudzić zainteresowanie. Ojciec specjalnie zamówił płaszcze dla siostry i dla mnie u najlepszego krawca w Pruszkowie. Były bardzo podobne, różniły się tylko futrzanymi kołnierzami. To wspomnienie obudziło tęsknotę, ale wspomnienia nie pomagały – marzłam. W mieszka-

niu na krześle w jadalni leżała czarna wełniana kamizelka babci. Spytałam, czy mogłabym ją nakładać, żeby się ogrzać. Pozwoliła mi, ale Wiki stwierdziła, że zrobiła ją własnoręcznie dla mamy i że mnie nie wolno jej nosić. Mogłam zrozumieć, dlaczego tak zareagowała, ale nie wiedziałam, jak inaczej mogę się ochronić przed zimnem. W pracy spytałam panią Polę, czy nie ma przypadkiem do sprzedania jakiegoś płaszcza. Przyniosła mi pelerynę. Z rękawami, za to otwarta z przodu, z wiązadełkami. Była cienka, bez podszewki i krótsza od mojej sukienki. Granatowym kolorem pasowała do niej idealnie, ale nie chroniła przed chłodem. Wytłumaczyłam sobie jednak, że lepsze to niż nic.

W grudniu wysłałam kartkę świąteczną do pana Müllera, z moim zdjęciem, ale na wszelki wypadek bez adresu zwrotnego. Po wojnie dowiedziałam się, że Otto Müller przyjechał do warszawskiego getta z dwoma wielkimi wozami wyładowanymi warzywami dla grupy, która pracowała w Czerniakowie. Pokazał im też kartkę ode mnie. Dużo później, po wejściu Sowietów, Müller został schwytany i zabity w Czerniakowie przez miejscowych robotników.

Eugeniusz Gargas zaprosił mnie do domu na świąteczną kolację. Miałam przyjść wcześniej, żeby pomóc w ubieraniu choinki. Mieszkał daleko ode mnie, a ponieważ po godzinie policyjnej tramwaje nie kursowały, przygotował mi miejsce do spania. Wcześniej mówił mi, że ma starszego brata, Tadeusza, i że mieszka z kobietą, która ma na imię Jadwiga.

Kiedy przyszłam, Eugeniusza nie było w domu, a Jadwiga szykowała kolację. Powitała mnie bardzo przyjaźnie. Poprosiła, żebym nazywała ją Hedwig, co po niemiecku znaczy Jadwiga. Wyjaśniła, że jej ojciec był Niemcem, a matka Cyganką. Wszystko to powiedziała mi od razu, na początku. Ponieważ Cyganów prześladowano tak samo jak Żydów, w jakimś sensie ukrywała się w tym domu. Mimo mieszanego pochodzenia miała białą cerę, poza tym owalną twarz, szarozielone oczy i pięknie ukształtowany nos i usta. Długie włosy splatała we wspaniały warkocz. Była prawdziwą pięknością.

Zgodnie z polską tradycją na świąteczną kolację przygotowała mnóstwo różnych dań. Ubrałam choinkę, po raz pierwszy w życiu, i naprawdę mi się to spodobało. Później zamiotłam podłogę. Gdy Eugeniusz i jego brat wrócili do domu, wszystko było gotowe.

Tadeusz, bardzo przystojny mężczyzna, wysoki, z jasnymi włosami i niebieskimi oczami, podobny do Eugeniusza, ale od niego przystojniejszy, wykładał matematykę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Tak jak brat miał zdolności malarskie i rzeźbiarskie, choć to Eugeniusz został zawodowym artystą. Przed wojną byli bogaci, mieli ziemię i inne nieruchomości, ale Niemcy wszystko im skonfiskowali. Ich macocha zostawiła im dwa mieszkania w tym samym domu, gdzie przedtem mieszkali. Ojciec zmarł na gruźlicę; obaj bracia też na nią chorowali. Później dowiedziałam się, że Tadeusz był już chory, gdy go poznałam.

Jedliśmy i śpiewaliśmy. Ze szkoły znałam wszystkie kolędy. Później długo w noc rozmawialiśmy. Spałam u nich, tak jak było uzgodnione, a po śniadaniu wróciłam do domu. Po świętach, w pracy, nigdy z Eugeniuszem nie rozmawialiśmy o mojej wizycie. Kilka tygodni później znów mnie do siebie zaprosił. Powiedziałam o tym babci, na co usłyszałam przestrogę: „Elżuniu, tam gdzie cię lubią, idź raz; gdzie indziej – nigdy". Obiecałam już jednak, że przyjdę, i nie mogłam im zrobić zawodu. Posiedziałam tylko godzinę. Było jasne, że Tadeusz pomału umiera. Więcej czasu spędzał w łóżku niż poza nim. Widziałam go wtedy po raz ostatni i ostatni raz odwiedziłam ten dom. Później trzymałam się rady babci.

*

Pewnego dnia w studiu pojawiła się żona pana Leśniewskiego z całą masą paczek. Poprosiła pomocników z laboratorium, żeby przenieśli stół do pokoju retuszerów. Gdy wszystko zostało przyszykowane, zaproszono do pokoju pana Leśniewskiego. Były to jego urodziny. Mimo racjonowania żywności na stole znalazło się ciasto, wódka, kanapki, kiełbasa i sery. Piliśmy

jego zdrowie wódką i śpiewaliśmy tradycyjne „Sto lat". Zwracaliśmy się do niego tak, jak lubił: „panie szefie".

Jedliśmy wszyscy i przerzucaliśmy się żartami, choć czułam się tam niezupełnie pewnie. Nie przywykłam do tego rodzaju uroczystości; po raz pierwszy zresztą skosztowałam wódki. Reszta pracowników bawiła się świetnie. Alina, przystrojona papierową kokardą, wskoczyła na stół i wyrecytowała dziecięcy wierszyk, który rozbawił wszystkich z racji swej dwuznaczności. I tak to trwało. Szef był szczęśliwy, wszyscy pili zdrowie wszystkich. Nie zdawałam sobie sprawy, że się upijam, i nie wiedziałam, jakie skutki powoduje alkohol; po prostu piłam.

Sądzę, że pan Leśniewski orientował się, co się dzieje. Po skończonym przyjęciu poprosił kilku panów, żeby odprowadzili dziewczęta do domów. Czułam się dobrze, dopóki nie spróbowałam się podnieść. Nie było to łatwe. Wydawało mi się, że kroczę w powietrzu. Do odprowadzenia mnie wyznaczony został zaopatrzeniowiec, który kupował do pracowni chemikalia, papiery i negatywy. Był barwną postacią, ale lojalny wobec szefa i gotów zrobić dla niego wszystko. Miał lisią twarz i lisie maniery. Węszył swoim długim nosem i słuchał wielkimi uszami. W pracy szybki w ruchach, z zawsze błyszczącymi, szarymi oczkami.

Szłam z trudem. Zbyt wysoko podnosiłam nogi i nie byłam w stanie trafić z powrotem na ziemię. Nie wiedziałam nawet, czy nie wyjawiłam swojej ukrywanej tożsamości lub czegokolwiek innego, co mogło zagrozić moim staraniom, by przetrwać. Kiedy wsiedliśmy do tramwaju, troskliwie mi pomagał. Pamiętam, że nie było wolnych miejsc, uczepiłam się więc słupka przy drzwiach. Zaopatrzeniowiec obserwował mnie, gotów w razie potrzeby mi pomóc. Gdy wysiedliśmy w pobliżu mojego domu, chciał mnie odprowadzić pod drzwi. Pamiętam, że odmówiłam:

– Dziękuję, dojdę sama.

– Proszę uważać! Do widzenia! – odpowiedział.

Doszłam do domu. Dziadek grał w karty w suterynie po drugiej stronie ulicy. Babcia szykowała kolację. Położyłam się wcze-

śnie. Kiedy odzyskałam jasność umysłu, uświadomiłam sobie, że sama naraziłam się na niebezpieczeństwo. To doświadczenie czegoś mnie raz na zawsze nauczyło: muszę uważać z alkoholem.

W pracowni mnóstwo było roboty, pan Leśniewski zaproponował więc, bym zabierała negatywy do retuszowania w domu. Dziadek pozwolił mi po kolacji pracować w kuchni, a od pana Leśniewskiego pożyczyłam wolny pulpit ze studia. Był stary i ciężki, dlatego dziadek skierował mnie do stolarza, który zrobił nowy pulpit, taki jaki chciałam mieć – pięknie wykonany, lekki, lśniący, po prostu dzieło sztuki. Podziękowałam dziadkowi. Mogłam pracować kilka godzin każdej nocy, dorabiając sobie sporą sumę do pensji. Pan Leśniewski mawiał, że zarabiam więcej niż pan Hartman, dwa razy ode mnie starszy człowiek, który od dwudziestu pięciu lat wywoływał w ciemni negatywy i kopiował odbitki. Z jednej strony dawało mi to satysfakcję, z drugiej jednak – pracowałam po kilkanaście godzin na dobę. Jeśli byłam zmęczona, nie mogłam się skarżyć. Później dowiedziałam się, że pan Hartman też jest Żydem.

Kiedyś w drodze z pracy do domu ze zdziwieniem zobaczyłam pana Leśniewskiego. Przechodziłam właśnie przez jezdnię pod domem. „Co za przypadek! Nie wiedziałem, że pani tu mieszka", powiedział, przyglądając się mojej zdumionej twarzy. Nieprawda, że nie wiedział, gdzie mieszkam. Szedł od strony mostu, co znaczyło, że przyjechał wcześniejszym tramwajem i wysiadł na następnym przystanku. Ruszył w moją stronę, kiedy zobaczył, że wysiadam.

– Co pana sprowadza w te strony? – spytałam.

Uśmiechnął się.

– Mam się z kimś spotkać. – Nie było to szczególne miejsce do spotkań; żadnych sklepów, tylko domy mieszkalne, tuż pod Wawelem. Spytał, z kim mieszkam i zastanawiałam się, czy to zwykła ciekawość, czy jest jakiś powód tego pytania. Uznałam, że najlepiej będzie mówić prawdę. Chwilę później uścisnął mi dłoń i odszedł.

Nagle któregoś dnia dziadek zachorował. Spytałam, co go boli; powiedział mi, że brzuch. „Może dostanę coś na to w aptece". Uśmiechnął się, bo widział mój niepokój. Wytłumaczyłam aptekarzowi, że dziadek ma bóle, i spytałam, czy można mu jakoś pomóc. Dał mi butelkę z jakimś płynem. Zaniosłam ją do domu i zostawiłam, bo musiałam iść do pracy. Babcia tymczasem posłała po Wiki, która sprowadziła lekarza. Kiedy wróciłam z pracy, dziadek leżał spokojnie.

Tej nocy miałam sen. Zobaczyłam kobietę wchodzącą do domu. Była wysoka, miała długie włosy i długą, białą suknię. Kilka razy obeszła pokój. Usiadła na moim łóżku i powiedziała mi, żebym się nie martwiła. Przez chwilę na mnie patrzyła, potem wstała i poszła do dziadka, który spał w kuchni za zasłoną. Wróciła, znów mi się przyglądając. Okrążyła pokój i zniknęła.

Rano poszłam do pracy, próbując zrozumieć sen. Nim wróciłam do domu, dziadek zmarł. Babcia obwiązała jego głowę ręcznikiem, by nie otworzyły się usta. Godzinę później przyszła Wiki z przedsiębiorcą pogrzebowym i zabrali dziadka. Następnego dnia przyjechał ich syn Józef, inżynier chemik, a po nim druga córka, Wanda, kierowniczka szkoły. Mieszkali w różnych miastach. Pogrzeb był w niedzielę. Babci nie pozwolono pójść ze względu na stan zdrowia, dlatego rodzeństwo postanowiło, że zostanie z domu ze mną. Nigdy wcześniej nie byłam w takiej sytuacji. Wszystko wydawało mi się nowe i dziwne. Wciąż nie mogłam zrozumieć tego, co powiedziała zjawa z mojego snu. Czyżby śmierć przyszła, żeby mnie uspokoić?

Było mi smutno, na dodatek nie wiedziałam, jak w tej chwili żałoby, siedząc tak z babcią, mam się zachować. Dziadek był dla mnie dobry. Po pogrzebie cała trójka dzieci przyszła na trochę do mamy. Wypytywała je, jak się odbyła uroczystość na cmentarzu. Drżała, słuchając szczegółów. Przesunęła swoje kruche ciało na krzesło; siedziała zamyślona i zapatrzona w przestrzeń.

Wiki, Wanda i Józef rozmawiali przyciszonymi głosami. Matka spokojnie przyglądała się dzieciom, dorosłym i do-

brze wykształconym. Dumna była z owoców swej pracy. Kiedyś, w Austrii, pracowała jako guwernantka u księcia i długo przed zamążpójściem uczyła jego dzieci. Ciszę przerwała Wiki.

– Panno Elżbieto, ojciec w ostatniej woli życzył sobie, żebyśmy się panią zaopiekowali. Zostanie pani u nas, póki nie wyjdzie pani za mąż. To było dla niego bardzo ważne – tylko takie życzenie wypowiedział przed śmiercią. Powtarzał to wiele razy. Umarł z pani imieniem na ustach.

Łzy napłynęły mi do oczu. Wszyscy uśmiechnęli się, widząc moją reakcję. Dziwne to musiało się wydać rodzeństwu, któremu ojciec, jak wywnioskowałam, nigdy tak naprawdę nie okazywał swoich głębokich uczuć. Józef wyjechał później tego samego dnia, musiał bowiem wrócić do swoich zawodowych obowiązków. Wanda spędziła noc z matką. Rano zaproponowała, żebym przed pracą poszła z nią do kościoła. Poszłyśmy razem, najbliższy kościół był kilka przecznic dalej. Uklękłyśmy, przeżegnałyśmy się i usiadłyśmy na ławce, gorliwie się modląc.

– Idź teraz, Elżuniu, do pracy, bo się spóźnisz – szepnęła po chwili. Po wyjściu dodała – Obiecaj mi, że będziesz tak robić codziennie przed pracą.

Może mnie podejrzewała. Możliwe, że chciała pójść ze mną, żeby na własne oczy zobaczyć, czy potrafię się modlić, ale postanowiłam się tym nie przejmować. Już blisko rok żyłam pod fałszywym nazwiskiem. Grałam w nadziei, że w pewnym momencie kurtyna opadnie i będę mogła zejść ze sceny.

Spełniłam prośbę Wandy. Codziennie w drodze do pracy modliłam się w kościele. To było dobre miejsce do rozmyślań i do opłakiwania rodziców. Czasami czułam się, jakbym stała w środku nicości, w burzy, bezbronna. Modliłam się za duszę mojego przybranego dziadka, pana Józefa Starowicza, który uratował mnie tego dnia, gdy stałam przed nim w suterynie, zupełnie bezradna. Wiedziałam, że moi rodzice i dziadkowie też będą go błogosławić za to, że mnie uratował.

Życie z babcią

Tuż obok nas mieszkała czteroosobowa rodzina – ojciec, matka, ich córka Helga i młodszy sen Gienek, chyba dwa czy trzy lata starszy ode mnie. Pracował jako technik na kolei. W wolnym czasie grał na mandolinie w zespole, który czasami występował w radiu. Był średniego wzrostu, przystojny, miał jasne włosy i niebieskie oczy, okrągłą twarz i miły uśmiech. Helga, szwaczka, miała włosy ciemne jak i matka. Mówiliśmy sobie „dzień dobry", spotykając się pod domem. Sądzę, że ponieważ dzieci Starowiczów były starsze od Gienka i Helgi, rodziny nie utrzymywały ze sobą bliższych kontaktów. Może też były jakieś różnice społeczne. Zawsze się im kłaniałam, a i oni zachowywali się bardzo życzliwie.

Wieczorem po pogrzebie Gienek przyszedł złożyć babci kondolencje. Podziękowała mu i dodała:

– Zostań chwilkę. Porozmawiaj z Elżunią. Potrzebuje towarzystwa.

Babcia kładła się spać wcześnie, dlatego Gienek często przychodził po kolacji dotrzymać mi towarzystwa, zresztą za zgodą babci. Cieszyła się, bo uważała, że za dużo myślę i za dużo pracuję. Czuła, że chciałabym z kimś porozmawiać, żeby odwrócić myśli od kłopotów. Nie podejrzewała nawet, jak wielkie są te kłopoty.

Rozmawialiśmy z Gienkiem wieczorami, kiedy pracowałam w domu. Opowiadał mi o swoim zespole mandolinistów. Był

wobec mnie delikatny i uprzejmy. Nigdy nie mogliśmy wyjść na spacer w czasie weekendu, bo zespół miał próby w niedziele. Występowali w radiu, ale Polakom nie wolno było mieć odbiorników radiowych. Jak wspomniałam, za słuchanie radia groziło aresztowanie.

Gienek należał też do jakiejś organizacji młodzieżowej i kilka tygodni później zaprosił mnie na jedną z ich weekendowych wycieczek. Byłam podekscytowana perspektywą pewnej odmiany w codziennej rutynie. Jednak dwa dni później, po kolacji, powiedział:

– Nawet gdybym dobrze się tobą opiekował, Elżuś, nie spodobałoby ci się towarzystwo tych ludzi.

– Skoro tak, to dlaczego sam się wybierasz?

– Bo wiem, jak płynąć z prądem. Nie biorę udziału w tym, co mi się nie podoba. Spędzimy tam dwie noce. To nie dla ciebie.

Był troskliwym przyjacielem. Byłam szczera w uczuciach względem niego, ale nie mogłam powiedzieć mu, kim jestem. Wiedziałam wszystko o nim i o jego życiu. Kto wie, co by się stało, gdyby poznał prawdę o mnie. Czasem żałowałam, że muszę kłamać, ale co mi pozostawało? Nie było mi łatwo dźwigać bagaż cierpień, ale przetrwanie zależało od tego, czy zdołam utrzymać czujność, a przede wszystkim, czy sama nie dostarczę innym informacji, które mogłyby się okazać dla mnie zgubne.

Rodzina Gienka też była dla mnie miła. Helga przerobiła mi granatową sukienkę od Dvory; zmieniła fason i uszyła ją na maszynie. Śmiała się, że nosiłam coś tylko sfastrygowanego. Powiedziałam jej, że wyjeżdżałam do Krakowa w takim pośpiechu, że zabrałam ją od krawcowej. Kiedy ją mierzyłam, zauważyłam zdjęcie stojące na narożnej szafce, oparte o święty obrazek. Matka Helgi poszła za moim spojrzeniem.

– To córka właściciela domu. Nie wiemy, gdzie są ani co się z nimi stało. Bardzo mili ludzie. Była najlepszą przyjaciółką

Helgi. Teraz mieszka tam para folksdojczów; oboje grubi, jeżdżą w niedzielę dorożką do kościoła. Złe czasy, Elżuniu.

– Cóż za hańba! Biedni ludzie – powiedziałam.

Helga przymierzyła górę sukienki do mojej peleryny. Pasowała idealnie. Na Rynku Głównym, w wielkiej, średniowiecznej hali targowej, do dziś wykorzystywanej, kupiłam piękną podomkę i pasujące do niej kapcie, kierpce, robione ręcznie przez górali spod Tatr.

Zbliżały się urodziny Helgi. Zostałam zaproszona, ale nagle ogarnęła mnie nieśmiałość; nie miałam nastroju na przyjęcia. Krępowałam się, bo nie znałam ich przyjaciół. W drodze z pracy weszłam do kwiaciarni i kupiłam doniczkę chryzantem. Złożyłam Heldze życzenia i wręczyłam kwiaty. Zapomniałam, że w Polsce nie daje się chryzantem w prezencie; ozdabia się nimi groby na Wszystkich Świętych. Jak mogłam nie pamiętać o takiej tradycji? A kwitły pięknie. Helga postawiła je pod drzwiami. Wcześniej zrobiłam trochę błędów, ale tego akurat się wstydziłam. Nie wiedziałam, jak się wykręcić od przyjścia. Wpadłam na pomysł, że umyję włosy i powiem, że nie mogę przychodzić na przyjęcie z mokrą głową. Argument był dziecinny i nieskuteczny. W ślicznej podomce, kierpcach i z ręcznikiem zawiniętym w turban na głowie zastał mnie Gienek. Wziął mnie na ręce i zaniósł wprost do ich mieszkania. Ojciec uradowany patrzył, jak syn niesie w ramionach dziewczynę. Wszystkim spodobał się jego odruch.

– To prywatne, domowe przyjęcie – powiedziała matka Gienka. – Wyglądasz bardzo dobrze.

A ktoś z przyjaciół dodał:

– Gienek wybrał najpiękniejszą dziewczynę.

Oboje rodzice naprawdę się ucieszyli. Mimo moich błędów sprawy wciąż toczyły się dla mnie dobrze.

Niedługo po tym Wiki orzekła, że mamy z babcią przenieść się do niej; mieszkanie babci miała zająć zamężna córka Wandy. Mogłyśmy zabrać ze sobą tylko rzeczy osobiste, nic poza tym. Ja

spakowałam swój dobytek do jednej walizki, a pulpit do pracy mogłam wziąć do drugiej ręki. Babcia miała więcej ubrań ode mnie.

Wiki mieszkała dokładnie naprzeciwko krakowskiego getta, w domu, do którego wbiegłyśmy z Cylą, kryjąc się po ucieczce. Miała dwa bogato umeblowane pokoje: jadalnię i sypialnię, poza tym kuchnię i łazienkę z wanną i prysznicem. Pod wieloma względami było to znacznie lepsze od wszystkich miejsc dotychczas – nie każdy dom w Polsce wyposażano w takie wygody. Wiki ulokowała nas najlepiej, jak mogła. Babcia spała w jadalni, a ja dostałam kanapę w sypialni Wiki i jej męża. Wiki dotrzymała obietnicy danej ojcu i otoczyła mnie opieką. Pozwoliła mi też pracować w kuchni po kolacji. Jej męża, Wincentego, widziałam wcześniej tylko raz, w dniu pogrzebu dziadka. Był wysokim oficerem Wojska Polskiego, przystojnym, pogodnym mężczyzną. Równie miły sposób bycia miał jego przyjaciel Zygmunt, też wojskowy, który często ich odwiedzał. Nie wiedziałam wtedy, czy jest kawalerem.

Wiki opracowała dla nas plan niedzielnych wyjść do kościoła. W niedzielę miałam chodzić z Wincentym na mszę o dziewiątej, podczas gdy Wiki w domu gotowała obiad. Potem ona szła na jedenastą i w ten sposób babcia nie zostawała zbyt długo sama. Później było na odwrót. My z Wincentym chodziliśmy do franciszkanów. Podobało się nam tam, poza tym śpiewał świetny chór. Czasami, choć niezbyt często, dołączał do nas Zygmunt. Wiki uważała, że nie jesteśmy wystarczająco pobożni. Sama chodziła do staroświeckiego, bardziej rygorystycznego kościoła. W Krakowie kościołów nie brakowało.

Mieliśmy więc po mszy godzinę na przechadzkę przed powrotem do babci. Zwykle siadaliśmy na ławce na Plantach. Na całej długości Plant po obu stronach były drzewa i ławki. Przyglądaliśmy się tłumom ludzi, z rozbawieniem tę rewię komentując. Później o całej wyprawie i o ludziach opowiadaliśmy babci. Kręciła głową i ze skrywanym uśmiechem mówiła, że to niełądnie plotkować.

Wiki nie lubiła poczucia humoru Wincentego i nawet gdy była w stosunkowo dobrym nastroju, miała na twarzy grymas dezaprobaty. Dobrze żyło mi się u nich, ale czułam się zbyt widoczna. Jeden błąd mógł wszystko zrujnować. Zauważyłam, że co rano, kiedy Żydzi wychodzili z getta do pracy, Wiki otwierała okno wychodzące na ulicę i miała łzy w oczach. Któregoś ranka babcia spytała: „Widziałaś go?". Kiwnęła głową i rozpłakała się. Spytałam kiedyś babcię, czemu Wiki co dzień rano płacze. Powiedziała mi, że kiedyś w kolumnie przechodzących obok Żydów zauważyła adwokata, u którego pracowała przez dwadzieścia lat. Szedł do roboty w fabryce pilnowanej przez Niemców. Nie mogła tego wytrzymać.

– Elżuniu – mówiła babcia – to zdolny, bardzo inteligentny człowiek. Zawsze elegancko ubrany. Teraz Wiki zobaczyła go w szmatach, głodnego i poniżonego. Dlatego płacze. Była jego sekretarką przez dwadzieścia lat. Co rano otwiera okno i patrzy na niego z rozdartym sercem.

Dobrze było wiedzieć, że ci ludzie nam współczują, ale zastanawiałam się, jak zareagowałaby na wiadomość, że jestem Żydówką. Chroniłaby mnie czy zadenuncjowała? Jak wiele innych i to pytanie zostaje bez odpowiedzi, wiem jednak, że wtedy darzyli mnie dobrymi uczuciami. Być może moje marzenia, że znajdzie się ktoś, kto mnie ochroni, były dziecinne.

Wiki spytała, co sądzę o Zygmuncie, koledze Wincentego z wojska. Nigdy o nim nie myślałam. Co mogłam powiedzieć?

– Miły człowiek – odparłam bez entuzjazmu.

– Chciałabyś wyjść za niego? – drążyła.

– Tak. Podoba mi się. Zawsze jest w dobrym humorze.

– Ale małżeństwo to poważna decyzja.

– Nie wiem. Zresztą nigdy mnie nie pytał. – Zjawił się kiedyś u mnie w pracy, w luksusowej dorożce. Zabrał mnie na przejażdżkę, a potem odwiózł do domu. Tydzień później Wiki zmieniła zdanie.

– Jest dla ciebie za stary – stwierdziła. Wciąż się o mnie martwiła.

W niedziele Wincenty podawał nam śniadanie do łóżka. Był to ich zwyczaj od ślubu, a ponieważ spałam w tym samym pokoju, byłam traktowana tak samo. Ostatnią wolę dziadka o opiece nade mną przyjęli za rozkaz. Zastanawiałam się, jak długo to może trwać.

Patrzyłam, jak Wiki codziennie otwiera okno i płacze – i zaczynałam tęsknić. Wiedziałam, że czegoś w moim życiu brakuje. Tęskniłam za rodziną. Którejś niedzieli po południu poszłam na spacer i usiadłam na ławce na Plantach, czekając, aż przejdą tamtędy Żydzi wracający do getta po pracy. Zadrżałam, słysząc jidysz, język, którym nie mówiłam od czasów Czerniakowa. Tydzień później poszłam tam jeszcze raz. Czytałam w nadziei, że zaraz znów usłyszę znajome słowa. Zrobiłam to po raz ostatni. Uświadomiłam sobie, że nie jest to bezpieczne; wyglądało zbyt podejrzanie. Zapomniałam, że wciąż grozi mi niebezpieczeństwo. Nie opuszczała mnie jednak pokusa, by próbować szczęścia. Może postępowałam nieostrożnie, bo miałam już dość tej zabawy w chowanego.

Postanowiłam pójść o krok dalej i w woalce kupionej na fikcyjny pogrzeb w Warszawie weszłam do małego domku stojącego samotnie w okolicy dworca kolejowego. Na dachu miał napis: „Wino i miód", a jego fasadę zdobiły betonowe lwy i kwiaty. Drzwi i okna wisiały na żelaznych zawiasach stylizowanych na gotyckie; wewnątrz zwieszały się z okien ciężkie, obszyte na złoto zasłony. Przytłumione światło z mosiężnych i kryształowych kandelabrów rzucało cienie na całą salę. Każdy detal przypominał o minionej świetności. Musiało to być miejsce lubiane przez melomanów. W kącie ktoś grał na pianinie. Skrzypek gawędził z nowo przybyłymi, pytał ich, jakiego utworu chcieliby posłuchać. Widownia złożona z elegancko ubranych kobiet i mężczyzn słuchała uważnie, delektując się muzyką.

Barman cicho przesuwał się między stolikami, roznosząc wino i grzany pitny miód. Był łysy, miał potężne wąsiska i błyszczące oczy. Podszedł do mnie po zamówienie, poprosiłam więc o gorący miód, którego nigdy w życiu nie piłam. Powiedziałam mu,

że chciałabym porozmawiać ze skrzypkiem, który od chwili gdy weszłam, wciąż grał tę samą melodię. Nigdy nie grałam na żadnym instrumencie, ale znałam nazwy wielu utworów i nazwiska kompozytorów. Skrzypka, który do mnie podszedł, poprosiłam o *Marzenie* Schumanna. Gdy weszli następni goście, muzycy zmienili melodię. Zapłaciłam, wyszłam i zniknęłam, jak mogłam najszybciej.

Pracowałam ciężko i nie miałam kłopotów pieniężnych, ale czułam się samotna. Wszystkie kontakty z Gienkiem urwały się, gdy przeprowadziłyśmy się z babcią do Wiki. Nie próbował do mnie dotrzeć. Wiki pozwoliła mi zapraszać Gienka do domu, ale bałam się tam wracać i zaprosić go z powodu czegoś, co wydarzyło się krótko przed naszymi przenosinami.

Pewnego ranka Niemcy otoczyli domy w całym kwartale ulic i sprawdzali dokumenty wszystkich mieszkańców. Wyszłam z bramy i znalazłam się pięćdziesiąt metrów od punktu kontrolnego. Przypomniało mi się, jak Irena wręczyła mi modlitewnik i spytała, czy umiem się modlić. Szybko zorientowałam się, co się dzieje. Nie mogłam się cofnąć, bo wyglądałoby to podejrzanie i zwróciło na mnie uwagę. Poza tym, co powiedziałabym babci i jak wytłumaczyłabym się ze spóźnienia przed moimi szefami? Zresztą wszędzie było tylu esesmanów, że nie pozostawało nic innego, jak podporządkować się rozkazom. Wiedziałam, że oznacza to wielkie kłopoty.

Nie mając żadnego pomysłu, stałam w kolejce i myślałam. Co miała na myśli Irena, kiedy pytała, czy potrafię się modlić? Czy w ostatnich chwilach życia miałam zaufać Wszechmocnemu? Czy sądziła, że jeśli się pomodlę, przeżyję? Mój ojciec modlił się, ale nic mu to nie pomogło. Kiedy wszystkie te myśli przelatywały mi przez głowę, nadszedł krytyczny moment. Wiedziałam, że mogą mnie złapać, tu i teraz, i zastrzelić. Podchodziłam coraz bliżej do esesmana i za późno już było na modlitwę.

– Dokumenty! – wrzeszczał. Ludzie podchodzili powoli, rozmawiając przyciszonymi głosami. Zdziwieni byli tą kontrolą.

– Czego oni chcą? – pytała jakaś kobieta.

– Szukają złodziei? – spytał ktoś inny.

– Chcą wyłapać Żydów – odpowiedział ktoś.

– Tu nie ma żadnych Żydów.

– Nigdy nie wiadomo.

– Znałem porządnego Żyda. Zabili go, cholera – odezwał się gniewnie jakiś mężczyzna.

– Oszukiwali.

– Byli wśród nich przyzwoici ludzie – odparł ten pierwszy.

Kraków nie był miastem kosmopolitycznym. Zamieszkiwali go głównie Polacy i Żydzi. Nigdy nie widziałam tam żadnych zagranicznych turystów ani w ogóle cudzoziemców, chyba że w ambasadzie. Kiedy byłam mała, podczas któregoś z wyjazdów z ojcem do Warszawy zobaczyliśmy żywą reklamę kawy. Za dużym oknem wystawowym sklepu stał czarny mężczyzna i palił ziarna. Pamiętam, że było to coś niezwykłego, bo w Polsce nigdy nie widzieliśmy czarnych ludzi. Polacy rzadko oglądali ludzi innych ras i zwyczajów. Uczyli się o nich w szkole, ale to nie wystarczało, by akceptować odmienność. Na ogół Polacy nienawidzili Żydów albo ich ledwie tolerowali, choć były wyjątki.

Dlaczego Niemcy bali się Żydów? W tamtym okresie wydawało się, że połowa wszystkich żyjących w Polsce Żydów została zabita. Większość tych, którzy pozostali, nieszkodliwych i zrozpaczonych, zamknięto w gettach. Nie stanowili zagrożenia dla nikogo. Niemcy zdecydowani jednak byli wyłapać ich co do jednego. Jeśli ktoś doniósł, że gdzieś tu ukrywają się Żydzi, to ja byłam na celowniku. To koniec. Teraz liczyła się każda sekunda, a ja wciąż nie zdecydowałam, do kogo powinnam się modlić. Nie mogłam modlić się do żadnego Boga; moje pojmowanie pobożności obrażało odmawianie modlitwy tylko ze względów praktycznych. Teraz uratować mnie mógł tylko cud.

Zbliżałam się do punktu kontroli i wciąż jeszcze się nie modliłam. Jaki Bóg przyjąłby moje modły? Byłam oszustką. Miałam fałszywe dokumenty. Cały czas kłamałam. Nadużyłam zaufania porządnych ludzi. Nie byłam tą, za którą się podawa-

łam. W czasach pokoju za wszystkie te przestępstwa poszłabym do więzienia. Ale chciałam żyć. Z drugiej strony, gdyby ci wszyscy ludzie, ci wszyscy porządni ludzie wiedzieli, że jestem Żydówką, co by zrobili?

– Dokumenty! – wrzeszczał co chwila esesman. Trzymałam swoje papiery w ręce. Patrzyłam na nie i myślałam: kim jestem? Dostosowałam się do sytuacji tak dobrze, że żaden mięsień nie drgnął mi w twarzy. Módl się, módl się teraz! Wręczyłam mu dokumenty.

– Dokąd idziesz?

– Do pracy.

– Gdzie pracujesz?

– W zakładzie fotograficznym Bieleca.

Studio było dobrze znane. Niemcy zawsze tam przychodzili robić sobie zdjęcia.

– Masz pozwolenie na pracę w Krakowie?

– Mam. – Podałam kolejny papier.

– Weitergehen! Schnell! (Dalej! Szybko!)

Na szczęście, nie zauważył, że w dokumencie tożsamości fałszerz się pomylił i z wpisanej daty urodzenia wynikało, że jestem o dziesięć lat starsza niż w rzeczywistości. Czułam, że w pewien sposób zdradziłam Stwórcę, ale byłam za uczciwa na to, by modlić się do Niego tylko wtedy, gdy Go potrzebowałam. Zaparłam się mojej prawdziwej wiary, by ratować życie. Kimkolwiek jednak jest, ocalił mnie.

Z powodu tego właśnie wydarzenia bałam się po przeprowadzce wracać w dawne strony, by zobaczyć się z Gienkiem. Wszyscy się tam znali, mieszkali w okolicy od kilkudziesięciu lat. Łatwo byłoby komuś donieść na mnie; takie rzeczy się zdarzały. Poza tym Gienek pochodził z rodziny robotniczej i sądzę, że nie czułby się swobodnie w domu Wiki, choć był bardzo dobrze wychowany. Dzieci babci i ich rodziny miały wyższe wykształcenie; należeli do klasy średniej. Przetrwanie postawiłam na pierwszym miejscu, przed przyjaźnią.

*

Babcia spędzała cały czas w domu, chciałam więc coś dla niej zrobić. Niewiele mówiła, poruszała się bardzo wolno. Pewnego dnia spytałam, czy chciałaby ze mną gdzieś wyjść. Uszczęśliwiona powiedziała, że pójdzie, gdzie tylko zechcę. Obiecałam jej, że w niedzielę zabiorę ją do bazyliki mariackiej i że będziemy się tam modlić przy głównym ołtarzu. Gdy nadeszła niedziela, babcia włożyła swoje najlepsze ubranie. Ostrożnie zeszłyśmy ze schodów. Zatrzymałam dorożkę i pomogłam babci wsiąść. Dzień był piękny. Kościół stał w centrum miasta; kiedy przyjechałyśmy, wzięłam ją pod rękę i powoli poprowadziłam do głównego ołtarza. Uklękłyśmy i modliłyśmy się przez chwilę. Była szczęśliwa jak nigdy.

– Elżuniu, kochanie – mówiła – tak dawno nie byłam w tym kościele. Zwykle chodzę na mszę do kaplicy na Wawelu. A jak nie mogę pójść tak daleko, modlę się w domu. Dziękuję ci, kochana. Będę pamiętać ten dzień.

Kilka tygodni później, kiedy zawiozłam ją na cmentarz, na grób dziadka, oczy babci błyszczały z emocji. Wiki wytłumaczyła nam, jak mamy trafić, i prosiła, żebym podlała kwiaty. Znów wzięłam dorożkę, jako że babcia była zbyt słaba, by iść piechotą. Milczała cały czas, zatopiona w myślach, kiedy modliłyśmy się razem przy grobie. Skończyłam wcześniej i podlałam kwiaty.

– Elżuniu – poprosiła – pomódl się jeszcze trochę za dziadka. Bardzo cię kochał. – Pomodliłam się. Zasługiwał na Ojcze nasz. Z całą pewnością. Stałam obok babci, póki nie poczuła się zmęczona i postanowiła wracać. Wiki ucieszyła się na nasz widok. Babcia, podekscytowana, powiedziała:

– Elżunia to złote dziecko, taka była dla mnie miła.

Tak naprawdę to i mnie ten dzień przyniósł radość.

Przed Wielkanocą pościliśmy i poszliśmy do spowiedzi. Łatwiej było mi wyznać grzechy niż pościć. Idąc do kościoła, zastanawiałam się, co by powiedział ksiądz, gdyby usłyszał, że

jestem Żydówką. Głupie myśli! Popadałam w obsesję na punkcie zwierzenia się komuś z mojej tajemnicy. Z każdym dniem trudniej mi było znieść tę presję. Kiedy przyszła moja kolej, powiedziałam:

– Ojcze, ucięłam kawałek sera i nie przyznałam się, kiedy mnie spytano.

Ksiądz miał dużo pracy, a mój grzech nie był ważny.

– Moje dziecko, nie rób tego więcej – powiedział. – Udzielam ci rozgrzeszenia, idź z Bogiem.

W pracy wszystko toczyło się bez żadnych incydentów aż do dnia, kiedy jak zwykle oddałam koperty z negatywami pani zajmującej się archiwum i wychodząc z zakładu, natknęłam się na niemieckiego oficera, który czekał na mnie na ulicy. Przywitał się i spytał, czy może odprowadzić mnie do przystanku tramwajowego. Zgodziłam się. Szliśmy razem ulicą, a ja w głębi serca wstydziłam się, że jestem w towarzystwie Niemca. Powiedział, że czekał na mnie prawie godzinę. Spytałam, skąd mnie zna. Odparł, że po raz drugi patrzył na mnie przez otwarte drzwi. Drzwi do pokoju retuszerów były zawsze szeroko otwarte i każda osoba podchodząca do kontuaru mogła zajrzeć do środka. Spytał recepcjonistę, kiedy wychodzę. Zaniepokoiłam się, nie podobało mi się to. Miałam ochotę uciec, ale przecież wiedział, gdzie pracuję. Z doświadczenia wiedziałam, że lepiej czekać i radzić sobie z tym, co się wydarzy.

Oficer był wysoki, przystojny, miał mniej więcej dwadzieścia pięć lat i wyglądał na intelektualistę. Jedno oko stracił pod Stalingradem.

– Wracam dziś wieczorem do domu – powiedział.

Gdzieś w środku odetchnęłam z ulgą, choć to, co usłyszałam za chwilę, kompletnie zbiło mnie z nóg. Okazało się, że mnie kocha, chce się ze mną ożenić i zabrać mnie do siebie do Niemiec. Był nieprzytomny z podniecenia.

– Dostanę zgodę od moich zwierzchników i zabiorę panią. Matka będzie zachwycona. Będzie pani miała wszystko, co ze-

chce. Rodzice mnie bardzo kochają. Moje szczęście będzie ich szczęściem.

Doszliśmy do stacji kolejowej. Ubłagał mnie, żebym poczekała, aż porozmawia ze swoimi przełożonymi. To dało mi trochę czasu na pomyślenie. Wyjechać z Polski, gdzie każdego dnia wisi nade mną groźba dekonspiracji, to nie był zły pomysł. Ale, Boże! Jak mogłabym upaść tak nisko, nawet dla ratowania życia? Wrócił po kilku minutach. Nie dostał zgody na zabranie mnie do Niemiec, stwierdził, ale wróci po mnie. Tymczasem będzie pisał. Dwa tygodnie później dostałam od niego list adresowany do zakładu. Pisał, że bardzo za mną tęskni i zamierza niedługo się ze mną zobaczyć. Na oddzielnej kartce były przepiękne wiersze miłosne. Nigdy nie odpowiedziałam na ten list.

Nie szukałam świadomie żadnych przygód. Nie prosiłam się o kłopoty. Różne rzeczy działy się jednak, czy tego chciałam, czy nie. Którejś niedzieli bardzo bolała mnie głowa i Wiki uznała, że najlepszym lekarstwem będzie spacer. Lubiłam spacerować i często chodziłam całymi godzinami. Ostatni raz trafiłam aż do lokalu, gdzie podawano wino i miód. Tym razem szukałam apteki, ale kiedy znalazłam jakąś otwartą, postanowiłam iść dalej, do następnej, mimo że spacer najwyraźniej wcale mi nie pomagał. W końcu zawróciłam do domu. Pamiętałam, że na ulicy biegnącej granicą getta jest dom aptekarza. Tyły domu wychodziły już na tereny getta.

Apteka była otwarta, weszłam do środka po aspirynę. Zapłaciłam i właśnie wychodziłam, gdy podeszli do mnie dwaj policjanci i poprosili o dokumenty.

– Co pani tu robi? – spytał jeden z nich. Wciąż trzymałam aspirynę w ręce. Wyjaśniłam, że bardzo boli mnie głowa, wyszłam na spacer i postanowiłam kupić aspirynę.

– Gdzie pani mieszka?

– Naprzeciwko. Jeśli chce pan pójść...

– Proszę podać adres.

Podałam adres. Nie mogłam sobie pozwolić na panikę. Tak

jak poprzednio najlepiej było pójść z nimi i czekać, jak rozwinie się sytuacja. Poza tym przecież nie pytali mnie, czy jestem Żydówką. Policjant spisał mój adres. Na moje pytanie, czy pójdą ze mną, odparli, że zajrzą przy okazji, żeby sprawdzić, czy tam mieszkam. Powiedziałam „do widzenia" i odeszłam, usiłując całe to wydarzenie wyrzucić z pamięci.

Tej samej nocy przez sen usłyszałam:

– Panno Elzo, proszę wstać. Proszę się nie bać. Ktoś chce się z panią zobaczyć. To policjanci. Proszę zachować spokój, nie martwić się. – To Wincenty, mąż Wiki. Spałam jak kamień i nie słyszałam pukania do drzwi. Włożyłam swoją piękną podomkę i kapcie. Włosy, rozpuszczone, opadały mi na ramiona.

– Dobry wieczór – odezwałam się. Nie odpowiedzieli. Wyciągnęłam do nich rękę. Uścisnęli ją.

– Proszę dokumenty – zażądał jeden z nich.

– Torebkę mam w kuchni. Mogę ją wziąć? – Pozwolili mi wejść. Wróciłam uśmiechnięta, z dokumentami w ręce. Czterech mężczyzn i tylko jedno wejście oznaczało, że nie ma drogi ucieczki. Dwaj z nich byli mundurowymi policjantami, którzy zatrzymali mnie, kiedy wychodziłam z apteki. Dwaj pozostali, tajniacy ubrani po cywilnemu, nosili czarne płaszcze przeciwdeszczowe i kapelusze. Stali za otwartymi drzwiami. Co zabiorą, jeśli odkryją, że jestem Żydówką? Cukier, sól, masło? Tak tanie było ich sumienie? Nic nie ryzykowaliby, odwracając wzrok. Ilu Żydów zginęło w ten sam sposób? Nikt nie wie. Nikt nie pamięta.

Pokazałam wszystkie dokumenty. To im wystarczyło. Jeden nawet wymamrotał parę słów przeprosin, w imieniu własnym i pozostałych, że mnie obudzili. Jeszcze raz podałam im rękę. Poszli. Wytłumaczyłam Wincentemu, że policja żądała moich dokumentów. Opowiedziałam też, jak dwóch z nich spotkałam w aptece.

– Dranie – stwierdził wyraźnie wściekły.

Następnego ranka wyszłam z domu jak zwykle, przeskakując po kilka schodów w dół. Przy wejściu, na ulicy, zobaczyłam

jednego z dwóch policjantów, którzy wypytywali mnie w aptece, a potem ostatniej nocy. Jako fotograf miałam wyszkolone oko i nie tyle patrzyłam, co obserwowałam. Rozpoznałam go w mgnieniu oka, choć tego dnia był w cywilnym ubraniu. Elegancko się przywitał i przeprosił za najście w nocy. Czekał, jak zareaguję.

– Dzień dobry – powiedziałam z uśmiechem.

– Dzień dobry – odparł skonsternowany. Zauważyłam czekającą dorożkę. Nie wiedziałam, co jeszcze powiedzieć, ale zdawałam sobie sprawę, że muszę być ostrożna.

– Nie mogłem wymyśleć żadnego innego pretekstu, żeby panią zobaczyć. Czy pozwoli pani odwieźć się do pracy dorożką?

Pomógł mi wsiąść i kazał dorożkarzowi ruszać. Była to jedna z najlepszych dorożek, zupełnie nowa. Nawet konie błyszczały.

– Podoba się pani Kraków?

– Bardzo. To coś więcej niż piękne stare miasto. Fascynują mnie stare budowle, artystycznie zdobione, i wszystkie te kościoły, z kopułami pokrywającymi się z czasem zielonkawą patyną, figury świętych, betonowe arabeski i kwiaty. Uwielbiam to; to wspaniałe miasto – mówiłam z entuzjazmem.

– Było stolicą, nim Polska stała się Rzeczpospolitą – objaśnił.

– Wiem. Uczyłam się o tym w szkole – mój ton oznaczał: nie ucz mnie tego, o czym już wiem.

– Przepraszam za wczorajszą noc.

– To już nie ma znaczenia. Pana zdziwienie mi pochlebia.

W takiej sytuacji jak długo mogłam udawać obrażoną?

Konie ciągnęły elegancki pojazd po brukowanej ulicy. Siedziałam onieśmielona, nie bardzo wiedząc, co mam robić i jak się zachować. Policjant nie narzucał się z rozmową; przez większą część drogi patrzył na mnie rozradowany.

– Wciąż się pani na mnie gniewa?

– Gniewałam się; dwaj policjanci i dwaj tajniacy sprawdzający adres w środku nocy. To raczej niespotykane.

Był przystojny, uśmiechał się żartobliwie. W ciągu paru sekund mógł stać się mordercą.

– To zwykła policyjna procedura. W mieście ukrywają się Żydzi.

– To był cel pańskiej wizyty, łapanie Żydów?

– Takie mamy rozkazy.

– Spróbuję o tym zapomnieć.

To go chyba ucieszyło. Szybko zmieniłam temat.

– Zwłaszcza po południu promienie słońca odbijające się od starych blaszanych dachów nadają miastu tajemniczą atmosferę.

Patrzył na mnie, jakby oczarowały go moje literackie talenty.

– Jest pani nie tylko ładną młodą kobietą, ale na dodatek romantyczką – zauważył, nie spuszczając ze mnie wzroku.

– Dziękuję – uśmiechnęłam się. W mózgu z każdym uderzeniem końskiej podkowy kłębiły mi się myśli. Klap, klap, klap, mój dom, rodzice, siostra. Klap, klap, dostaję od ojca piękną lalkę, która mówi i chodzi. Klap, klap, na piętnaste urodziny matka szyje mi aksamitną sukienkę. Klap, klap, gdzie jest moja siostra? Jeśli mnie zastrzelą, chcę w ostatniej chwili myśleć o nich. Ale jak się dowiedzą? Jak się dowiedzą, jak bardzo ich kochałam?

– Zatopiona w myślach – skomentował moje milczenie.

– Och, nic takiego. Czasem jestem tak podekscytowana, że nie mogę wykrztusić z siebie słowa. Naprawdę mnie pan zaskoczył. Trochę też jestem zmęczona po ostatniej nocy.

– Proszę się nie martwić, to się nie powtórzy.

– Mam nadzieję – powiedziałam, patrząc mu prosto w oczy.

Minęliśmy Planty z dwoma rzędami drzew i ławek wzdłuż trasy dla pieszych. Pośrodku krakowskiego Rynku stały Sukiennice, wielka budowla w stylu renesansowym, z długimi, symetrycznie umieszczonymi arkadami. Na jej końcu była wieża zegarowa. Co godzinę hejnalista grał na trąbce. Dzwonki tramwajów mieszały się z odgłosem końskich kopyt. Miasto żyło.

– Uwielbiam wczesne poranki w Krakowie – powiedziałam. Zwłaszcza kiedy się przyjeżdża pociągiem i widzi, jak stopniowo gasną światła.

– Tak, ranek w mieście ma swój urok – przyznał.

Mój wzrok odnotowywał po drodze wszystko, jakby oczy żegnały się z otoczeniem. Wszędzie widziałam Niemców w mundurach i lśniących butach. Tacy schludni i czyści, pomyślałam: dlaczego mają tak brudne i perwersyjne umysły? Cywilna ludność spokojnie przystępowała do codziennych zajęć. Rozmawialiśmy do końca drogi; policjant powiedział, że ma nadzieję, że się jeszcze zobaczymy. Kazał dorożkarzowi zatrzymać się przy zakładzie. Wysiadł pierwszy i pomógł mi zejść. Uśmiechnął się, podał mi dłoń i pocałował w rękę. Patrzył, jak wchodzę do studia, po czym wskoczył z powrotem do dorożki i odjechał. Przez cały dzień dręczył mnie niepokój; do moich kłopotów doszły nowe obawy; zastanawiałam się, czy ta przejażdżka dorożką nie była ostatnią chwilą luksusu w moim życiu. Doszłam do wniosku, że dobrze gram wymyśloną przez siebie postać. Bez względu na wszystko musiałam żyć. To był mój jedyny cel.

*

Wiki pożyczyła mi tomik wierszy słynnego polskiego poety Adama Mickiewicza. Wiele jego utworów znałam na pamięć. Pewnego dnia w studiu z zachwytem czytałam retuszerom *Żeglarza*. Wiersz napisany w 1825 roku w Odessie opowiada o człowieku płynącym barką, którą wicher odbił nagle od okrętu. Lubiłam go, było w nim coś z mojego życia. Niestety, ilekroć choćby przez moment zapominałam, że muszę skupić się na swoich problemach, spotykało mnie coś złego. Kiedy byłam w połowie wiersza, wszedł pan Leśniewski. Nie powiedział ani słowa, ale w sobotę, kiedy wypłacał tygodniowe pensje, zauważył, że czytałam w czasie pracy, wiedząc, że jest tak dużo do zrobienia. Zażądał, żebym przyszła na kilka godzin w niedzielę wyretuszować najpilniejsze negatywy.

Był szefem, więc musiałam posłuchać. Przez kilka następnych niedziel zamiast iść na mszę pracowałam. W niedzielę, z racji słonecznej pogody, poszłam do studia na piechotę. Zabrało mi to prawie godzinę. Przyszłam jednocześnie z sekretarką i od razu zabrałam się do roboty. Kilka minut później pojawił się pan Leśniewski, powiedział „dzień dobry" i poszedł do swojego gabinetu. O pierwszej uznał, że na dziś wystarczy, ale kazał mi przyjść na kilka godzin w następną niedzielę. Był wojskowym i wiedział, jak ukarać podwładnych. Czułam jednak, że kara jest nieproporcjonalna do wykroczenia, ponieważ i tak każdego wieczora retuszowałam negatywy w domu. Pracowałam naprawdę ciężko. Miało to tę złą stronę, że przy pracy wciąż myślałam o tym wszystkim, co mi się przydarzyło, ale była i dobra strona tej sytuacji, bo zarabiałam wystarczająco, by mieszkać w dobrym domu, z rodziną, która naprawdę się mną opiekowała.

Jakiś czas po tym incydencie zobaczyłam w gazecie ogłoszenie o pracy w lesie. Pokazałam je Eugeniuszowi i powiedziałam, że mnie to interesuje. Roześmiał się.

– Wiesz, że to nie dla ciebie. Nie wiesz, na co byś się naraziła.

Stwierdziłam, że jestem zmęczona ciężką pracą i potrzebuję zmiany, ale Eugeniusz uważał, że leśnicy to nie jest środowisko dla mnie. Nie wiedziałam, co przez to rozumiał, ale już do tego nie wracałam. Szczerze mówiąc, wciąż bałam się Niedźwieckiego. Co gorsza, miałam złe przeczucia, ale z nikim nie mogłam o tym mówić.

Następnej niedzieli poszłam do studia skrótem. Kiedy dochodziłam do mostu, ze zdziwieniem zauważyłam mojego wielbiciela, policjanta, w mundurze. Zauważył moje zdumienie, ale nic nie dał po sobie poznać.

– Cieszę się, że panią widzę – mówił, ściskając mi rękę. Rozmawialiśmy jak starzy przyjaciele, ale bałam się najgorszego. Odprowadził mnie na drugi koniec mostu. Być może byłam pod obserwacją. Nie wolno mi wpadać w panikę. Ale przecież

gdyby coś podejrzewali, nie bawiliby się ze mną. Koniec nastąpiłby szybko. Wytłumaczyłam, że lubię chodzić piechotą i postanowiłam się przejść, bo w pracy siedzę przez wiele godzin. Gawędziliśmy, przechodząc na drugą stronę mostu. Tam pożegnaliśmy się i jeszcze raz uścisnęliśmy sobie dłonie.

Czasami, w takich jak ta chwilach rozpaczy, robiłam wyrzuty rodzicom i siostrze, że mnie opuścili. Wiedziałam, że to głupie, że w tym, co się stało, nie ma ich winy. Wiele rodzin się rozpadło, ich członkowie zostali rozdzieleni wtedy, gdy najbardziej się nawzajem potrzebowali. W głębi serca wiedziałam, że rodzice nie żyją. Nie miałam do kogo się zwrócić, owładnęło mną przygnębiające poczucie pustki. Świadomość, że jestem sama, była druzgocąca.

Zdradzona

Było wczesne lato 1943 roku, sobota, zwyczajny dzień roboczy, tyle że jak co tydzień – z wypłatą. Od innych różnił się tym, że dla mnie oznaczał początek dwutygodniowego urlopu. I właśnie tego dnia, w południe, weszli do studia dwaj polscy tajniacy, kazali mi zabrać swoje rzeczy i wyjść z nimi. W mgnieniu oka zrozumiałam, że to koniec mojej przygody. Nie powiedzieli mi, dlaczego mnie zabierają. Nie pytałam. Było oczywiste, że mają powód, a ja raczej domyślałam się, jaki. Poza tym byłam zbyt dumna, by się z nimi kłócić. Nie zamierzałam prowokować ich do brutalności.

Kiedy w drodze do wyjścia przechodziłam przez pokój, reszta pracowników, skamieniała i milcząca, wstrzymała oddech. Nie mam pojęcia, co w tej chwili myśleli. Przez te kilka miesięcy wszyscy, oczywiście oprócz Niedźwieckiego, byli w stosunku do mnie życzliwi i uprzejmi. Nie mogłam przepraszać za to, co zrobiłam, bo nie czułam się winna. Dla mnie była to konieczność. Nie mogłam nawet z nikim się pożegnać, bo mogło to tej osobie zaszkodzić. Jeśli mam być szczera, wprawdzie ogólnie okazali się bardzo miłymi ludźmi, nie wiem jednak, na ile przychylnie nastawieni byli do Żydów. Dlatego wychodząc, nie odezwałam się ani słowem.

Na zewnątrz przyszło mi do głowy, żeby wyznać wszystko tajniakom, przyznać, że jestem Żydówką i ubłagać, by mnie puścili. Oczywiście nic by to nie dało – za złapanie Żydów nagradzano, a ja jednak byłam dumna. Poszłam z nimi w milczeniu na

przystanek tramwajowy. Stanęli koło mnie po obu stronach. Kazali mi zapłacić za bilet i wtedy się uśmiechnęłam. Wysiedliśmy przy komendzie gestapo. Zaprowadzono mnie do dużego pokoju, w którym przy dwóch zestawionych ze sobą dużych biurkach siedzieli dwaj wyżsi rangą oficerowie niemieccy. Poprosili, żebym usiadła i rozpoczęli przesłuchanie.

Odpowiadałam, patrząc im prosto w oczy i wtedy zauważyłam pejcz leżący na stosie akt na jednym z biurek, długi, skórzany, taki, jakim utrzymywano w ryzach zwierzęta w cyrku. Przez głowę błyskawicznie przelatywały mi myśli – nie pozwolę, żeby mnie torturowali, niech mnie raczej zastrzelą na miejscu. Nie bałam się ich; bałam się bicia. Tego, że mogę nie wytrzymać i wyjawię coś ważnego. Tak czy inaczej skończyłoby się to jednakowo.

Gdyby nie ten bat, nie obawiałabym się tak, czy zdołam zachować milczenie. Na początku traktowali mnie z szacunkiem, być może po prostu nie byli całkiem pewni, kim jestem. Mogła to być przecież pomyłka. Wpatrywałam się w to narzędzie tortur, wyobrażając sobie poniżenie i ból, jaki mnie czeka. Obsesyjnie powracała jedna myśl: jeśli od razu powiem im, że jestem Żydówką, nie będą musieli mnie bić. Gdyby zabili mnie natychmiast, nie byłoby to tak upokarzające. Wciąż jeszcze mogłam skłamać, aż do chwili, gdy spytają mnie, czy jestem Żydówką. Nie spieszyło im się zresztą. Kiedy jeden z oficerów szczegółowo sprawdzał moje dokumenty, miałam czas, by jeszcze pomyśleć. Wrócił ten sam obraz: leżę na podłodze, krzycząc z bólu. Podjęłam decyzję: przyznam się.

Tak naprawdę jedynym fałszywym dokumentem był mój podrobiony dowód tożsamości. Pozostałe, autentyczne, otrzymywałam w różnych niemieckich urzędach, wyglądało więc na to, że wszystko jest w porządku. Dlatego tak długo się zastanawiali. Siedziałam tam, czekając na kolejne pytania, a oni od czasu do czasu rzucali na mnie okiem. Doszłam do wniosku, że w jakiejś sprawie się ze sobą nie zgadzają. Była tam kwestia mojego wieku podanego w dokumencie; mogło też zainteresować ich moje

arystokratyczne nazwisko. Nie chodziło jednak o żadną z tych rzeczy. Doniesiono na mnie jako na Żydówkę.

Usłyszałam, jak jeden z nich mówi:

– Vorsichtig, się könnte eine Gräfin sein (Uważaj, to może być hrabina).

Na obydwu zrobiło to wrażenie. Pokiwali do siebie głowami. Ustalili, że spytają mnie wprost. Nastąpiła chwila przerwy, po czym pierwszy z nich spytał nagle:

– Sind Sie Jüdin? (Jest pani Żydówką?)

– Tak.

– Od kogo dostała pani dokument tożsamości?

– Od jednego takiego w Volksküche.

– Zna pani tego człowieka?

– Nie. Nigdy wcześniej go nie widziałam. Najpierw zrobił mi zdjęcie. Następnego dnia dał mi dokument i wyprowadził mnie z getta.

Nie było to najlepsze z moich kłamstw, ale brzmiało wiarygodnie. Dlaczego tak szybko się poddałam? Myślę, że wtrąciło się moje przeznaczenie, które lepiej ode mnie wiedziało, jak zachować mnie przy życiu. Wezwali tajniaków i kazali mnie zabrać. Mimo wzburzenia zauważyłam, że obaj Niemcy byli odrobinę spięci. Zachowywali się jakoś inaczej. Zagadkę rozwiązałam po wojnie, kiedy na ulicy w Łodzi spotkałam pana Leśniewskiego. Był zdumiony, że żyję. Opowiedział mi, jak na wiadomość o tym, że zabrała mnie policja, poszedł do komendy gestapo i przekonywał, że potrzebuje mnie w studiu. Każdy niemiecki wojskowy stacjonujący w Krakowie znał pana Leśniewskiego z zakładu fotograficznego. Podkreślał, że wszystkie moje dokumenty są w porządku, że mam pozwolenie na mieszkanie i pracę w Krakowie – osobiście oglądał moje papiery – i że chce mnie natychmiast zabrać z powrotem do pracy. Wprawdzie ucieszył się na mój widok, był jednak w jego głosie ton wyrzutu, gdy spytał:

– Dlaczego się pani przyznała? Czekałem tam, żeby zabrać panią stamtąd.

– Nie chciałam, żeby mnie bili. – Opowiedziałam, że widok pejcza przesądził o mojej decyzji.

– Czekałem tam, żeby panią zabrać – powtórzył. – Naprawdę źle się stało.

– Przyznałam się od razu i już. Przepraszam. Wiedziałam, że po przesłuchaniu będę obserwowana, nawet jeśli pozwolą mi wrócić do studia. Gdybym nadal tam pracowała, byłoby to niebezpieczne dla nas wszystkich. Ci, którzy na mnie donieśli, szukaliby zemsty. Jestem pewna.

Słuchał z uwagą. Wiedział, że miałam rację. Chciał mi dokładniej opowiedzieć o tym, co zdarzyło się tamtego dnia, weszliśmy więc w bramę, by nie widziano nas razem na ulicy; oboje narażalibyśmy w ten sposób swoje życie, bo oboje mieliśmy fałszywe papiery; nie należało więc budzić podejrzeń. Powiedział mi, że ma tajną misję, że zmienił nazwisko, bo zna nazwiska i adresy ludzi, którzy kolaborowali z Niemcami, i usiłuje ich odnaleźć. Później dowiedziałam się, że za swoją misję zapłacił życiem. Kiedy czekał pod salą sądową, w której miał zeznawać jako świadek, ktoś wypchnął go z okna na piętrze na ulicę. Mówiono mi, że nienawidził kolaborantów. Był naprawdę pełnym honoru Polakiem. Może gdybym na początku opowiedziała mu całą swoją historię, sprawy potoczyłyby się inaczej. Kto wie?

Wszystko to nastąpiło jednak dużo później. Tego dnia, kiedy mnie zgarnięto, tajniacy dostarczyli mnie do komendy polskiej policji. Funkcjonariusz siedzący za biurkiem złapał srebrny monogram przypięty do mojego płaszcza, który sama sobie kupiłam. Zażądał zegarka. Z torebki wyjął pieniądze i srebrną papierośnicę, prezent imieninowy od moich współpracowników. Policjant zaprowadził mnie do celi w piwnicy, małego trójkątnego pomieszczenia dla tymczasowo zatrzymanych. W drzwiach była żelazna krata, a na podłodze leżały rzucone byle jak stare, brudne chodniki. Po poprzednim lokatorze została czerstwa skórka chleba i kubek brudnej wody. Na ścianach popisano nazwiska, informacje i daty zatrzymania. Siedziałam tam sama od sobotnie-

go popołudnia do południa w poniedziałek. Dostałam kawałek chleba i szklankę wody.

W poniedziałek po południu policjant zabrał mnie do pokoju na górze. Stała tam Alina. Stenografka popatrzyła na nas i rozpłakała się. Sądzę, że lepiej niż my wiedziała, co nas czeka. Nie płakałyśmy. Stałyśmy tam po prostu, czekając, co będzie dalej. Cóż innego nam pozostało? Byłyśmy otoczone. Nie zanosiło się na to, by ktoś nas ukrył albo pozwolił uciec. Ludzie chcieli nagród, wielu z nich nienawidziło Żydów, inni bali się konsekwencji, jakie groziły tym, którzy Żydom pomagali.

Gdy ukończono formalności, zabrano nas do celi dla zatrzymanych w suterynie. Alina opowiedziała mi, że kiedy po dwutygodniowym urlopie wróciła do studia, usłyszała od innych pracowników, co mnie spotkało. Sugerowali jej nawet ucieczkę. Miała jednak dość i została. Polscy tajniacy pojawili się niedługo po tym i ją też zabrali. Spędziłyśmy w celi kilka godzin, po czym dwaj policjanci zaprowadzili nas do samochodu. Jechali szybko, ostro brali zakręty. Śmiałyśmy się, wpadając wciąż na siebie. W prawo, w lewo, zaśmiewałyśmy się histerycznie. Było to upiorne, jak wszystko, co działo się wokół nas. Poza tym nikt nigdy nam nie mówił, co robić w takim wypadku, nie wiedziałyśmy też, że ludzie mogą upaść tak nisko, niżej niż można było sobie wyobrazić.

Policjanci odwrócili się do nas, zdziwieni naszą reakcją.

– Która chce umrzeć, a która pracować? – spytali, przywracając nas do rzeczywistości. Zrozumiałyśmy. Byli po czterdziestce, dobrze odżywieni, cyniczni, zadowoleni ze złowienia dwóch ofiar za jednym zamachem. Na wojnie przeznaczenie zależało czasem od kata. Nie tym razem. Policjanci nie zamierzali nas ani zabić, ani wypuścić. Chodziło im tylko o jedno – nagrodę za złapanie dwóch Żydówek, zbrodniarek, których jedyną winą było to, że wciąż żyły. Moja seria małych cudów właśnie dobiegała końca. Czy na pewno? Nie wiedziałam wtedy, że miałam szczęście, że i tak żyłam już długo. Wiele czasu jeszcze musiało minąć, nim zobaczyłam najgorsze.

Zabrano nas do najsilniej strzeżonego więzienia kryminalnego na Montelupich. Pamiętam tylko wielki budynek z żelaznymi prętami w oknach. Nie potrafię odtworzyć innych szczegółów, bo wszystko toczyło się błyskawicznie. Zaprowadzono nas na górę, do dużej sali, w której trzymano grupę kobiet, nie-Żydówek. Były tam nauczycielki, profesorki i wysokie urzędniczki państwowe. Mimo wspólnego wszystkim losu i tu dały się zauważyć podziały społeczne.

Podłoga, zważywszy, że służyła do chodzenia, siedzenia i spania, wyglądała dość czysto. Światło wpadało przez duże okno. Można było chodzić, rozmawiać, siedzieć, spać – i nic ponadto. Nie miałam kompleksów, nie czułam skrępowania, rozmawiałam więc, pytałam, za co która z kobiet została zatrzymana i jak długo tu przebywa. Odpowiadałam też na ich pytania, nie ujawniając oczywiście prawdziwej historii. W więzieniu nie byłyśmy bezpieczne. Wroga reakcja wobec Żydów zawsze była możliwa.

Później, tego samego popołudnia, zszokował mnie widok dziewczyny przyniesionej z pokoju przesłuchań. Była tam bita i torturowana. Strasznie wyglądała, leżąc skręcona na podłodze; zwijała się z bólu i przeraźliwie jęczała. Była młoda i wyglądała na silną. Pytałam o nią inne kobiety, ale wszystkie przywykły oglądać ją w tak beznadziejnym stanie i przestały na to zwracać uwagę. Nikt nie chciał się do niej zbliżać ze strachu, że podzieli ten sam los. Jak się okazało, dziewczyna była Polką; sąsiedzi donieśli na nią, że należy do podziemnej organizacji. Bito ją, żeby wymusić na niej zeznania, ale nikogo z konspiracji nie wydała.

Zastanawiałam się, czy zdobyłabym się na taką odwagę. Później dowiedziałam się, że przeżyła. Wiele lat po wojnie, zupełnie przypadkiem, mój sąsiad dostał z Polski książkę o partyzantach; jak mi powiedział – o swojej siostrze. Codziennie wieczorem czytałam u nich w domu jeden albo dwa rozdziały. Doszłam do wniosku, że bohaterka książki była właśnie tą dziewczyną, tak brutalnie przesłuchiwaną na Montelupich. Za zgodą

sąsiada napisałam do niej. Opisała mi ówczesne wydarzenia, wspomniała o ludziach, których znała, między innymi o Mietku, moim nieudanym kontakcie z podziemiem. Po wojnie wyszła za mąż i została nauczycielką. Zdumiało ją, że po tylu latach piszę bezbłędnie po polsku. Korespondowałyśmy przez jakiś czas, do 1982 roku, kiedy przeczytałam w gazecie o antysemickim wiecu w Polsce.

Dni na Montelupich były puste; noce wypełnione koszmarami. Byłyśmy z Aliną jedynymi Żydówkami. Po mniej więcej tygodniu zawarłam znajomość z dziewczyną, która twierdziła, że umie przepowiadać przyszłość. Miała specjalne karty i mówiła cicho. Potasowała je, po czym kazała mi rozdzielić je na trzy kupki.

– Wyjdziesz stąd, ale tylko po to, żeby się znaleźć w innym zamknięciu – oświadczyła.

Tego samego popołudnia dwaj tajniacy zabrali nas do getta.

Ulice krakowskiego getta były praktycznie puste. Getto zostało już wtedy zlikwidowane; później dowiedziałam się, że Żydów przetransportowano albo do *Zwangsarbeitslager*, obozu pracy w Płaszowie, albo do obozu śmierci Auschwitz-Birkenau. Zostali tylko ci, których złapano gdzieś po aryjskiej stronie, często po donosie Polaków. Trzymano ich teraz w więzieniu w getcie. Porządku pilnowało kilku pozostawionych w tym celu żydowskich policjantów, ale – przykro to powiedzieć – na zrozumienie czy życzliwość z ich strony nie można było liczyć.

Żydowski policjant siedzący za stołem spytał nas o nazwiska. Podniósł na mnie wzrok i powiedział:

– Znam cię, ale nie pamiętam skąd.

Dobrze wyszkolony policjant nie tylko patrzy, ale jak fotograf obserwuje i zapamiętuje. Ja oczywiście go zapamiętałam. Kiedy siadywałam kilka razy na ławce koło getta, żeby posłuchać mówiących w jidysz, to on eskortował Żydów idących do pracy.

– Jak was złapali?

– Wydał nas ktoś, kto z nami pracował – odparłam. Spuścił głowę.

Później zaprowadził nas do pokoju, w którym zamknięta była kobieta z dwojgiem dzieci. Nie pamiętam jej imienia, ale na nazwisko miała Rafałowicz. Świeżo mam w pamięci jej twarz, włosy i figurę. Wydawało mi się, że ma około trzydziestu pięciu lat, choć blisko cztery lata wojny bardzo ją postarzały. Była wysoka, włosy miała zebrane i spięte szpilkami, z siwymi pasmami koło czoła, twarz owalną i duże, okrągłe oczy. Wyglądała na zdrową, ale była bardzo, bardzo smutna. Dwoje dzieci trzymało się jej ciemnej, fałdzistej, pogniecionej spódnicy. W wielkich, przerażonych oczach odbijał się koszmar ich przeżyć. Dziewczynka mogła mieć dziesięć lat, chłopiec był o dwa lata młodszy. Oboje mieli czarne, kręcone włosy. Chowali się za matką, widać było tylko ich buzie i drobne, zaciśnięte dłonie.

– Złapali was po aryjskiej stronie? – spytała.

– Tak.

– Jesteście głodne? – I sama sobie odpowiedziała: – Oczywiście! – Sięgnęła po bochenek chleba schowany pod stosem ubrań, odkroiła dwie kromki i wręczyła po jednej Alinie i mnie. Byłyśmy głodne, ale patrząc na twarze dzieci, podziękowałyśmy i powiedziałyśmy, żeby zatrzymała je dla małych.

– Jeśli nam się poszczęści i przeżyjemy, będziemy mieć chleb – odparła natychmiast. I z pustym spojrzeniem dodała: – A jeśli nie, po co go trzymać?

Opowiedziała mi swoją historię. Razem z mężem i z dziećmi ukrywali się we wsi pod lasem. Mąż zachorował, a ponieważ żaden lekarz ani szpital nie pomógłby wtedy Żydowi, umarł. Zaniosła jego ciało do lasu i wykopała grób. Nieszczęście czy też przeznaczenie sprawiło, że akurat przejeżdżał patrol SS. Ponieważ nie był to cmentarz ani formalny pogrzeb, zainteresowali się, co tam robi. Wytłumaczyła, że nie ma pieniędzy na pochówek.

Nie pomogły łzy; nie było litości dla dwójki przerażonych dzieci uczepionych matczynej spódnicy. Zmusili ją, by razem z nimi weszła do samochodu i zawieźli ich do więzienia w getcie. W tym krótkim czasie wspólnego pobytu w tym samym

pokoju okazywała nam życzliwość i wsparcie. Ktoś, kto znał ją przed wojną, mówił mi, że była bogatą kobietą, znaną z hojności, ale nigdy o swej dawnej zamożności nie wspomniała. Wiedziałyśmy, że więzienie w getcie było miejscem przejściowym. Nie wiadomo było tylko, kiedy i gdzie nastąpi koniec. Żyłyśmy w stanie zagrożenia i braku jakiejkolwiek nadziei. Wkrótce dowiedziałyśmy się, że więzienie zostanie zlikwidowane. Dokąd nas wyślą teraz?

Z Płaszowa do Skarżyska-Kamiennej

Po kilku dniach pobytu w więzieniu w getcie latem 1943 roku wszystkim więźniom kazano zebrać się w szeregu. Przybył pełniący służbę, złożony z Litwinów, specjalny oddział *SS-Totenkopfverbände*, w czarnych mundurach z trupią główką na czapkach – najstraszniejsza formacja. Szli po obu stronach kolumny z bronią gotową do strzału. Dowiedzieliśmy się, że idziemy do Płaszowa. Była nas duża grupa, mieliśmy przed sobą daleką trasę.

W chwili gdy dotarliśmy do bramy obozu, esesman stojący na warcie usłyszał dzwonek telefonu. Wszedł do budki. Czekaliśmy. Rozmowa najwyraźniej go cieszyła. Wciąż czekaliśmy. W końcu, mocno rozbawiony, rzucił okiem i zobaczył, że nadal tam stoimy. Nie chcąc przerywać konwersacji, machnięciem ręki przepuścił całą grupę za szlaban. Nigdy nie dowiemy się, kto po drugiej stronie zajmował go tak bardzo, ale ten ktoś uratował blisko setkę ludzi. Za szlabanem stała żydowska policjantka.

– Biegnijcie! Szybko! – krzyknęła, kiedy przeszliśmy na drugą stronę. W parę sekund czmychnęliśmy jak najdalej od bramy, byle zniknąć z oczu esesmana w budce.

– Kazałam wam biec, żeby nie mógł już zmienić zdania – tłumaczyła. – Macie szczęście. Wczoraj całą grupę zabrano z wartowni wprost na tamto wzgórze i wszystkich rozstrzelano.

Trudno mi opisać, co czułam w tamtym momencie. Może była to apatia, rezygnacja albo w ogóle nic. Na pewno byłam przerażona. Spodziewałam się najgorszego.

Bardzo szybko doznałam kolejnego upokorzenia. Policjantka zaprowadziła nas do budynku przedzielonego ścianą na pół. Po obu stronach znajdowały się tam wielkie łaźnie z prysznicami wzdłuż ścian. Odpływ wody umieszczono pośrodku, w nieco zagłębionym betonowym kręgu. Mężczyzn zaprowadzono na drugą stronę budynku.

– Rozbierać się i pod prysznice! – wrzasnęła policjantka, popychając nas kijem. Musiałyśmy obnażyć się przed tyloma osobami. To, że były tam same kobiety, nie stanowiło żadnego pocieszenia. Na wszystkich twarzach widać było skrępowanie i wstyd. Ponieważ wahałyśmy się przez chwilę, wykrzyczała pod naszym adresem kilka obscenicznych uwag. Czułam się nieszczęśliwa, nie mogłam uwierzyć w to, co się dzieje. Była Żydówką, tak samo jak my! Nie widziałam tam żadnych Niemców – dlaczego zachowywała się tak okropnie? Przypomniałam sobie wtedy, jak matka opowiadała ojcu w Warszawie o dezynfekcji w Pruszkowie, kiedy chowała za sobą młode ciało mojej siostry, żeby nie zobaczyły jej niemieckie bestie, ale tu nie było widać żadnych Niemców.

– Szybko! Rozbierać się i pod prysznice! – wrzeszczała policjantka. Była zdecydowana. Wiedziałyśmy, że użyje na nas kija, jeśli będziemy się dłużej wahać. Miałyśmy rację. Później przekonałyśmy się, że sięga po pejcz, by zdyscyplinować kobiety, które nie słuchały jej rozkazów. Zwykle stosowaną przez nią karą było dwadzieścia pięć batów na gołe ciało. Woda z pryszniców spływająca do kanału mieszała się z krwią wielu kobiet, które akurat przechodziły menstruację.

Popatrzyła na mnie z rezygnacją siwowłosa, miło uśmiechająca się kobieta po czterdziestce. Nie wiem, co wyczytała z mojej twarzy.

– Wróbelku, my przeżyjemy – powiedziała do mnie. Nie byłam w stanie odpowiedzieć. Nie miałam nic do powiedzenia.

Nie wiedziałam, jakie mam szanse przeżycia. Wszystko to już wymknęło mi się z rąk. Nic już nie zależało od osobistych umiejętności. Stałam pod prysznicem bezradna, z rękami zwisającymi wzdłuż ciała. Kobieta miała na imię Celina. Jej słowa przyniosły mi chwilę ulgi, ale nie wystarczyły, by rozbudzić nadzieję przeżycia. Spotkałam ją w Niemczech, kilka lat po wojnie. Pracowała w filii American Jewish Joint Distribution Committee (Amerykańsko-Żydowski Połączony Komitet Rozdzielczy), organizacji umożliwiającej ocalonym z wojny Żydom emigrację z Niemiec do różnych państw. Poznała mnie.

– Wróbelku, przeżyłyśmy – zawołała. – Tak się cieszę, że cię widzę.

Wstała zza biurka i podeszła, żeby mnie uściskać.

Policjantka uznała, że jesteśmy już wymyte, i kazała nam się ubrać. Na zewnątrz czekali na nas dwaj mężczyźni z puszkami białej farby. Malowali ubrania każdej z nas w pasy tworzące drabinę, z przodu i z tyłu. My z Aliną zostałyśmy dodatkowo oznakowane dużym żółtym kołem jako osoby szczególnie niebezpieczne, ponieważ świadomie posługiwałyśmy się podrobionymi dokumentami. Żeby zawstydzić nas i upokorzyć jeszcze bardziej, dano nam miejsca w baraku mężczyzn. Tam usłyszałyśmy o masowych zbrodniach u podnóża Chujowej Górki. Często zabijano ludzi wracających z pracy. Potem przyjeżdżały ciągniki i wgniatały zwłoki w ziemię. Mężczyźni byli zdumieni, że jeszcze żyjemy.

Właściwie mieszkając z mężczyznami, nie miałyśmy z Aliną żadnych kłopotów. *Blockälteste*, rozdzielający chleb i utrzymujący porządek, poważny, uczciwy i porządny człowiek, był z Krakowa. Natychmiast zadbał o chleb i zupę dla nas. Szybko poznałyśmy Heńka, jego młodszego brata. Odbyłyśmy z nim długą rozmowę. Heniek był przyjacielski, czasem dzielił się z nami odrobiną marmolady albo cukierkiem, który udało mu się zdobyć. Kilka miesięcy po wojnie odwiedził mnie starszy brat Heńka, który właśnie leżał w szpitalu. Opowiedział mi, że podczas przymusowego marszu z obozu Heniek został postrzelony

w głowę. Ranny, wytrwał siedem dni, nim znalazł się w szpitalu. Przeżył i później ożenił się z Aliną. Komuś zdarzył się cud. Cieszę się, że właśnie jemu.

Przydzielono mi pierwsze zadanie – uprzątnięcie stosu desek. Przenosiłyśmy je parami na inne miejsce. Pracowałam ze szczupłą blondynką, kilka lat starszą ode mnie. Kiedy podniosłyśmy deskę i stanęłyśmy prosto, na chwilę zapomniałam o pracy.

– Masz jedno oko niebieskie, a drugie brązowe – powiedziałam zdumiona. Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Uśmiechnęła się. Była przyzwyczajona do takich uwag, bo ludzie zawsze reagowali w ten sam sposób. Po pracy poznała mnie ze swoją siostrą. Poznałam ją natychmiast – to ona czekała pod salą koncertową w centrum Krakowa. Ją też zadenuncjowano. Nigdy nie mówiła ani o tym, ani przez kogo cierpiała.

Po kilku miesiącach, późną jesienią, moja sukienka już mnie nie chroniła przed zimnem. Przez kilka dni wahałam się, czy przezwyciężyć wstyd i poprosić w magazynie odzieży o sweter. Wiedziałam, że leżą tam na stołach różnego rodzaju ubrania i buty. Kiedy w końcu się zdecydowałam, dyżurujący żydowski policjant zareagował krótko i zwięźle:

– Po co? Kto wie, czy jutro będziesz żyła? – Uśmiechał się złośliwie. Trudno było uwierzyć, że człowiek może być aż tak cyniczny.

– Ale dziś jest mi zimno. Nie wiem, co będzie jutro – odpowiedziałam, odwracając się do wyjścia. Zastanawiałam się, czy w ogóle ma pojęcie, jak trudno mi było przełamać się i przyjść z taką prośbą. Zawołał mnie i podał sweter. Nieszczególny, ale lepszy niż nic. Nie znaczy to, że ubrania były jego własnością – zostały po tych, którzy zginęli. Taki był Płaszów.

Wkrótce nauczyłam się nie pytać, dlaczego policjanci są tak wulgarni i skrajnie wrogo nastawieni. Szybko przejmowali zwyczaje swoich niemieckich szefów. Nigdy nie wiedziałyśmy, przed kim najpierw się chować. Poza tym w Płaszowie człowiek mógł w każdej chwili zostać zastrzelony na ulicy przez Niemców,

którzy zabawiali się, strzelając dla przyjemności. Żydowscy policjanci też zachowywali się jak dzikie zwierzęta. Narastał we mnie coraz silniejszy gniew, ale jaką miałam szansę wśród tysięcy ludzi też skazanych na takie okrucieństwo?

Któregoś popołudnia, późną jesienią, kazano wszystkim zebrać się w wielkiej, pustej i słabo oświetlonej hali dawnej fabryki. Niemcy odczekali, aż wszyscy wejdą do środka, i wtedy, na rozkaz przełożonych, razem z policjantami zaczęli wyrywać dzieci z ramion matek i ładować je na ciężarówki. Dziecięcy krzyk przewiercał uszy, małe rączki wyciągały się w pustkę. Policjanci odpychali matki coraz dalej. Bezsilne kobiety płakały, jęczały, rzucały się na nich, a kiedy próbowały się zbliżyć, były bite. Ich straszliwy ból i rozpacz głęboko poruszyły wszystkich.

Nie ma słów tak mocnych, by opisać bezradność, jaką czułam. Tej nocy należało rzucić światu pytanie: gdzie jesteście? Czy nikt nie słucha? Przemoc, niesprawiedliwość i okrucieństwo, które miały miejsce w tej przeklętej hali, rozdzierały serce. Ciężarówki wyładowane dziećmi odjechały natychmiast. Wszystkim dorosłym kazano wrócić do baraków. W odruchu współczucia szłyśmy z Aliną obok pani Rafałowiczowej. Oderwano od niej smutne, przerażone dzieci, które drobnymi rączkami ze wszystkich sił trzymały się jej spódnicy. Płakała gorzko. Cierpienia tych matek opłakujących swoje utracone dzieci były nie do zniesienia. Ciemna noc mogła przykryć ich udręczone twarze, ale nie uciszała ich rozpaczliwego szlochu.

Pani Rafałowiczowa głośno płakała. Zaczęłam się bać, że zwróci uwagę na nas wszystkie, zwłaszcza Alinę, nieco ode mnie niższą, którą można było nawet wziąć za dziecko. Błagałam ją, żeby się troszeczkę uciszyła, tłumacząc, że sprowadza niebezpieczeństwo na Alinę. Mimo złamanego serca spytała łamiącym się głosem:

– Gdybyśmy uratowały jedno życie, czy moje dzieci by przeżyły?

Na to pytanie nikt nie potrafił odpowiedzieć. Miała ściśnięte gardło. Ja też. Jej tragedia głęboko wyryła się w mojej pa-

mięci. Gdy wspominam tamtą noc, cały ból, wściekłość i strach wracają tak żywo, jakby wszystko to działo się w tej chwili.

*

Miałyśmy w Płaszowie mnóstwo pracy, między innymi ładowałyśmy kamienie na taczki i przewoziłyśmy je na inne miejsce. Któregoś dnia wysłano mnie do kuchni do obierania ziemniaków. Zatrudniano tam głównie starsze kobiety; nie takie, jakie dziś mamy na myśli, mówiąc o starszych, ale panie po pięćdziesiątce – starsze już wcześniej zastrzelono. Bały się wychodzić na zewnątrz, po ziemniaki, bo Niemcy wiele z nich już zastrzelili za to, że nie poruszały się wystarczająco szybko. Poprosiły mnie o przyniesienie ziemniaków.

– Jesteś młoda – błagały. – Potrafisz szybko chodzić.

Miały rację.

Pewnego dnia Amon Göth, komendant Płaszowa, razem ze swoją świtą zatrzymał się i przez chwilę przyglądał się, jak napełniam wiadra. Po czym nastąpił cud – odeszli. Nigdy nie dowiedziałam się, co mogło się zdarzyć. Kiedyś, po pracy na nocnej zmianie, wolno mi było spać w ciągu dnia. Nagle wyrwał mnie ze snu czyjś wrzask: „Złaź z łóżka! Szybko". Był to policjant, którego wszyscy się bali – wysoki, gruby, brutalny i agresywny. Wywrzaskiwał obelgi, słowa niecenzuralne, nie do powtórzenia. Nie miałam żadnej szansy, żeby wyjaśnić, że pracowałam całą noc. Uderzył mnie trzy razy pejczem w plecy. Wyskoczyły mi nagle trzy czerwone pręgi; ślady na skórze miałam przez kilka tygodni. To oczywiście bolało, ale nie bardziej niż upokorzenie. I znów nie było w zasięgu oka żadnego Niemca; nic nie usprawiedliwiało takiego postępowania, tylko podłość.

Ten sam policjant zobaczył kiedyś w baraku kobietę siedzącą na brzegu stołu i rozmawiającą z inną więźniarką. Podniósł pejcz i uderzył ją w twarz tak mocno, że straciła oko. Była poetką. Matkę tego policjanta, starą, chorą kobietę też przetrzymywano

w Płaszowie. Nie opuszczała łóżka. Nie mogła sobie poradzić ze wszystkimi skargami ludzi, których pobił jej syn. Odpowiadała gniewnie: „Zostawcie mnie. Nic nie mogę zrobić". To prawda. Nie słuchałby jej. Nawet matka nie mogła zmienić tej bestii. Czasami zastanawiałam się nad tym, że udało mi się uniknąć bicia przez Niemców rok wcześniej, ale tu, w Płaszowie – nie. Prócz policjantów mieliśmy Niemców takich jak Göth, strzelających do ludzi dla rozrywki. Nie był to jeszcze koniec. W połowie listopada przyszedł rozkaz przewiezienia części z nas do innego miasta. Załadowano mnie razem z wieloma innymi ludźmi do bydlęcych wagonów. Nie dostaliśmy nic do jedzenia, nie było żadnej ubikacji. W wagonie panował taki ścisk, że mogliśmy tylko stać.

*

Na miejsce przyjechaliśmy w nocy. Od długiego stania wszystkim zesztywniały nogi. Niemcy otworzyli wagony, krzycząc: „Schnell raus!" (Szybko, wyłazić!). Musieliśmy skakać w dół. Niektórzy upadali. Kazano nam uformować kolumnę i ruszyliśmy w drogę. Przywieziono nas do obozu pracy w Skarżysku-Kamiennej, gdzie Niemcy zajęli dawną polską fabrykę zbrojeniową. Teraz, w skrajnie innych warunkach, większość polskich robotników zastąpili Żydzi.

Żelazny napis nad wejściem głosił: „Arbeit macht das Leben süss" (Praca czyni życie słodkim). Byliśmy oczywiście niewolnikami. Policjanci policzyli nas, potem kazali rozejść się do baraków, poganiając przy tym krzykami i przekleństwami. Wnętrze było słabo oświetlone, a dookoła biegały myszy. Stało tam mnóstwo piętrowych łóżek, stół, duży okrągły piec, wysoki na metr, z rurami wychodzącymi przez dach. Panował chaos, ludzie w zamieszaniu wybierali sobie miejsca, próbowali jakoś ulokować się w pobliżu kogoś zaprzyjaźnionego.

Nagle zwrócił się do mnie jeden z żydowskich policjantów i kazał mi zrobić listę osób w baraku. Był niski i wściekły.

Któraś z kobiet znalazła kawałek papieru, inna ołówek. Spisałam listę i oddałam ją policjantowi. Dano mi szczotkę, kazano mi zamieść podłogę i przynieść drewno do pieca. Były w baraku kobiety z Lipska, wypędzone z Niemiec z powodu swego polsko-żydowskiego pochodzenia. Zgłosiły się do pomocy w zamiataniu, inne zapowiedziały, że przyniosą drewno, w końcu więc nie robiłam ani jednego, ani drugiego.

Następnego ranka gburowaty policjant wrzeszczał na nas, jakby chciał nam przypomnieć, kto tu rządzi. Miałyśmy się go bać, dlatego zafundował nam pokaz, co się stanie, jeżeli nie będziemy go słuchać. Podeszła do niego jedna z kobiet, wysoka pani koło pięćdziesiątki, i poprosiła o koc, bo było jej zimno. Kopnął ją brutalnie w brzuch. Zwinęła się z bólu i wybuchła płaczem, wtedy rzuciłam się między nich, żeby ochronić ją przed następnym ciosem.

– Masz matkę? – błagałam. – Dlaczego to robisz?

O ile mogłam się zorientować, jego okrucieństwo było zupełnie niepotrzebne. I tym razem w zasięgu wzroku nie było żadnego Niemca.

Popatrzył na mnie i spokojnie powiedział:

– Będziesz odpowiadać za barak. Masz pilnować, żeby podłoga była czysta. Po południu dostaniesz zupę i chleb. Podzielisz chleb. Czasami dostaniesz marmoladę, po łyżce na każdego.

Mówił spokojnie i rozsądnie, jakby nic się nie wydarzyło. Na szczęście nie miałam żadnych problemów z dzieleniem żywności.Uważałam, żeby porcje były równe i by nikt się nie skarżył. A mimo to kobieta, którą przywieziono do obozu zaledwie tydzień wcześniej, doniosła na mnie. Musiała coś powiedzieć, bo pewnego dnia dwaj policjanci ukryli się między łóżkami i obserwowali mnie przy krojeniu chleba. Wyszli z ukrycia, gdy skończyłam, kazali mi iść za sobą i w nagrodę za uczciwość dali mi dodatkową rację chleba i kubek marmolady. Poprawiło mi to samopoczucie.

Baraki były duże; spaliśmy na gołych deskach, w ubraniach. Ci, którzy przyjechali z Krakowa, mieli jakieś koce. Ja miałam tylko życie, które też zresztą mogłam stracić w każdej chwili. Niektóre baraki służyły jako latryny; wzdłuż ścian były ubikacje, a pośrodku stał rząd kranów z zimną wodą.

Później pojawił się inny policjant, przydzielający ludzi do różnych prac w fabryce zbrojeniowej. Mnie wysłano do odkręcania głowic wielkokalibrowych pocisków, które okazały się niewypałami. Zajęcie trudne, bo należało obchodzić się z nimi ostrożnie, żeby nie eksplodowały. Lepsze to było jednak niż praca przy materiałach wybuchowych, takich jak kwas pikrynowy i trotyl. Przykro było patrzeć na tych, którzy mieli z nimi do czynienia. Zmieniał się im kolor skóry, powoli umierali. Nazywano ich kanarkami – żółkli, chudli jak szkielety, poruszali się jak zombie, z nieprzytomnym wzrokiem. Żydzi pracujący przy tych składnikach często umierali w ciągu trzech miesięcy.

Na miejsce, gdzie obsługiwałam urządzenie, niewypały dostarczali w skrzynkach dwaj młodzi ludzie: niedoszły absolwent medycyny, któremu w ukończeniu studiów przeszkodził wybuch wojny, oraz młody prawnik. Stracili już wszelką nadzieję i powiedzieli mi, że nie wytrzymają tego dłużej. Wiele razy z nimi rozmawiałam, starałam się obudzić w nich wolę przetrwania. „Nie myślcie o swoich zawodach, zapomnijcie, kim jesteście i jakie mieliście plany. Ale nie poddawajcie się! Nie myślcie o tym. Przyjmujcie wszystko spokojnie". Stopniowo jednak się załamywali. Ja sama nie byłam najlepszym przykładem. Wcale nie postępowałam według własnych zasad. Byłam zła i okropnie cierpiałam. Mogłam znieść głód i chłód, ale nie niesprawiedliwość. Pamiętam innego młodego chłopaka, który już nie mógł wytrzymać. Dałam mu kiedyś swoją porcję chleba. Niedługo po tym po prostu zniknął.

Dość szybko po naszym przyjeździe do Skarżyska-Kamiennej Alina zaprzyjaźniła się z pewną starszą kobietą i nasze kontakty się rozluźniły. Był to dla mnie cios. Ceniłam sobie przyjaźń tej mądrej i radosnej dziewczyny, przy tym jedynej osoby, jaką

znałam w chwili przyjazdu, ponieważ złapano mnie daleko od moich rodzinnych stron. Większość pozostałych już wcześniej przebywała razem w innych obozach koncentracyjnych albo znała się z tego samego miasta, jeszcze sprzed wojny. Któregoś dnia jedna z dziewcząt powiedziała mi, że zna mnie z Czerniakowa, bo tak jak ja pracowała tam w polu. Z trudem ją poznałam. To była Rosa, ale już bez długich, ciemnych warkoczy i z głową obwiązaną kocem.

Wstydziła się swojego wyglądu. Ja nie zmieniłam się tak bardzo, zachowałam też włosy, ale w więzieniu byłam dopiero od kilku miesięcy. Rosa opowiedziała mi, że po zlikwidowaniu Czerniakowa całą grupę odesłano do warszawskiego getta. W kwietniu i maju 1943 roku trwało powstanie, po którym Niemcy spalili getto. Wysłano ją na Majdanek, gdzie pracowała przez kilka miesięcy. Później znalazła się w grupie przywiezionej stamtąd do Skarżyska-Kamiennej. Przyjechała tu kilka miesięcy przed nami.

Co rano budził nas policjant tą samą piosenką:

– Wstawać, skurwysyny!

– Wołam już pół godziny!

– Jeszcze śpicie?

– Sukinsyny!

Na wspomnienie tego za każdym razem mam łzy w oczach. Niemcy uciskali nas i poniżali. Czy w tej upokarzającej sytuacji żydowscy policjanci naprawdę musieli przysparzać nam dodatkowego bólu? Ustawialiśmy się w kolumny i wyruszaliśmy do pracy.

Pewnego dnia dostarczono chleb w tym samym czasie, kiedy na zewnątrz baraku rozdzielano zupę. Mężczyzna rozlewający zupę do talerzy pracował też w infirmerii. Poprosiłam, żeby obsłużył mnie najpierw, to zdążę wrócić i pokroić chleb, zanim go ukradną.

– Do kolejki! – wrzasnął na mnie.

– Jeśli ukradną chleb, zabiją mnie! – błagałam.

Wściekł się na mnie.

– Ty dziwko! – krzyknął i uderzył mnie w twarz tak mocno, że przez kilka dni nie mogłam mówić. Rzuciłam talerz, wróciłam do baraku i podzieliłam chleb, a potem padłam na łóżko. Nie byłam w stanie nawet płakać. Twarz mi się wykrzywiła, czułam nienawiść do tego człowieka, do policji, do wszystkich ciemiężycieli, którym wydawało się, że są panami naszego życia. Kto mógł sobie wyobrazić, że mogą w ludziach dojść do głosu tak niskie instynkty? Byłam przede wszystkim wściekła na dyżurnego, który mnie uderzył. Nie chodziło mi o specjalne potraktowanie, bałam się tylko o chleb. Mógł bez problemu nalać mi tę zupę, miał mnóstwo czasu. Wszyscy w kolejce się na to zgadzali. Jedna z dziewcząt podniosła mój talerz, stanęła w kolejce i poprosiła o porcję dla mnie. Usta miałam tak wykrzywione z bólu po uderzeniu, że nie mogłam nawet wsunąć w nie łyżki.

Zdarzali się jeszcze gorsi policjanci. Wspomnienia o tych złych wciąż budzą we mnie gniew. Tej samej nocy dyżurny, który mnie uderzył, przyniósł mi do łóżka koc. Być może ruszyło go sumienie, ale może też wyobraził sobie, że łatwo mu przyjdzie wykorzystać mój nieszczęsny stan. Gdyby ten koc mógł mówić, opowiedziałby o wielu zwłokach, które okrywał, a także o wielu sprawach z ich życia. Poza wszystkim był cały zapluskwiony.

– Nie chcę, żebyś się na mnie złościła – powiedział policjant. – Przyniosłem ci koc, ogrzej się.

Zamierzał wepchnąć się do mojego łóżka, ale wyskoczyłam, podbiegłam do stołu i skuliłam się na nim. Nie dostał tego, po co przyszedł. Ostrzegł mnie tylko, że złapie mnie następnym razem.

Zdobyłam więc w Skarżysku-Kamiennej kolejne doświadczenie życiowe. Takie zdarzenia były tam na porządku dziennym. Nawet szef obozowej policji był babiarzem. Miał żonę i kochankę, na dodatek jego żona też miała kochanka, który z kolei miewał swoje przelotne przygody. Szef lubił sobie dla rozrywki nas upokarzać. Rozkazywał dziewczętom ustawiać się w nocy, nago, przed barakami. Jego podwładni zabierali je potem, niby

dla ochrony przed hańbą, a później je gwałcili. Nie istniało nic takiego jak zgoda lub jej brak. Te kobiety były w potrzasku. A co najgorsze, okrucieństw dopuszczali się często nasi ludzie.

Kiedyś jeden z policjantów kazał mi iść ze sobą. Zaprowadził mnie do dużego, pustego pokoju i wrzeszcząc, kazał mi się położyć. Ważyłam pewnie ze trzydzieści albo trzydzieści dwa kilo; sama skóra i kości. Drewniana ławka była wąska, ale mieściłam się na niej bez kłopotu.

– Leż! – powtórzył ze złością. Leżałam w sukience, zupełnie sztywna, z zamkniętymi oczami. Patrzył na mnie przez chwilę, a potem, nie tknąwszy mnie, wrzasnął:

– Wracaj do baraku!

Był bardziej wściekły niż kiedykolwiek. Sądzę, że uratowałam się, zupełnie nieświadomie udając martwą. Miałam szczęście, tylko i wyłącznie. Był dwa razy starszy ode mnie i oczywiście dużo silniejszy, bo znacznie lepiej ich karmiono. Przeszłam podobne rzeczy jeszcze kilka razy, ale za każdym razem udawało mi się uniknąć najgorszego. Cuda wciąż następowały, nie mogły jednak uchronić mnie przed upokorzeniami.

Pewnego dnia zostałam wysłana w małej grupce do zbierania pocisków z placu, na którym Niemcy ćwiczyli strzelanie do celu, blisko lasu. Obok strzelnicy, w małym warsztacie mechanicznym pracowali dwaj Polacy. Młodszy, mniej więcej 45-letni, sarkastycznie się na nasz widok uśmiechał. Starszy, który wyglądał na jakieś 55 lat, wydawał się pełen współczucia. Rozmawiał ze mną, kiedy w pobliżu nie było policjantów ani esesmanów.

Kilka dni później starszy z mężczyzn zaczął mi przynosić z domu kanapki, papierosy i drobne pieniądze. Powiedział mi, że ma córkę w moim wieku i przykro mu patrzeć na to, co nas spotyka. Mówił o partyzantach, którzy ukrywają się w lesie niedaleko jego domu. Jego żona często pomagała im, gdy przyciskał ich głód. Starszy pan codziennie namawiał mnie, bym przy pierwszej okazji oderwała się od grupy. Wytłumaczył mi, gdzie mieszka.

– Jeśli ktoś z sąsiadów cię zauważy, zaprowadzę cię do lasu, do partyzantów – mówił. Innym razem stwierdził:

– Wiem, że jak wojna się skończy, odlecisz jak ptaszek wypuszczony z klatki. Ale chcę cię uratować. Moja żona i córka o tym wiedzą. Mam tu ubranie córki, dam ci, jak przyjdzie pora.

Zrobił mi też piękny aluminiowy talerz do zupy, z rączką. Zupa, którą tam dostawaliśmy, była lepsza od tej w obozie. Czasami znajdywałam w niej sporo kawałków mięsa. Któregoś dnia jednak policjant eskortujący nas do pracy i z powrotem zobaczył, jak rozmawiam z Polakiem. W drodze powrotnej zabrał mi papierosy i pieniądze i szedł bardzo blisko mnie. Nie było nawet mowy o ucieczce.

Esesman odpowiadający za warsztat C, gdzie pracowaliśmy, zaskoczył nas kiedyś, bo w drodze powrotnej do obozu sprawdził wszystkim kieszenie. Nazywaliśmy go V-2, tak jak rakiety. Miał jedną rękę i jedną sprawną nogę. Na rower wsiadał z pomocą, ale jeździł na nim bardzo dobrze. Stał przy bramie i wsuwał każdemu rękę do kieszeni. Akurat niosłam kawałek masła, który dostałam od polskiego mechanika. Esesman wsunął rękę tylko do jednej mojej kieszeni, po czym machnął, żebym przeszła dalej. Znów miałam szczęście. Gdyby sprawdził drugą kieszeń, mogliby mnie powiesić, tak jak mężczyznę, u którego znaleziono mały kawałek skóry wyniesiony do naprawy butów.

Wszyscy musieliśmy stanąć w wielkim kole i przyglądać się egzekucji. Esesman zrobił to tylko dlatego, że chciał. Nie miał takiego rozkazu. Mimo tak okrutnego widowiska słyszałam, jak ludzie mówili o skazańcu: „Lepiej jemu niż nam". To była prawda: koniec upokorzeń, koniec cierpień. Moje własne, nędzne życie, ratowane raz po raz kolejnymi cudami, nie przedstawiało żadnej wartości.

Następnego dnia powiedziałam Polakowi, że boję się przyjmować od niego cokolwiek. Przyniósł mi jednak spinki do włosów i drewniane chodaki ze skórzanymi paskami. Robił, co mógł, żeby mi pomóc; wspominam go serdecznie. Niedługo po tym odesłano mnie z powrotem do fabryki.

Gdy nadeszła zima, moje buty się rozpadły – trzymały się tylko wierzchy; podeszwy dawno już były do niczego. Stopami dotykałam śniegu albo lodu. Poprosiłam o buty w magazynie, ale mi odmówiono. Czekałam dnia, kiedy zbiorę się na odwagę i zaprotestuję. Dziewczęta błagały mnie, żebym tego nie robiła, ale postanowiłam, że pewnego dnia postawię na swoim. I tak pewnego ranka, gdy ustawiano nas do wyjścia, okazało się po przeliczeniu, że brakuje jednej osoby. Któryś z policjantów wszedł do baraku. Siedziałam na łóżku.

– Wyłaź, bo cię zabiją – wrzasnął.

– Mam dość – powiedziałam, nie ruszając się z miejsca. – Nigdzie nie pójdę, dopóki nie dostanę butów.

Poszli do fabryki beze mnie. Godzinę później przyszedł niemiecki brygadzista z pytaniem, dlaczego odmawiam wyjścia do pracy. Bez słowa pokazałam mu podarte buty. Uśmiechnął się.

– Chodź – powiedział. – Dostaniesz buty.

Poszłam z nim do fabryki. Był ode mnie dwa razy większy i trzy razy grubszy. Przechodząc koło okna biura, zatrzymał się i poprosił o kartkę papieru. Napisał na nim zlecenie wydania mi pary butów. Kiedy weszłam do hali maszyn, dziewczęta nie wierzyły własnym oczom. Po pracy poszłam do magazynu i dostałam chodaki.

Pod koniec zimy nabawiłam się tyfusu. Ręce i nogi mi ciążyły, w głowie się kręciło. Czepiając się ścian, powoli, półprzytomna, doszłam do baraku infirmerii, choć powszechnie było wiadomo, że nikt stamtąd nie wychodzi żywy. Poprosiłam dyżurnego, tego samego, który uderzył mnie w twarz, żeby wpisał mnie na listę chorych, bo nie mogę chodzić. Zemścił się; odmówił, twierdząc, że wyciągną mnie z baraku i poślą do pracy. Wracałam niewiele widząc, wszystko mi się zamazywało przed oczami. Z wielkim trudem, krok za krokiem zdołałam dojść na miejsce. Wszyscy poszli do pracy, a ja padłam na łóżko. Nie mogłam nawet podnieść głowy. Majaczyłam.

Kiedy Rosa przyszła zobaczyć, co się dzieje, poprosiłam, żeby zasłoniła moje łóżko kocem. Nie chciałam nikogo widzieć, leżałam, powtarzając: „Wszyscy są fałszywi. Zdradzili mnie". Sądzę, że gorączka wyzwoliła we mnie cały ból spowodowany wydaniem mnie i nienawiścią i moje najgłębsze uczucia stały się czytelne dla otoczenia. Spełniła moją prośbę. Później ktoś powiedział, że mogę się udusić, więc ściągnęła koc.

Nie pamiętam, czy to Rosa, czy ktoś inny przyprowadził innego dyżurnego. Zaaplikował mi bańki i dał mi jedną aspirynę – niezbyt skuteczne lekarstwo na tyfus. Po kilku dniach jednak przezwyciężyłam kryzys. Zaczęłam normalnie mówić. Nadal nie mogłam chodzić, ale już siadałam. Z powodu gorączki nie jadłam przez kilka dni; byłam głodna. Pierwszego dnia w pracy czułam się słabo, ale nie pozwolono by mi leżeć dłużej.

Tego dnia brygadzista, siwowłosy Polak koło pięćdziesiątki, zawołał mnie do biura. Zamknął drzwi i zaczął napierać na mnie ciałem i przyciskać do ściany. W nagrodę za znoszenie jego obrzydliwego zachowania dał mi dużą cebulę. Kiedy ze złością odmówiłam, stwierdził, że muszę jeść, bo dopiero co wyszłam z tyfusu – jakby był porządnym człowiekiem! Niosłam później tę cebulę, nie mając gdzie jej schować. Przypuszczałam, że wiele innych dziewcząt przeszło przez podobne upokorzenie. Nikt jednak o tym nie mówił. Ja też nikomu o tym nie powiedziałam, nawet najbliższym przyjaciołom. Do dziś na wspomnienie tego przeżycia czuję okropny wstyd.

Innym razem polski brygadzista zebrał wszystkich w wielkiej sali. Wskazał na człowieka, o którym wiedział, że był kantorem w synagodze, i kazał mu śpiewać. Zabrzmiała modlitwa *Szema Izrael* (Słuchaj, Izraelu). Nieważne, że nie wszyscy rozumieli słowa. Łzy spływały nam po twarzach. Przerażenie prowadziło w końcu do apatii i niezadowolenia, co nie pomagało nam w podtrzymywaniu nadziei.

Pewnego dnia, pod koniec lata 1944 roku, koło południa, nagle zostaliśmy zwołani w wielkim kole. Przybyło SS, któ-

re miało zlikwidować obóz w Skarżysku-Kamiennej. Przede wszystkim oddzielili od nas chorych i starych. Później ich rozstrzelali. Lekarka, która przez cały czas, od chwili gdy wyciągnięto je z krakowskiego domu, ukrywała i chroniła swoją sędziwą matkę, nie chciała jej opuścić. Trzymała ją tak mocno, że nawet policjanci ani esesmani nie zdołali ich rozdzielić. Zastrzelono je razem; upadły na ziemię mocno objęte. Stałam obok dziewczyny o imieniu Matylda, zaprzyjaźnionej z nimi, i złapałam ją w ramiona, kiedy na ten widok zemdlała. Zbliżyłyśmy się do siebie później. Matylda przeżyła, spotkałyśmy się po wojnie. Wyszła za mąż, miała dwoje dzieci. Ilekroć się widziałyśmy, stawała mi w oczach tamta scena i wiele innych strasznych wydarzeń z Płaszowa i Skarżyska-Kamiennej, które mnie do dziś prześladują. A nie był to jeszcze koniec.

Tej nocy Niemcy dopełnili swego straszliwego dzieła. Słyszeliśmy strzały i krzyki. Rano dowiedzieliśmy się, że część żydowskich policjantów próbowała uciec do lasu. Zastrzelono ich. Nie byli już Niemcom potrzebni. Następnego ranka, 1 sierpnia, kazano nam ustawić się w kolumnie. Mężczyzn wysłano do różnych obozów; kobiety do obozu pracy HASAG w Lipsku. Tak jak poprzednio załadowano nas, stłoczone, na kilka dni do bydlęcych wagonów.

Tak blisko, a tak daleko

Na dworzec Schönfeld w Lipsku przyjechałyśmy trzy dni później, wycieńczone, głodne, półżywe. Mimo znakomitej niemieckiej organizacji i wykonywania rozkazów na czas nic nie było przygotowane na nasz przyjazd. Musiałyśmy jeszcze stać wiele godzin pod budynkiem. To męczące, przymusowe zgromadzenie nazywało się *Appell* i okazało się pierwszym z wielu.

Lipsk był obozem pracy przymusowej, przede wszystkim dla kobiet; przetrzymywano w nim między innymi Polki, Żydówki, Holenderki, Francuzki i Cyganki. Grupa sowieckich kobiet żołnierzy, złapanych po zrzutach spadochronowych, nie zadawała się z nami. Traktowano je z szacunkiem, jak jeńców wojennych, obywateli kraju, który walczył z Niemcami. My byłyśmy więźniami zła i żaden kraj nie bronił naszych praw ani godności. Już pierwszego dnia strażniczki – esesmanki – uświadomiły nam swoją władzę – zabroniły korzystać z ubikacji w budynku i siadać na ziemi. Doskonale wiedziały, jak nas skrzywdzić i poniżyć.

Po kilku godzinach kazano nam wejść do wielkiej sali, rozebrać się i odłożyć ubrania na bok. Powędrowała tam więc moja sukienka i peleryna, najpierw sfastrygowana, potem zszyta, pomalowana w białą drabinę, z żółtym kołem, które paradoksalnie wyglądało jak słońce. Musiałyśmy nago stawać w wielkim oknie, gdzie *Obersturmführer* przez szybę oceniał nasze ciała. Stamtąd przechodziłyśmy pod prysznice i odbierałyśmy pasiaki. Później sprawdzano, która z nas jest w ciąży albo choruje; na koniec część odesłano do obozu w Ravensbrück, przeznaczonego wyłącznie dla kobiet.

W Lipsku pokoje były obszerne, z podłogą z gołych desek i piętrowymi łóżkami. Wszędzie panowała czystość. Dostałyśmy nawet nowe i czyste koce. Bądź co bądź przyjechałyśmy na terytorium Niemiec. Poza brudnymi duszami esesmanek reszta była nieskazitelna. Prysznice z gorącą wodą działały dwadzieścia cztery godziny na dobę – cóż za różnica w stosunku do Płaszowa i Skarżyska-Kamiennej. Następnego dnia zarejestrowano nas i przydzielono numery. Musiałyśmy podpisać oświadczenia, że zostałyśmy aresztowane za prostytucję, co miało uzasadniać zatrzymanie.

Nazajutrz żołnierze Wehrmachtu zaprowadzili nas do fabryki zbrojeniowej, gdzie czekali brygadziści. Przydzielono nas do różnych maszyn i wytłumaczono, jak działają. Mnie przypadło urządzenie jedyne w swoim rodzaju, które poprawiało zdefektowane w produkcji głowice pocisków; miałam je indywidualnie dopasowywać. Musiałam też ustawiać maszynę, kiedy coś się obluzowało. Poprosiłam w warsztacie o narzędzia. Pracowałam samodzielnie, a co najlepsze, nie narzucono mi żadnej normy ze względu na bardzo precyzyjny charakter pracy. Oficjalnie nawet nie podlegałam brygadziście.

Moje urządzenie stało w stosunkowo spokojnej części wielkiej hali. Niemiecki brygadzista, inżynier, często przychodził do mnie porozmawiać. Udawał, że sprawdza części albo pomaga mi ustawić maszynę, ale prawie cały czas mówił o tym, co przydarzyło się w czasie wojny jemu i jego rodzinie. Był zgorzkniały. Żona i dwaj synowie służyli w wojsku; nawet nie wiedział, czy jeszcze żyją. Innym razem opowiedział, jak go postrzelono w nogę i przez kilka dni leżał nieprzytomny. Lekarze w szpitalu robili, co mogli, ale nadal kulał, co go złościło; był zmęczony wojną. Ze szpitala odesłano go do pracy w charakterze brygadzisty. Kiedyś powiedziałam mu, że wciąż ma nadzieję, a ja żadnej. Odszedł, kulejąc, bez słowa. Dziwne, ale mogłam z nim rozmawiać bez strachu. Czasami opowiadał kawały albo robił sobie żarciki, choćby wrzucając mi stalowe opiłki do butów i czekając,

jak zareaguję. Raz, gdy skarżyłam się, że boli mnie gardło, zabrał mnie do gabinetu lekarskiego w fabryce. Lekarz stwierdził, że to tylko niegroźne podrażnienie wywołane pyłem z maszyny.

Wiele razy prosiłam go, żeby łagodnie traktował kobiety, które nie były w stanie wypracować dziennej normy, ponieważ godzinami stałyśmy na *Appell* pod budynkiem. Udawał, że nie zauważa różnicy i akceptował zmniejszoną produkcję. Po którymś wyjątkowo długim *Appell* stwierdziłyśmy, że sowieckie spadochroniarki zniknęły bez śladu. Nigdy nie dowiedziałyśmy się, co się z nimi stało. Chodziły plotki, że ktoś pomógł im uciec. Był też inny brygadzista, również niezadowolony z wojny. Któregoś z dziewcząt pracujących po drugiej stronie hali powiedział, że jego ojciec siedział w więzieniu, ponieważ był komunistą. Od czasu do czasu przynosił nam wiadomości o wojnie.

Jedna z robotnic, Polka, przyjechała kiedyś do Niemiec z własnej woli, jako pomoc domowa. Niemcy, u których pracowała, zwolnili ją, bo zamierzali uciec całą rodziną w obawie przed konsekwencjami tego, co robili w czasie wojny. Kobieta przyszła do fabryki, szukała pracy. Jej mąż znalazł zatrudnienie w jakiejś fabryce wyrobów metalowych. Za dwie racje chleba sprzedawała aluminiowe grzebienie, które robił u siebie w pracy. Zamówiłam taki grzebień, ale ktoś ukradł chleb z mojego łóżka. Nie miałam chleba, to i grzebienia też nie dostałam. Takie rzeczy były na porządku dziennym. Rekompensowałyśmy sobie wszystko to, bez czego musiałyśmy się obchodzić, częstymi kąpielami w cudownej, gorącej wodzie z pryszniców.

Praca w fabryce nie była zła. Z szefem, *Obersturmführerem*, nie miałyśmy problemów. W obozie jednak esesmanki traktowały nas okropnie. Biły, wrzeszczały i siały przerażenie. Były to piękne kobiety, głównie Niemki i kilka Holenderek, ale podłe i gruboskórne. Wiele razy bez powodu wyrzucały nas z budynku i godzinami trzymały na zewnątrz.

Raz doszło do incydentu z esesmanką lesbijką, która molestowała dziewczęta. Przychodziła nocą i zabierała którąś z nich.

Kiedy dowiedział się o tym *Obersturmführer*, odesłał ją gdzieś i nigdy więcej jej nie zobaczyłyśmy. Pewnej nocy ogłoszono alarm lotniczy, bo w pobliżu pojawiły się alianckie bombowce. Musiałyśmy zejść do podziemnego schronu; stały tam trumny, w jednej z nich zobaczyłyśmy ciało.

Kiedy nie pracowałyśmy, dla zabicia czasu przerabiałyśmy nasze pasiaki; skracałyśmy je, dodawałyśmy paski z kawałków materiału albo sznurka. Niektóre z kobiet dorabiały nawet kołnierze z białych szmat do czyszczenia. Rozwścieczało to esesmanki. Darły się na nas i wyrzucały na zewnątrz na kolejny *Appell*. Stałyśmy tam kiedyś, dopóki nie przyszedł *Obersturmführer*, żeby dowiedzieć się, za co zostałyśmy ukarane. Pozwolił nam wrócić do środka. Chyba się nawet uśmiechał, kiedy wchodziłyśmy do budynku. Najlepiej zapamiętałam dwie strażniczki. Jedna, wysoka blondynka, była Holenderką; miała paskudny charakter; wciąż z całej siły waliła wszystkich po głowie. Druga, Niemka, niższa i ciemnowłosa, z racji delikatnego wyglądu nazywana Lalką, była w zasadzie nieśmiała, ale na służbie zaczynała wrzeszczeć i bić. Za niska, żeby uderzyć w głowę tak jak jej koleżanka – biła po twarzy. W dniu Bożego Narodzenia 1944 roku jedna z Żydówek podeszła do Holenderki i życzyła jej wesołych świąt. Tamta poczerwieniała i rzuciła: „Nie musisz mi tego mówić". Stałam obok, słuchając tej wymiany zdań.

Po pracy prowadziłyśmy własne życie kulturalne, tolerowane przez *Obersturmführera*. Któregoś razu grupa kobiet zorganizowała przedstawienie, z kostiumami, a nawet ze sceną i dekoracjami. Jak w prawdziwym teatrze. Tańczyły i śpiewały; były wśród nich prawdziwe przedwojenne artystki. Inne prezentowały ludowe piosenki swoich krajów. Odbyło się to w nocy, pod nieobecność esesmanek, a za przyzwoleniem *Obersturmführera*, który przyszedł na początku i przez kilka minut stał koło mnie i z uśmiechem przyglądał się występom, a potem wyszedł.

Poznałam w naszym baraku dziewczynę, która była rzeźbiarką. Uważała, że będę znacznie lepiej wyglądać, jeśli pofarbuję

sobie włosy. Były to głupstwa, rojenia, ale nieszkodliwe. Od czasu do czasu musiałyśmy sobie udowodnić, że wciąż jeszcze potrafimy myśleć. Poprosiła mnie, żebym pozowała jej do gipsowego popiersia, które robiła dla jednej z niemieckich urzędniczek. Miałyśmy w naszym gronie i śpiewaczkę operową. Nocami, kiedy leżałyśmy w łóżkach, cichutko śpiewała przepiękne arie. Jej młodsza siostra uratowała się cudem podczas selekcji w obozie, kiedy wszystkie dzieci wysłano na śmierć.

Pewnego dnia francuskie więźniarki polityczne ubrały się w wymyślne kapelusze i zrobiły coś w rodzaju pokazu mody. Przeszły przez wszystkie sale w strojnych toaletach, demonstrując francuską sztukę i zwyczaje. Włożyły w to mnóstwo pracy i wyobraźni; przyglądałyśmy się im z zainteresowaniem. Nie rozumiałyśmy znaczenia ich tradycji, ale tłumaczyły nam wszystko z entuzjazmem. Zaprzyjaźniłam się z jedną z Francuzek. Mówiłyśmy na zmianę, chwilę w jednym języku, a potem kilka słów w drugim.

Dziewczyna, która przed wojną była nauczycielką angielskiego, wciąż namawiała mnie do nauki, ale nie miałam ochoty. Nie rezygnowała.

– Jesteś inteligentna – powtarzała. – Będę cię uczyć. Powtarzaj za mną.

– Po co? – odpowiadałam.

– Przecież nie przeżyję.

Uczenie się czegokolwiek ze świadomością, że nasza przyszłość nie zależy od nas, zakrawało na absurd. Wolałam słuchać biblijnych historii opowiadanych przez jedną z pobożnych dziewcząt. Któregoś dnia powiedziała mi, że przejdziemy obok drzew owocowych, ale nie wolno nam będzie nic zerwać. Dokładnie tak się stało. Mijałyśmy jabłonie rosnące wzdłuż ulic, ale zapowiedziano nam, że zerwanie choćby jednego jabłka oznacza śmierć.

Pewnego dnia zobaczyłam, że na skrzynce z amunicją, gotowej do wysłania na front, ktoś napisał: „Quo vadis?". Jak na ironię, żadna z pakowanych przez nas skrzyń nigdy nigdzie

nie pojechała. Było na szczęście za późno. Wojna się skończyła. Wśród żołnierzy konwojujących nas do fabryki znaleźli się Niemcy z Wehrmachtu i polscy folksdojcze w niemieckich mundurach. Wracałyśmy któregoś dnia z pracy, w ciemności i zimnie. Tuż obok mnie szedł młody niemiecki żołnierz z eskorty. Spuściłam głowę, żeby na niego nie patrzeć.

– Głowa do góry – odezwał się. – Wojna się kończy. Wytrzymaj, nie smuć się. Niedługo będziesz wolna.

Była połowa lutego 1945 roku; dwa miesiące później kazano nam opuścić obóz w Lipsku.

*

Minęło dużo czasu, nim dowiedziałam się, co mnie czeka na końcu drogi. A zdarzyło się wiele. Była to trudna, mozolna podróż. Gdyby nie wojna, przeżywałabym młodość i romanse. Podczas wojny na romanse zabrakło miejsca. Wciąż byłam młoda, ale lata cierpień, utrata rodziny, zabiły we mnie miłość życia. Miłość? Moje serce od dawna już nic nie czuło. Wyrachowanie? Mój mózg przestał myśleć. Był zupełnie pusty. Z drugiej strony przetrzymać to wszystko pomagało braterstwo, czasem nawiązywane z czystej potrzeby, bez żadnej domieszki rojeń czy wzajemności. Liczyło się tylko i wyłącznie przetrwanie. Miłość, jeśli się w ogóle pojawiała, była niespodzianką.

Pewnego ranka, w połowie kwietnia, ogłoszono rozkaz ewakuacji. Wolno było zabrać ze sobą koc; każdy dostał bochenek chleba i dwie garście suchego ryżu. Pojawiły się pogłoski, że sowieckie wojska zbliżają się do Halle, miasta leżącego niedaleko Lipska. Oficerów SS najwyraźniej przygnębiła ta wiadomość. Mimo że byli u siebie, na niemieckiej ziemi, ogarnęło ich przerażenie. Podczas wojny uznali, że są niezwyciężeni. Teraz pojawiało się widmo pokuty za wszystkie zbrodnie, jakich się dopuścili. Co do nas, po prostu w to nie wierzyliśmy. Zbyt długo cierpieliśmy, by kiedykolwiek oczekiwać wyzwolenia. Nikt

nie wyobrażał sobie, że wojna w ogóle może się skończyć. Nie mieliśmy pojęcia, co się dzieje. Gdzie się podziały moje cuda? Czy pojawią się w odpowiednim czasie? Czy ktoś jeszcze w nie wierzy?

Kazano nam ustawić się na zewnątrz budynku i przygotować do wymarszu. Zobaczyłyśmy wtedy grupę mężczyzn z innego obozu, która miała iść za naszą kolumną. Esesmani – kobiety i mężczyźni – robili wrażenie znerwicowanych wraków. Wiedzieli, że Sowieci wezmą odwet za wszelkie potworności popełnione na cywilnej ludności w Związku Sowieckim i że to im przyjdzie teraz zapłacić za spalone wioski, terroryzowanie kobiet i dzieci i ślepą rzeź wszystkiego, co stało na drodze. Dlatego tak szybko uciekali, zabierając nas ze sobą, by nie pozostawiać żadnych śladów. Jak mogli najszybciej, zmierzali ku pozycjom wojsk amerykańskich, bo od Sowietów nie mogli się spodziewać litości.

Pierwszego dnia marszu zrobiliśmy czterdzieści kilometrów, nie wiedzieliśmy zresztą, dokąd nas prowadzą. Poganiali nas krzykiem. Chleb nie wystarczył na długo. Drugiego dnia ludzie byli głodni. Kto wychodził z kolumny, żeby zerwać i zjeść garść trawy, natychmiast ginął zastrzelony. Ludzie słabli z każdą chwilą, wyczerpani padali na ziemię. Zostawiano ich tak na śmierć. Każdego dnia wzdłuż drogi pozostawały zwłoki; leżały na oczach mieszkających tam niemieckich cywilów. Kiedy esesmani wchodzili do prywatnych domów, żeby zjeść i odpocząć, musieliśmy zatrzymywać się, gdzie kto stał, zawsze pod nadzorem żołnierzy.

Po kilku dniach, gdy znaleźliśmy się w pobliżu jakiejś wsi, lunął ulewny deszcz. Żołnierze zaprowadzili nas na plac otoczony gęstym żywopłotem z ligustru, żeby nikt ze wsi nie widział, co się tam dzieje. Staliśmy tak w deszczu, podczas gdy najwyżsi oficerowie SS schronili się w domach wokół placu. Do pilnowania nas zostali młodzi żołnierze, ale i oni poszli schować się pod dachem po drugiej stronie ulicy. Byliśmy przemoczeni, zmęczeni, głodni i ledwie trzymaliśmy się na nogach.

Gdy na dziedzińcu w Lipsku ustawialiśmy się w kolumnie do wymarszu, każdy starał się znaleźć blisko kogoś znajomego. My trzymałyśmy się razem z Rosą z Czerniakowa, Lodką, jej przyjaciółką Dorą ze Skarżyska-Kamiennej i z Rachelą z Lipska. Rachela wyszła z budynku późno i dołączyła do nas, bo stałyśmy we czwórkę, a kazano nam sformować piątki. Zbliżyłyśmy się do siebie podczas marszu, opiekowałyśmy się sobą nawzajem – i fizycznie, i psychicznie.

Na placu, wycieńczone, rozłożyłyśmy na trawie jeden koc i przykryłyśmy się pozostałymi. Deszcz lał całą noc. Wydawało się, że grupa jest teraz dużo mniejsza niż w chwili wymarszu z Lipska. Oficerowie SS najwyraźniej mieli różne zdania co do tego, gdzie i kiedy należy odpocząć, bo kolumna została podzielona. Nie wiedzieliśmy, dokąd zabrano resztę. Nagle, w środku nocy, usłyszałyśmy krzyk: „To mój koc, złodzieju! Oddawaj!".

Ktoś kradł koce. Ściskałyśmy nasze mocno, żeby nikt ich nie wyrwał. Cóż więcej miałyśmy? Ograbiono nas ze wszystkiego, łącznie z prawem do godnego życia.

Następnego dnia po południu deszcz ustał i zza chmur wyszło jaskrawe słońce. Przemokłyśmy, a nasiąknięte wodą koce były ciężkie. Gdy prostowałyśmy nogi, między grupkami wszczął się ruch. Ludzie podchodzili do siebie zobaczyć, kto przeżył, a kto umarł. Kobiety rozmawiały w grupce i wtedy córka jednej z nich wychyliła się nad żywopłotem i wyjrzała na ulicę. Młody niemiecki oficer strzelił jej w głowę z odległości pół metra. Widziałam to i nigdy tego nie zapomnę. To było kilka tygodni przed końcem wojny. Rozpacz matki rozdzierała serce. Córka była młodziutką dziewczyną, tak jak morderca, który ją zabił. Przetrwały razem z matką wszystkie obozy i teraz, niemal na koniec wojny, doszło do tragedii. Nikt mu nie rozkazał strzelać. Zrobił to odruchowo. Mógł na nią krzyknąć. Ale miał władzę – mógł strzelić i strzelił.

Moje przyjaciółki rozbiegły się i zostawiły mnie do pilnowania koców. Lodka szybko znalazła starą, zardzewiałą pusz-

kę i kawałek drutu. Rosa, Dora i Rachela nazbierały gałązek na ogień, żeby ugotować ryż. Nagle nadbiegła młoda Cyganka i chwyciła puszkę. Lodka była wysoką, silną dziewczyną i walczyła z Cyganką, aż upadła, trzymając puszkę za sobą. Kiedy tamta usiłowała ją wyrwać, zardzewiały drut skaleczył Lodkę pod kolanem. Nic nie poczuła, ale kilka dni później wywiązała się infekcja.

Ruszyliśmy dalej. Szliśmy wolniej, mniej więc było ofiar. Lśniące buty Niemców zabłociły się, a mundury pokrył kurz. Zmienił się też nastrój naszych konwojentów. Każdego dnia ich ubywało. Najwyraźniej mieli dość. Któregoś ranka obudziliśmy się zupełnie sami. Esesmani zniknęli. Porzucili wojsko i nas. Szliśmy dalej drogą w tym samym kierunku, aż zbliżyliśmy się do jakiejś wsi, przed którą zobaczyliśmy cywilną niemiecką milicję, ze strzelbami w rękach. Krzyczeli na nas, chcieli nas przegonić w obawie, że włamiemy się im do domów. Jeden z nich przytknął mi broń do pleców, gdy biegliśmy, najszybciej jak można. Gonili nas, póki nie opuściliśmy ich okręgu; dopiero wtedy się zatrzymali. Zebraliśmy się i ruszyliśmy dalej, wciąż w tę samą stronę. Wreszcie, pod koniec kwietnia, doszliśmy do Łaby.

Wkracza przeznaczenie

Było ciemno, kiedy dotarliśmy do rzeki. Trwała bitwa między Niemcami i Sowietami; nad naszymi głowami przelatywały pociski z katiusz, nowego sowieckiego wynalazku. Słyszeliśmy, jak wybuchają gdzieś przed nami. Schylaliśmy się w dół, jak najniżej. Ktoś pokazał dom zrujnowany wcześniejszym bombardowaniem; namawiał, żeby się tam schować. Całą noc spędziliśmy w tym, co zostało z piwnicy; przyklejeni do ścian, przerażeni, słuchając wymiany ognia.

Rano usłyszeliśmy jakieś głosy. Był to sowiecki patrol, który pewnie nas usłyszał. Zajrzeli przez małe piwniczne okienko, o dziwo całe. „Wychodzić", padła głośna komenda po rosyjsku. Na zewnątrz jedna z kobiet wytłumaczyła żołnierzom, kim jesteśmy i jak się tu znaleźliśmy. Kazali nam iść za sobą i zaprowadzili niedaleko, do baraków zajmowanych przez włoskich żołnierzy. Trzymano ich tam, bo cała grupa rzuciła broń i odmówiła walki po stronie Niemców przeciw aliantom. Niemcy porzucili ich z tych samych powodów, co i nas. Sowieccy żołnierze dali nam kilka pustych pokoi. W każdym były dwa piętrowe łóżka, umywalka i ubikacja. Po raz pierwszy od dawna znaleźliśmy się pod jakimś dachem. Niestety, nadal nie mieliśmy co jeść, a ostatnie ziarnko ryżu zostało zjedzone kilka tygodni wcześniej. Byliśmy głodni, ale wyglądało na to, że przynajmniej chwilowo bezpieczni.

Na zewnątrz zobaczyliśmy w bryczce złapanego przez Sowietów wysokiego rangą niemieckiego oficera w kobiecym ubra-

niu. Nie wiem, jak się skończyła ta dziwna historia, ale później widzieliśmy, jak przez pole biegnie oficer SS w damskim stroju. Oczywiście, złapano go także.

Niemieccy cywile też w pośpiechu opuszczali tereny zajmowane przez Sowietów. Łodziami przepływali Łabę na drugą stronę, gdzie weszli Amerykanie. Taki sam plan mieli eskortujący nas esesmani, ale spóźnili się, uciekli więc, żeby nie dać się złapać. Do łodzi starało się wcisnąć jak najwięcej ludzi, dlatego zostawiali swoje bagaże na brzegu rzeki. Znacznie później zrozumieliśmy, czemu Niemcy ufali Amerykanom. Wiedzieli, że nie zostaną zastrzeleni na miejscu.

Sowieci zdawali sobie z tego sprawę, ale nie reagowali. „Niczewo – mówili. – Później ich dostaniemy". Dziewczęta przewracały pozostawione bagaże, szukając ubrań. Nie pozwoliły mi iść z sobą, bo niezbyt się do tego nadawałam, ale pamiętały o mnie. Dostałam spodnie od piżamy, bluzkę, krótkie sztuczne futerko, szalik i dużą białą chustkę. Kiedy rozdzielono łupy, zaczęłyśmy się zastanawiać, co robić dalej. Nadal byłyśmy w Niemczech i zgadzałyśmy się co do tego, że nie możemy tam zostać. Trzeba było wracać do Polski; każda liczyła na to, że odnajdzie rodzinę, całą i zdrową. Jak na ironię, po wszystkim, co przeszłyśmy i co widziałyśmy, czasami budziła się w nas nadzieja. Silne pragnienie uruchamia wyobraźnię. Cuda się zdarzają. Bo jak inaczej wytłumaczyć, że wciąż żyjemy? Może i naszym rodzinom się poszczęściło i przeżyły? Rozdzielenie z bliskimi było dla nas wszystkich czymś niezwykłym.

Co do siostry, nie byłam pewna. Może gdzieś żyła. Ale rodzice? Wiedziałam. Poza tym gdzieś w głębi duszy czułam, że jestem całkowicie sama. Z moimi towarzyszkami drogi nie znałam się przed wojną. Nadal nie znałyśmy się dobrze, to mnie martwiło, miałam wrażenie, że straciłam tożsamość.

Dziewczęta zdecydowały, że musimy się pozbyć obozowych ubrań.

– Niemcy nas zabiją, jak zobaczą te pasiaki – powiedziała Rosa. – Trzeba je wyrzucić.

Nie uśmiechała mi się specjalnie perspektywa wyrzucania sukienki. Nosiłam ją od przyjazdu do Lipska, kiedy *Obersturmführer* decydował, kto zostanie, a kogo odeślą w jakieś inne, dużo gorsze miejsce. Miała swoją historię. Była za długa i jedna z dziewcząt, umiejąca szyć, ją skróciła. Z obciętego kawałka zrobiła nawet kieszeń i przyszyła ją na górze, po lewej stronie. Ze sznurka uplotłam sobie pasek. Wśród szmat do polerowania maszyn znalazłam kawałek czerwonego materiału i zrobiłam z niego chusteczkę. Wetknięta do kieszonki wyglądała bardzo wesoło. Musiałam obchodzić się bez chleba, żeby zapłacić dziewczętom za to wszystko, a także za pranie sukienki. Suszyły ją na rurach od ogrzewania, ale zawsze była czysta. Nie każdy potrafił wytrzymać głód, ale w domu byłam niejadkiem, więc nie przejmowałam się tym tak bardzo.

Prawdę mówiąc, po wielu tygodniach bez mycia byłyśmy brudne. W szwach mojej sukienki siedziały miliony pluskiew; mogła właściwie sama chodzić dzięki tej potężnej armii. A mimo to nie chciałam jej oddawać.

– Zarobiłam na nią – upierałam się. – Jest moja. Poza tym teraz są tu Sowieci.

Dziewczyny nie chciały słuchać. Próbowały mnie przekonać, że obecność Sowietów nie ma znaczenia.

– W pasiakach jesteśmy zagrożone – powtarzała Rosa. W końcu musiałam ich posłuchać.

Pozbycie się sukienek było pierwszą grupową decyzją. Następnie ustaliłyśmy, że jeśli ktoś nas spyta, kim jesteśmy, będziemy mówić, że Polkami; nikomu, nigdy i nigdzie nie przyznamy się, że jesteśmy Żydówkami. Protestowałam – ukrywanie, że jestem Żydówką, wydawało mi się głupie, skoro przyznawałam się do tego w dużo gorszych sytuacjach. Nie wiem dlaczego, ale nagle stało się to dla mnie powodem do dumy. W końcu jednak doszłyśmy do porozumienia. Zaimprowizowana konferencja

dobiegła końca. Włożyłam spodnie od piżamy i poszłam umyć twarz. Tylko mnie przyszedł do głowy taki głupi pomysł. Nie zapomnę, jak wszystkie się ze mnie śmiały. Byłam brudniejsza niż przedtem.

Byłam już jedną nogą w łóżku, kiedy usłyszałyśmy głośne rozmowy pod drzwiami. Wstałyśmy, żeby wyjrzeć. Cały tłum w popłochu wybiegał z baraku. W ciągu paru sekund dołączyłyśmy do nich. Rosa wpadła na świetny pomysł, żebyśmy wszystkie zawiązały na głowach białe chustki, dzięki czemu nie pogubimy się w ciemności. W zamieszaniu usłyszałyśmy, że w pobliskim lesie ukrywają się Niemcy. Ostrzelali Sowietów, którzy im odpowiedzieli ogniem, i zaczęła się bitwa. I znów nad naszymi głowami latały pociski. Pędziłyśmy tak szybko, że nieświadomie minęłyśmy cały batalion jeńców wojennych odprowadzanych przez Sowietów.

– Nazad! – wrzasnął sowiecki żołnierz. – To są jeńcy! Nie wolno iść przed nimi!

Zatrzymałyśmy się, żeby ich przepuścić. Rozejrzałyśmy się wokół, chciałyśmy wiedzieć, gdzie jesteśmy, i wtedy okazało się, że stoimy między dwiema grupami. Z jednej strony byli ludzie z obozów koncentracyjnych, z drugiej – Włosi. Zrobił na nas wrażenie włoski generał. Trzymał w ręku mapę i tłumaczył swoim ludziom, jaką drogą pójdą dalej. Słuchałyśmy go przez chwilę, wciąż niezdecydowane, dokąd ruszyć, i wtedy zwolniły przejeżdżające obok nas czołgi. Jeden z maszynistów otworzył właz wołając głośno:

– Amchu? Amchu?

Żadna z nas nie rozumiała, o co chodzi. Powtórzył to jeszcze kilka razy. Nie odpowiadałyśmy. Nie dawał za wygraną.

– Skąd jesteś?

– Z Polski. Polka.

– Jest tu ktoś z Drohobycza albo ze Lwowa?

– My z Warszawy.

Miał na sobie dziwny hełm ze słuchawkami. Nigdy czegoś

takiego nie widziałyśmy. Cokolwiek miał nam do zaoferowania, nie wydawało się nam tak bezpośrednio użyteczne, jak wiedza włoskiego generała. Nie rozumiałyśmy ani jednego słowa z tego, co mówił, ale był generałem i miał mapę. To wydawało się ważne. Rosa stwierdziła, że będzie wiedział, jak dostać się do Polski. „Spytaj ich, czy idą do Polski", zwróciła się do mnie. Po włosku nie mówiłam, niemiecki znałam słabo, ale jakoś zdołałam zadać to pytanie oficerowi, który stał koło mnie, a on z kolei spytał generała. Trochę po polsku, trochę po niemiecku, a trochę na migi, którym to językiem Włosi posługują się doskonale, wytłumaczyli nam, że możemy iść z nimi przez jakiś czas, aż do miejsca, gdzie droga się rozwidla. Tam Włosi skręcą, a my pójdziemy dalej do Polski. Decyzja naszej małej grupki o maszerowaniu z Włochami zapadła momentalnie. Nie zawsze zgadzałyśmy się ze sobą tak szybko. Czasami dogadywałyśmy się i czułyśmy się dość sobie bliskie. Zdarzało się jednak, że nie było między nami żadnej współpracy, a nawet życzliwości.

Kiedy ruszyłyśmy, zorientowałam się, że z całej grupy tylko cztery osoby postanowiły iść z Włochami. Lodkę opuściła jej przyjaciółka Dora, która dołączyła do innej grupki. Po latach dowiedziałam się, że krótko po naszym odejściu nadjechały sowieckie ciężarówki i zabrały wszystkich, którzy chcieli dostać się do Polski. Niektórzy wrócili nawet tydzień przed końcem wojny. Takimi dziwnymi drogami chadza przeznaczenie. Tym razem szczęście mnie opuściło. A może jednak nie? Niektórzy wrócili do Polski i tam zginęli z rąk polskich antysemitów.

Szybko się okazało, że jest nas czwórka dziewcząt wśród kilkuset włoskich żołnierzy. Byli tam oficerowie i żołnierze wszystkich stopni, a także wysocy oficerowie marynarki wojennej. Lodka mocno kulała i prawie nie mogła iść. Miała bóle i wysoką gorączkę. Spytałam, czy Włosi mają jakiegoś lekarza, i któryś z oficerów mi go wskazał. Poprosiłam o kilka tabletek aspiryny dla przyjaciółki. Dostałam dwie. Lodka spała tej nocy nieco lepiej. Rano rozejrzałyśmy się po opuszczonych domach

w poszukiwaniu jakiegoś wózka dla niej. Znalazłam w końcu coś małego, ale w dobrym stanie i doszłam do wniosku, że lepsze to niż nic. Lodka nie mogła chodzić. Kilka razy prosiłam doktora o aspirynę. W końcu przyszedł obejrzeć jej nogę. Wiedział, co Lodce grozi, ale nic nie mógł zrobić.

W zdobywaniu jedzenia nie byłyśmy tak dobre jak Włosi. Niektórzy z nich znaleźli rowery i objeżdżali na nich okoliczne wioski. Okazali się dobrymi ludźmi, dzielili się z nami tym, co znaleźli; zwłaszcza oficer, z którym na początku rozmawiałam. Na zmianę ciągnęłyśmy wózeczek z Lodką. Nie było tak źle, ale zawsze zostawałyśmy trochę z tyłu i ostatnie dojeżdżałyśmy na miejsce odpoczynku.

Po obu stronach drogi leżeli martwi Niemcy. Patrzyłyśmy na zwłoki niemieckich żołnierzy, którzy zapewne kiedyś uważali się za niezwyciężonych. Sowiecki atak chyba Niemców kompletnie zaskoczył. Niektórzy trzymali jeszcze w dłoniach karty do gry, inni leżeli w grupach albo zginęli we śnie i wyglądali, jakby spokojnie odpoczywali. Od początku wojny widziałyśmy wiele trupów. To był powszechny widok. Mijając ich, myślałyśmy o naszych tragediach – o cywilach, starcach, kobietach i dzieciach zabijanych bez żadnego powodu, bez litości. Szłyśmy w milczeniu. Nie opuszczała nas silna tęsknota za rodzinami. Drzewa przecięte były w połowie przez czołgi. Wszędzie panowało zniszczenie i śmierć.

Sowieci nie zatrzymywali Włochów, mimo że nosili mundury, może dlatego, że w końcu odmówili walki u boku Niemców. Włosi jednak nie ośmielali się prosić Sowietów o cokolwiek. Po wyjściu z lasu w pobliże zabudowań zobaczyłyśmy dwóch rozmawiających ze sobą sowieckich żołnierzy. Kiedy podeszłyśmy, spytali, czy jesteśmy głodne. Włosi pomagali nam, jak tylko mogli, ale wciąż czułyśmy głód. Jeden z żołnierzy przyjaźnie zapraszał nas do wnętrza domu. Weszłam i spojrzałam w drugi koniec pokoju, za stół. Leżał tam pod ścianą stos ciał martwych Niemców. Zrobiło mi się niedobrze. Żołnierze proponowali mi jedzenie, odcięli kawałek chleba i kiełbasy. Wycofałam się.

– Nie mogę – powiedziałam; nie skorzystałam z ich gościnności.

– Nie bój się – odezwał się żołnierz. – Oni nie żyją. Nie będą cię już torturować. Musisz żyć. Nie zapominaj, co zrobili wam i waszym rodzinom. – Miał rację, ale nadal nie byłam w stanie niczego przełknąć. Wyszłam bez słowa. Zawołał mnie z powrotem, dał mi cały bochenek chleba i kawał kiełbasy.

Kilka dni później mijaliśmy już przy drodze zupełnie puste domy. Włosi wyruszali na rowerach do dalszych wsi w poszukiwaniu żywności. Czasem nie udawało im się nic znaleźć. Ich lekarz, trochę znający niemiecki, zaprosił mnie na kawę, którą przygotował i podał jeden z żołnierzy. Rozmawialiśmy kilka godzin; piłam w tym czasie kawę i paliłam papierosy, a lekarz wypytywał mnie o obozy koncentracyjne i o rodzinę. Opowiedział mi też o sobie i o tym, jak podjęli decyzję rzucenia broni. Wypaliłam dwie paczki papierosów, wypiłam mnóstwo kawy, ale lekarz nie chciał już dać mi ani jednej tabletki aspiryny dla Lodki. Miał powód – odpowiadał za wszystkich żołnierzy, a mieli przed sobą jeszcze daleką drogę. Poradził jednak, żebym szukała na trasie placówki Czerwonego Krzyża i tam poprosiła o pomoc. Widziałam wcześniej takie prowizoryczne lecznice, ale nie przyszło mi do głowy szukać tam ratunku.

W najbliższym punkcie Czerwonego Krzyża dostałam od sowieckiego lekarza trochę tabletek. W drugim lekarz okazał więcej współczucia, a może miał więcej czasu, choć też był bardzo zajęty. Oczyścił Lodce ranę, dał jej tabletkę, a potem wziął mnie na bok i powiedział, że Lodka ma gangrenę, stan jest groźny i konieczna jest natychmiastowa operacja, żeby powstrzymać rozwój infekcji. Do szpitala wciąż było jeszcze daleko. Lodka naprawdę nie była moja przyjaciółką. Mieszkała w tym samym baraku w Skarżysku-Kamiennej, gdzie rozdzielałam chleb i odpowiadałam za utrzymanie porządku. Spała niedaleko mnie. Kiedy wychodziłam z tyfusu i byłam głodna, sprzedała swoje buty, żeby kupić mi chleb. Nasze stosunki wykraczały poza to, co rozumie się przez słowo przyjaźń.

Tymczasem zakradła się między nas niezgoda. Rosa i Rachela nie chciały już iść razem z nami; poszły naprzód, zresztą każda z osobna. Rachela miała przezwisko Grymaśnica; kiepski nastrój zdarzał się jej dość często. Teraz jednak obie były na mnie złe, a wszystko z powodu kłótni o dzbanek śmietany znaleziony przez Rosę w opuszczonym domu. Radziłam jej, żeby nie piła, bo śmietana jest tłusta, a nasze wygłodzone żołądki są zbyt wrażliwe. Nie posłuchała i wypiła pół dzbanka. W chwili gdy Rachela zamierzała wypić resztę, wyrwałam jej dzbanek i odrzuciłam. Zdawałam sobie sprawę, że nie było to uprzejme, ale bałam się, że zachoruje. Teraz nie odzywały się do mnie. Byłam zbyt dumna, żeby przepraszać. Co gorsza, musiałam sama ciągnąć wózek z Lodką. Rosa rzeczywiście dostała biegunki. Miała kłopot i nikt nie mógł jej pomóc.

Włoski oficer, który najczęściej dzielił się z nami jedzeniem, przyszedł porozmawiać ze mną. Przy pomocy skomplikowanej gestykulacji służącej nam do porozumiewania się oraz jeszcze paru słów przekazał, że rozmawiał na mój temat z generałem, który zgodził się zaopiekować się mną w drodze do Włoch. Tam zwróci się do władz cywilnych o pozwolenie na pobyt we Włoszech dla mnie. Namawiał mnie, żebym to przemyślała. Pomysł wart był zastanowienia. Byłaby to okazja, by przeciąć związki z Polską i skończyć ze wszystkimi cierpieniami, które dotknęły mnie tam dlatego, że jestem Żydówką. Moi rodzice nie żyli; nie miałam pojęcia, co się stało z siostrą. Zamierzałam szukać jej, gdy tylko się gdzieś zaczepię, wiedziałam jednak z doświadczenia życia wśród chrześcijan, że w razie potrzeby znów wypomną mi żydowskie pochodzenie. Bardzo chciałam też kogoś mieć; kogoś, kto by się mną zaopiekował. Sądzę, że byłam zmęczona samotnością, walką we własnej obronie, klęskami, które zdarzały się, gdy opuszczały mnie siły. Wtedy jednak cały ten pomysł wydał mi się bezsensowny, marzenia niedorzeczne, a myśli głupie. W końcu wytłumaczyłam sobie, że mam jeszcze czas, żeby o tym pomyśleć.

Szliśmy teraz wolniej. Trudno mi było nadążać, ciągnąc wózek. Mimo to zawsze znajdowałyśmy przygotowane dla nas

miejsce do spania. Gdy było na piętrze, ktoś pomagał mi wnieść wózek i Lodkę. Niezależnie od tego, czy przeszliśmy w ciągu dnia dwadzieścia, czy tylko piętnaście kilometrów, Włosi zawsze zatrzymywali się na noc. Rosa i Rachela wciąż były na mnie obrażone, ale spały z Lodką i ze mną w tym samym pokoju i jadły wszystko, co dostawałyśmy od oficera.

Kilka dni później przyszedł z kolegą, artystą, który przyniósł ze sobą blok i zamierzał narysować mój portret. Nie zgodziłam się mimo jego próśb. Do dziś nie wiem, dlaczego to zrobiłam; nawet dziewczęta były zdziwione.

Generał oznajmił mi, że po następnym postoju będziemy musieli się rozdzielić. Po południu tego dnia dotarliśmy do jakiegoś małego miasteczka. Domy były zupełnie puste; nie mieliśmy do jedzenia kompletnie nic. Rano włoski oficer powiedział mi, że kilka ulic dalej widział piekarnię, w której Sowieci piekli chleb dla swoich żołnierzy. Nie mógł ich poprosić o nic, bo Włochy razem z Niemcami i Japonią należały do państw Osi. Nie wiedział, jak im wytłumaczyć, że wszyscy w końcu odmówili walki z Sowietami i aliantami. W tamtych czasach każdy był podejrzliwy. Włożyłam sztuczne futerko i szalik i poszłam do piekarni. Rosa i Rachela niechętnie obiecały doglądać Lodki.

Człowiek kierujący piekarnią oświadczył, że musi się rozliczać przed swoim przełożonym z każdego bochenka chleba. Wojna czy nie wojna, Sowieci mieli swoje przepisy. Przejął się jednak tym, że jesteśmy głodne. Poradził mi, żebym sporządziła listę co najmniej pięćdziesięciu osób i złożyła oficjalną prośbę o pomoc humanitarną dla ludzi zdanych na własne siły. Brzmiało to uczciwie. Wróciłam do dziewcząt, które czekały na mnie z niepokojem. Przeszukałyśmy dom i znalazłyśmy kawałek pakowego papieru i ogryzek ołówka. Łamałyśmy sobie głowy, wymyślając pięćdziesiąt nazwisk. Natychmiast wróciłam do piekarni z listą i dostałam piętnaście bochenków chleba. Dwa wzięłam dla nas, a resztę oddałam Włochom. Cieszyłam się, bo zasłużyli na to. Pomagali nam i karmili przez całą drogę.

W końcu pożegnaliśmy się. Podziękowałam generałowi i lekarzowi. Oficer, który proponował mi, żebym razem z nim wróciła do Włoch, wracał kilka razy na swoim rowerze, żeby mnie uściskać i ucałować. Kusiła mnie jego oferta, ale nie mogłam zostawić Lodki. Pamiętałam, jak niepokoił się jej stanem lekarz z Czerwonego Krzyża. Wierzyłam, że sprawy jakoś się ułożą.

Dzień był ciepły i słoneczny. Przechodziliśmy powoli przez małe miasteczko. Na murach widniały hasła na cześć 1 Maja, Święta Pracy. Po raz pierwszy od dawna zobaczyłyśmy jakąś datę. Tak długo żyłyśmy bez kalendarza, bez zegarka, zapomniane przez świat. Nagle przypomniało mi się, jak mama nie puszczała nas do szkoły w dniu Święta Pracy z powodu częstych starć robotników z policją. Tu dla odmiany widziałam otwarcie prezentowane hasła i wieńce ozdabiające portrety założycieli partii komunistycznej. To było w Polsce całkowicie zakazane.

Wyglądało na to, że uroczystości odbyły się zaledwie kilka dni wcześniej. Kwiaty jeszcze nie zwiędły. Teraz jednak ulice i droga były zupełnie puste. Z rzadka tylko przejeżdżał jakiś pojazd. Szłyśmy same, przerażone. Zajrzałyśmy do paru domów. Niemcy musieli je opuszczać w wielkim pośpiechu. Kuchnie były jeszcze ciepłe, jedzenie stało na stołach. Podejrzewałam, że mieszkańcy ukrywają się gdzieś w środku i bałam się ruszyć cokolwiek, zresztą sądziłam, że żywność może być zatruta. Spanie w opuszczonym domu też wydawało mi się pułapką. Ale iść samemu także nie było bezpiecznie. Niemcy mogli nas w każdej chwili zaskoczyć i wziąć odwet. Wojna na ich terytorium stała się i dla nich katastrofą; w końcu i oni też ucierpieli. W takim zamieszaniu ktoś mógłby nas pomylić z kim innym i zapłaciłybyśmy za to życiem. Jedynymi ludźmi, którzy z pewnością nigdy by się nie mścili, byli Żydzi, którym wymordowano rodziny i odebrano wszystko, co mieli. Jeśli jednak przeżyli, byli osłabieni wojennymi przejściami, zastraszeni i rozproszeni.

Lodka miała wysoką gorączkę. Błyszczące niebieskie oczy były wpół przymknięte. Nadchodziła noc i musiałyśmy znaleźć jakiś dach nad głową. Obawiałyśmy się wchodzić do jakiegokolwiek domu, ale w końcu doszłyśmy do wniosku, że marsz nocą byłby jeszcze bardziej niebezpieczny. Postanowiłyśmy wejść do domu, w którym już schroniło się sporo ludzi. Kilku mężczyzn było w mundurach, inni w cywilnych ubraniach. Nie spałyśmy, siedziałyśmy tylko na podłodze w korytarzu wejściowym.

Późno w nocy usłyszałyśmy strzały, jakby wybuchy fajerwerków. Na ulicach czerwonoarmiści krzyczeli: „Mir! Mir!". Mężczyzna w mundurze mruknął: „Koniec wojny". Nie wyglądał na uszczęśliwionego zwycięstwem Sowietów. Później zorientowałyśmy się, że był z ukraińskiego oddziału, który u boku Niemców walczył z Sowietami. Nie przetłumaczyłam dziewczętom tego słowa, na które tak długo czekałyśmy. Poza tym jeden uśmiech na twarzy mógł oznaczać dla nas koniec.

Rano ruszyłyśmy w dalszą drogę. Oficjalne zakończenie wojny niewiele dla nas znaczyło. Nadal nie wiedziałyśmy, czego się spodziewać. Nie byłyśmy wolne, bo nie wiadomo było, co się zdarzy za godzinę. Ominęło nas podniecenie i uroczystości zakończenia wojny, tak jak ominęły nas też ceremonie pogrzebowe po śmierci naszych najbliższych.

Po południu zobaczyłyśmy maszerującą przed nami dużą grupę Ukraińców. Już prawie ich mijałyśmy, kiedy nagle otoczyli nas sowieccy żołnierze i razem z innymi zapędzili z wrzaskiem do jakiegoś majątku. Cały tłum – kilkuset mężczyzn i nas, cztery dziewczyny – wepchnięto do stodoły. Znalazłyśmy się w środku, blisko jedynego wyjścia, zamkniętego z zewnątrz, żeby nikt nie mógł uciec. Po jakimś czasie, zmęczone, położyłyśmy się na ziemi. Ścisk był taki, że bałam się zamknąć oczy. Późno w nocy rozmawiałam mieszaniną polskiego i rosyjskiego z leżącym obok mnie mężczyzną. Musiałam też pilnować Lodki. Zła byłam na siebie, że zabrakło mi odwagi, by wyjaśnić Sowietom, że nie należymy do całej tej grupy.

Wczesnym rankiem drzwi do stodoły szeroko otwarto. Znów rozległy się wrzaski. Kazano nam ustawić się w wielkim kole na podwórzu gospodarstwa. W środku stanęli dwaj sowieccy dowódcy. Krzykiem wzywali wszystkich do siedzącego przy stole oficera. Leżał przed nim papier i pióro do zapisywania nazwisk, miejsc urodzenia i jednostki, w której służyli ludzie. Stałyśmy, czekając na swoją kolej. Zastanawiałam się, jak podejść do sowieckich dowódców i opowiedzieć im swoją historię, ale nic nie potrafiłam wymyślić. Wczoraj przegapiłam okazję, a dziś wciąż brakowało mi odwagi. Sowieci wrzeszczeli nieustannie, tak wściekle, że można było naprawdę się przerazić. Nie byłam w stanie ruszyć się z miejsca. Łamałam sobie głowę, ale nic sensownego nie przychodziło mi do głowy. Dookoła wszyscy przerzucali się kpinami i żarcikami i rozmawiali, nie zwracając specjalnej uwagi na to, co się dzieje.

– Palisz, mała? – spytał mężczyzna stojący obok mnie. Powiedziałam, że palę, i wtedy dał mi kawałek gazety, a z kieszeni wyjął szczyptę tytoniu. Nie pytał, czy umiem zwijać papierosa, ale przyglądał się, jak to robię, uśmiechnął się i podał mi ogień. Kiedy sytuacja była niepewna, zawsze uważałam, że warto znaleźć z kimś coś wspólnego. Przyjęłam od niego papierosa i to nas jakoś połączyło. Był wysokim blondynem, miał pewnie dwadzieścia osiem albo trzydzieści lat. Natychmiast zaczął swobodną, ale bardzo cichą rozmowę. Dziewczyny kręciły głowami z niedowierzaniem, widząc, jak palę w towarzystwie obcego człowieka. Nie wiedziałam, czy to do czegoś prowadzi, ale już miałam sojusznika.

Nagle, w trakcie rozmowy, poczułam, że dobry nastrój tłumu prysnął. Nie wiedziałam, dlaczego wszyscy wyglądali na zdenerwowanych, aż mężczyzna obok mnie nachylił się do mojego ucha i powiedział:

– Ci dwaj dowódcy to Żydzi.

W ułamku sekundy rzuciłam papierosa, przydeptałam go i ruszyłam wprost do dowódców, dobre dwadzieścia metrów. Pa-

trzyli na mnie zdumieni. Wciąż pamiętam ich zdziwione spojrzenia i wychylone do przodu ciała. Nie wiem, jak się na to odważyłam.

– Jestem Żydówką z obozu koncentracyjnego – wyrzuciłam z siebie – a to moje przyjaciółki. – Wskazałam ręką na dziewczęta.

Reakcja była niesamowita. Jeden z dowódców objął mnie i ucałował.

– Jidisze kinder! (Żydowskie dzieci!) – powiedział do drugiego, który też mnie uściskał i ucałował, nie spuszczając oka ze stojących w kole mężczyzn. Przywołałam ręką dziewczyny. Ten pierwszy dowódca zabrał nas do kuchni, ale niewiele mógł nam dać. Sami nie mieli co jeść. Był tam tylko kawałek starego, sczerstwiałego chleba i trochę zimnej kawy. Pytał, jak nam się udało przeżyć, gdzie byłyśmy; słuchał naszych opowieści ze łzami w oczach. Spytałam o lekarza. „To tylko patrol", odparł. Spytał, dlaczego nie przyszłam do niego wczoraj; nie musiałybyśmy spędzać nocy w stodole z Ukraińcami. Zdążyłam już się odprężyć i powiedziałam:

– Za każdym razem, kiedy chciałam podejść, krzyczałeś tak głośno, że bałam się ruszyć. Ktoś musiał się ciebie bać.

Uśmiechnął się, zadowolony, że przeraził przynajmniej jedną osobę. Potem z wściekłością zaczął mówić o Ukraińcach.

– Wiecie, co zrobili? Przebrali się z mundurów w cywilne ubrania i udawali uchodźców. Walczyli razem z Niemcami przeciw Sowietom! To zdrajcy! – Miał powody do rozjuszenia. Nie miałyśmy pojęcia, co działo się w czasie wojny gdzie indziej; znałyśmy tylko swoje losy. Pomyślałam, że lepiej zmienić temat rozmowy, i grzecznie powiedziałam, że moja przyjaciółka musi być pilnie operowana, bo jej życie jest w niebezpieczeństwie.

Okazało się, że sam nie może mi pomóc, bo jest zajęty i nie ma żadnego pojazdu, ale do szpitala mamy niedaleko. Wszyscy jego ludzie są na drodze, wyłapują zdrajców. Poradził mi iść prosto naprzód aż do miejscowości Rauscha, później nazwanej

Ruszów, gdzie znajdę szpital. Pocałował mnie jeszcze raz i załadowaliśmy Lodkę na wózek. Przeszedł z nami kilka kroków, pokazując drogę. Odchodząc, słyszałyśmy, jak krzyczy na ukraińskich kolaborantów.

Żadnych więcej żołnierzy już na szosie nie widziałyśmy. Po lewej stronie ciągnęły się zielone pola, po prawej las. Była wiosna. Nieco dalej, nie wiadomo skąd pojawił się polski oficer w mundurze. Zatrzymałam go i spytałam, jak daleko do szpitala. Zdziwił go nasz widok.

– Amchu? Amchu? – spytał najpierw. Już wiedziałyśmy, co to znaczy.

– Polki – odpowiedziałam. Doskonale wiedział, gdzie jest szpital, bo jak się okazało, był tam dentystą. W końcu udało nam się dotrzeć pod same szpitalne drzwi.

Nowi opiekunowie

Wbiegłam do środka, wołając doktora. Ktoś do mnie od razu wyszedł; był to chirurg ze Lwowa; średniego wzrostu, siwy, koło pięćdziesiątki. Wyszedł ze mną do Lodki i pomógł mi wnieść ją i położyć na łóżku. Obejrzał ranę i potwierdził, że konieczna jest natychmiastowa operacja. Błagałam go, żeby ją operował.

– Nie mamy pieniędzy – powiedziałam – ale mogę tu pracować tak długo, jak długo Lodka będzie musiała tu zostać.

– Co, ty? Tutaj? – roześmiał się. – Ze wszystkimi tymi żołnierzami naokoło? To zbyt niebezpieczne. Ale nie martw się. Mam tu kilku żołnierzy, którym ufam. Zaopiekują się tobą. Zaczekaj.

Wszedł i po chwili wrócił z czterema artylerzystami z Czerwonej Armii. Odnieśli rany w bitwie nad Łabą, którą niedawno oglądałyśmy na własne oczy. Jeden był ranny w piętę, drugi w udo, trzeci miał głowę owiniętą bandażami. Czwarty, kierowca czołgu, ciągnął za sobą jedną nogę, rękę miał na temblaku, a usta zdeformowane od uderzenia odłamkiem szrapnela, który rozbił mu na pół przednie zęby. Gdyby nie poważna sytuacja, tworzyliby komiczną grupę. Ci chodzący ranni byli jedynymi, którym lekarz mógł z zaufaniem powierzyć opiekę nad nami. Byli młodzi, zaraz po dwudziestce, ale wszyscy mieli za sobą okrutne doświadczenia kilku lat wojny. Najpierw spojrzeli na nas z zaciekawieniem. Potem nagle ten z obandażowaną głową z zachwytem podniósł mnie do góry i obrócił się wokół. Kiedy stawiał mnie z powrotem, napotkał niezadowolone spojrzenie doktora. I na tym się skończyło.

Doktor zabrał Lodkę i poszedł przygotować się do operacji. Żołnierze też wyszli na chwilę, a gdy wrócili, zaprowadzili mnie do apteki. Mieszkanie aptekarza na górze było puste. Błyskawicznie znieśli tam materace, chleb, wódkę, papierosy i cukierki, wszystko zabrane ze szpitalnej kuchni i z innych miejsc. Kilka godzin później przynieśli ze szpitala Lodkę i ostrożnie położyli ją na materacu. Kiedy trzeba było jej zmieniać opatrunki, zanosili ją do szpitala, a potem przynosili z powrotem. Opiekowali się nami naprawdę troskliwie.

Wiadomość o nas, ocalonych dziewczynach, rozeszła się po oddziałach. Duża grupa polskich oficerów, Żydów, zorganizowała spotkanie z nami w nadziei, że dowiedzą się od nas czegoś o swoich rodzinach. Lodka wciąż jeszcze dochodziła do siebie, nie mogła więc przyjść, a Rachela przechodziła kolejny kryzys nastroju i nie chciała uczestniczyć w spotkaniu. Poszłyśmy więc we dwójkę z Rosą, w towarzystwie naszych opiekunów. Usiadłyśmy przy dużym stole, a żołnierze stali naokoło i zadawali pytania w rodzaju: „Widziałyście moją siostrę? Jest mniej więcej w waszym wieku". Jeden z nich, wysoki mężczyzna, podał nazwę miasta, z którego pochodzili. Wymieniali nazwy miast i wsi, imiona i nazwiska sióstr, matek, kuzynów, ojców i braci. Nastrój stawał się coraz bardziej przygnębiający. W powietrzu czuło się rozczarowanie. Nie znałyśmy nikogo z ich krewnych. Tyle było obozów, dużych i małych; obozy przejściowe, obozy pracy, obozy śmierci. A oni byli z innych stron, mówili innymi językami, mieli inne zwyczaje, wyrzucono ich z innych miejsc. Słuchali naszych opowieści w milczeniu, palili papierosa za papierosem. Czasem ktoś przerwał pytaniem. Czasem ktoś wspomniał, że był w jakimś opisywanym przez nas miejscu i walczył tam z Niemcami. Smutna była świadomość, że nie mają wielkich szans odnalezienia kogoś żywego, zwłaszcza z małych miasteczek. Wróciłyśmy do naszych pokoi z okropnym poczuciem, że ich zawiodłyśmy.

Do grupy naszych opiekunów dołączył jeszcze jeden żołnierz. Miałam wrażenie, że niespecjalnie chce mu się za nas odpowiadać, ale lubi nasze towarzystwo. Pojawiał się od czasu do czasu, chwilkę rozmawiał i śpiewał po rosyjsku tanga. Na imię miał Dawid. Nie wiem, czemu wszyscy zwracali się do niego po imieniu, a nie stopniem jak do pozostałych. Wydawało mi się też, że czuł skrępowanie, kiedy w pobliżu był kierowca czołgu – zresztą wszyscy tak się zachowywali, prócz wysokiego, jasnowłosego kaprala artylerii, tego z obandażowaną głową. Kiedy pojawiał się czołgista, w pokoju czuło się napięcie, nie potrafiłam jednak powiedzieć, czy wynikało to z szacunku, czy ze strachu. Jasnowłosy kapral był chyba z nim zaprzyjaźniony i bez problemów przyjmował od niego rozkazy.

Oficer ranny w piętę był wysokim, przystojnym brunetem. Przypuszczałam, że swój stopień zawdzięczał powierzchowności. Był leniwy, ale miał zniewalający uśmiech. Lubił towarzystwo Rosy i miał talent do pojawiania się nagle, zawsze wtedy, kiedy coś ugotowałyśmy. Nie była to moja specjalność. Nie umiałam gotować, choć potrafiłam zrobić deser z suszonych owoców – należało tylko dodać wody i cukru i gotować przez pół godziny. Oficerowie przychodzili i odchodzili, czasem przyprowadzali w odwiedziny jakiegoś żołnierza ze szpitala. Prawdę mówiąc, nikt nie rwał się do opiekowania się nami, z wyjątkiem tych pierwszych, którym doktor powierzył ten obowiązek. Miałyśmy jednak zawsze jedzenia pod dostatkiem. Nasi opiekunowie wiele razy wyprawiali się do innych miast w poszukiwaniu żywności. Nie brakowało nam niczego i tylko czekałyśmy, aż wyzdrowieje Lodka, która zresztą z dnia na dzień czuła się lepiej. Nadal zamierzałyśmy wracać do Polski, ale nie miałyśmy pojęcia, jak mogłybyśmy tam się dostać. Lodka była zdecydowana wracać. Jak mówiła żołnierzom, ma przeczucie, że w Polsce znajdzie kogoś z rodziny, kto przeżył. Poza tym nie mogłyśmy zostać w Rauschy. Choćby dlatego, że czołgista był już zmęczony chronieniem nas.

Pewnego dnia przystojny oficer powiedział mi, że żona doktora, też zresztą lekarka, chce ze mną porozmawiać. Miała swój gabinet w szpitalu.

Przywitała mnie pogodnym uśmiechem i poprosiła, żebym usiadła naprzeciw niej, przy biurku. Spytała o rodzinę, o to, jak udało mi się przeżyć obozy. Gawędziłyśmy przez chwilę i w końcu przeszła do rzeczy.

– Zaprosiłam cię, bo widzę, jak lojalna jesteś w stosunku do przyjaciółki. Bardzo chciałabym, żebyś poznała mojego brata. Jest młodym lekarzem, przystojnym i bardzo inteligentnym mężczyzną. Niedługo wróci z frontu i jestem pewna, że z radością cię pozna. Myślę, że jesteś właściwą dziewczyną dla niego. Zaczekaj na niego. Możesz tu zostać, jak długo zechcesz.

Mój umysł pracował powoli. Może gdybym zależała tylko od siebie, mogłabym podjąć szybką decyzję, polegając na własnej intuicji. Ale nie byłam sama. Podziękowałam i obiecałam, że to przemyślę. Wyszłam na ulicę i natychmiast pomyślałam o Lodce, która wciąż jeszcze była słaba i potrzebowała mnie. Nie chciałam zostawiać jej samej, zresztą tamtych dwóch dziewcząt też nie. Z drugiej strony – czy dotrzemy do Polski? Nie byłam przekonana, że powrót tam jest w moim przypadku dobrym pomysłem. Miałam pewność, że nikt z mojej rodziny nie żyje.

Nie wiedziałam, co robić. Potrzebowałam czyjejś rady i postanowiłam porozmawiać z kierowcą czołgu. Był człowiekiem poważnym; odzywał się rzadko. Wciąż nie wiedziałam, czy jego towarzysze boją się go, czy szanują, ale nie czułam żadnych obaw.

Czołgista miał szerokie bary, przeciętny wzrost i czarne jak smoła, lśniące włosy. To on otworzył właz swojego czołgu i wołał: „Amchu?" w pobliżu Łaby. Później został ranny. Medale za odwagę nosił w kieszeni, nigdy nie przypinał ich do munduru. Opowiedziałam mu o swojej rozmowie z lekarką. Słuchał uważnie, a potem szybko zareagował:

– Skąd wiesz, że wróci z frontu cały? Pod sam koniec wojny zostałem ranny – ciągnął z goryczą. – Wystarczyło kilka

sekund. Jeszcze czuję skutki wstrząsu mózgu. Kto wie, czy on jeszcze żyje! – Przerwał, a potem dodał szorstko – Zamierzam zabrać was wszystkie do Polski pociągiem wojskowym. – Z tymi słowami wyszedł. Zdumiałam się, jak szybko podejmuje decyzje, kiedy jest taka potrzeba.

Następnego popołudnia był bardziej otwarty.

– Właśnie władowałem do pociągu grupę ludzi z obozu koncentracyjnego – opowiadał mi. – Stałem z nimi w środku wagonu, kiedy pociąg ruszył, wyskoczyłem.

Wiele lat później powiedziała mi Alina, że ona i jej wiekowa przyjaciółka były w tej grupie. Kiedy zobaczyła mnie w towarzystwie czołgisty, rozpoznała go.

– Co będzie, jeśli ktoś ich zobaczy? – spytałam.

– Nic – odpowiedział. – Ale my pojedziemy legalnie.

To był przypadek, że ci ludzie zostali porzuceni właśnie w tym miejscu, i kolejny dar losu, że pociąg zatrzymał się na tej stacji. Mieli też szczęście, że to czołgista znalazł się tam wtedy i zajął się nimi. Przypuszczałam, że po naszej rozmowie z poprzedniego dnia poszedł spytać o pociągi. Jeździły, owszem, ale bez żadnego rozkładu. Najwyraźniej nie podobał mu się pomysł, żebym czekała na powrót młodego lekarza z frontu. Im szybciej udałoby mu się zabrać nas do Polski, tym lepiej dla niego – nie będzie musiał zajmować się nami dłużej.

– Ciekawa jestem, co zrobimy w Polsce? – spytałam. – Nie mam rodziny, nie mam gdzie mieszkać, nie mam pieniędzy. Poza tym nie wpuszczą nas do wojskowego transportu – wykręcałam się.

– Zostaw to mnie – odparł. – Jak dojedziemy, umieszczę cię w domu i będę ci wysyłał żołd, dopóki się nie urządzisz. Z czasem znajdziesz kogoś, kto się tobą zaopiekuje. Ja odnajdę swój oddział i wrócę do wojska.

– Zobaczymy – mówiłam bez przekonania. Dopóki podejmował decyzje w moim imieniu, nie czułam się na siłach zajmować się swoimi sprawami. Wiedziałam jednak, że w końcu będę

musiała sama dbać o siebie. Postanowiłam czekać i zobaczyć, co się wydarzy. Nie wiedziałam, czego chcę. Z drugiej strony Lodka miała silne przeczucie, że ktoś z jej rodziny żyje. Chciała wracać do Polski za wszelką cenę. Grymaśna Rachela siedziała spokojnie i trudno było zgadnąć, co myśli.

Reszta żołnierzy zachowywała dystans w stosunku do czołgisty. W rozmowie z nim albo o nim nazywali go *starszina*, starszy sierżant. Zauważyli nasze rozmowy i zaczęli podpytywać mnie, czemu z nim rozmawiam i co mi zaproponował. Jego przyjaciel, kapral, powiedział mu, co się dzieje. Po raz pierwszy czołgista poradził mi, żebym była ostrożna.

– Są zazdrośni – powiedział. – Wszystkim się podobasz, ale nie mają odwagi zbliżyć się do ciebie. Mówią, że za wysokie progi, że trzeba mieć dużo pieniędzy, żeby zaspokoić twój gust.

Prawdę mówiąc, sama nie wiedziałam, co mi się podoba, nawet kim jestem. Zorientowałam się jednak, że czołgista traktuje mnie poważnie.

W małej Rauschy pojawili się nowi ludzie. Byli wśród nich i oportuniści. Dawid, który śpiewał tanga, spotkał raz na ulicy dwóch takich przybyszów i zawarł z nimi znajomość. Powiedzieli mu, że są partyzantami. Jeden z nich podał swoje nazwisko, przypadkiem takie samo jak nazwisko przystojnego oficera. Dawid przyprowadził ich więc do nas, wiedząc, że wszyscy rozpaczliwie szukamy po wojnie swoich bliskich. Mężczyzna powiedział, że istotnie jest kuzynem oficera. Nie było sposobu dowieść mu, że kłamie, bo oficer już wyjechał do swojego oddziału.

Usiedli przy stole i czekali na czołgistę. Przywitał się z nimi przyjaźnie, zwłaszcza że Dawid już go uprzedził, że jeden z nich jest kuzynem „naszego" oficera. Wyszedł później, razem z Dawidem, po wódkę, żeby to uczcić. Każdą okazję wtedy czciło się wódką. Zostałyśmy same z obcymi. Nagle ten z nich, który twierdził, że jest kuzynem przystojnego oficera, wyjął broń. Bawił się nią, a potem przystawił mi ją do głowy. Zmartwiałam z przeraże-

nia. Nawet nie otworzyłam ust. I wtedy usłyszeliśmy skrzypienie na schodach. Wrócili. Odetchnęłam. Nie powiedziałam czołgiście, co się stało; dziewczyny też wyparły to z pamięci. Czołgista wspomniał przybyłym, że wybiera się do Polski i zabiera nas ze sobą. Jeden z nich zaprosił wtedy nas wszystkich do siebie, do Łodzi, gdzie mieszkał z żoną.

Później zorientowałam się, że słusznie zrobiłam, nie mówiąc czołgiście nic o incydencie z obcym. Jako jeden z niewielu rannych mógł zatrzymać swój pistolet i potrafił się nim posługiwać. Ne wypuściłby tamtego żywego, gdyby dowiedział się, co zrobił – nawet gdyby to miał być żart. Na szczęście uniknęłam przykrego przeżycia. Czołgista miał siedemnaście lat, gdy wstąpił do wojska. Tak jak innych, nauczono go taktyki wojennej: zabijaj bez litości, bo inaczej zabije cię wróg. Jak już wyciągnąłeś rewolwer, musisz strzelić. Ta okrutna wojna zrodziła dzikich, nieopanowanych żołnierzy, którzy najpierw strzelają, a potem zadają pytania. Spomiędzy tych, co przeżyli, najodważniejsi dostawali medale. Martwi byli tylko statystyką, ofiarami wojny.

Wszyscy dochodzili do siebie. Rany żołnierzy się goiły. Lodka trochę kulała, ale poza tym czuła się dobrze. Z ulgą patrzyłam, że znów porusza się na własnych nogach. Wszyscy nabieraliśmy sił i zdrowia z każdym dniem. Rauscha stawała się jednak niebezpiecznym miejscem. Niemal codziennie pojawiali się tam obcy szukający czegokolwiek, co można byłoby ukraść. Zabierali nam, co popadło. Kiedy nie chciałam jednemu z nich oddać roweru i ślicznej lalki, którą dostałam od czołgisty, zagroził mi bronią. Nie stawiałam oporu. Czołgista śmiał się, że nie umiem się bronić, a gdy się poskarżyłam, że wszyscy są ode mnie silniejsi, powiedział, że przyniesie mi rewolwer.

Któregoś dnia Rosę rozbolał brzuch. Zeszłam do apteki po jakiś środek i zobaczyłam sowieckiego żołnierza z karabinem. Odwróciłam się i chciałam wyjść, wtedy zatrzymał mnie i spytał, czego szukam. Odparłam, że kropli walerianowych dla przyjaciółki. W sekundę znalazł właściwą buteleczkę. Po czym,

ku memu zdumieniu, zdjął z półki drugą butelkę i wypił jej zawartość jednym haustem. Osłupiałam. Spytałam go, czy wie, co pije. „Owszem – odpowiedział – jestem farmaceutą". Zapewne tak było, bo krople znalazł momentalnie.

Często ludzie odwiedzali nas z czystej ciekawości. Kiedyś przyszedł pułkownik Armii Czerwonej. Był to sowiecki Żyd, potężny mężczyzna, bardzo życzliwie nastawiony. Spytał, jak to się stało, że przeżyłyśmy, i przez chwilę z nami rozmawiał. Potem powiedział mi, że mieszka w Związku Sowieckim razem z żoną, dwojgiem dzieci i matką, która chętnie by się mną zaopiekowała, bo wycierpiałam już wystarczająco dużo.

Propozycja była naprawdę kusząca. Podobała mi się najbardziej ze wszystkich, które do tej pory słyszałam, ponieważ moja matka urodziła się w Rosji, a ojciec służył w poprzedniej wojnie w armii rosyjskiej. Może moim przeznaczeniem było wrócić do Rosji, odnaleźć rodzinę matki, a nawet z nimi pozostać. Ale i tym razem czołgista miał inne pomysły.

– Skąd wiesz, że mówi prawdę? – spytał. – Nie ufaj ludziom, zostań tutaj.

Czołgista, jego jasnowłosy kapral i śpiewak Dawid postanowili eskortować nas do Polski. Czołgista zdobył od dowódcy pozwolenia na podróż dla całej trójki; mieli odszukać swoje jednostki, rozproszone po wszystkich okupowanych państwach. W końcu dowiedział się też, kiedy będzie transport. Spakowaliśmy się i poszliśmy na stację czekać na przyjazd pociągu.

Z powrotem w Polsce

Lokomotywa powoli wtoczyła się na stację. Pociąg był długi, złożony głównie z wagonów towarowych, do których doczepiono kilka osobowych. Czołgista znalazł w części towarowej pusty kryty wagon, który natychmiast zajęliśmy. Sunęliśmy nieprawdopodobnie wolno. Podróż do Łodzi zajęła bodaj tydzień albo i więcej, bo pociąg zatrzymywał się na każdej możliwej stacyjce i tkwił tam godzinami. Często wychodziliśmy na spacer, rozprostować nogi, umyć twarze i ręce. Na jednej ze stacji podszedł do czołgisty jakiś sowiecki oficer. Na pytanie, kim jestem, usłyszał od niego, że siostrą, i wtedy spytał, czy mógłby mnie pożyczyć na kilka minut. Niewiarygodne rzeczy zdarzały się w tamtych czasach. Samotne dziewczęta były w niebezpieczeństwie; miałyśmy szczęście, że ktoś się nami opiekował.

Poszliśmy pod adres wskazany nam przez mężczyznę, którego poznaliśmy w Rauschy, partyzanta. Rzeczywiście, mieszkał tam z żoną i nas pamiętał. Przyjęli nas i przez kilka dni wszystko było dobrze. Jednak któregoś ranka spytał czołgistę, dlaczego tak się mną zajmuje.

– Zostaw ją – radził. – Ona nie jest dla ciebie. Tu jest pełno samotnych dziewcząt. Co ty w niej widzisz?

Nie mówił cicho, wprost przeciwnie – chciał, bym słyszała jego słowa. Poczułam się zagrożona. Nic przecież o mnie nie wiedział, nawet tego, kim jestem. Rozmowa toczyła się dalej, aż usłyszałam, jak czołgista mówi:

– Kochasz swoją żonę? A ja kocham swoją.

Na tym się skończyło. Czołgista odwrócił się do mnie:

– Nie ruszaj się stąd. Nie wychodź – powiedział zdecydowanie. – Nie pozwól mu się dotknąć. Niedługo wrócę.

Moim przyjaciółkom też kazał mnie chronić.

Kiedy tylko zamknął za sobą drzwi, ten niby kuzyn popatrzył na mnie z pogardą:

– Nieważne, co mówił. Wcześniej czy później i tak cię zostawi.

Uśmiechnął się sarkastycznie. To był kolejny cios. Kilka godzin później wrócił czołgista i kazał nam zabrać rzeczy, bo wynajął pokój.

– Widzisz teraz, że nie można ufać ludziom? – powiedział znacząco. Potem dodał, że muszę jeszcze poznać życie i ludzi i że będą mnie oszukiwać, jeśli okażę im zaufanie. Zapamiętałam tę naukę na całe życie, choć to nie ja byłam tą, która zaufała kuzynowi.

Poszliśmy więc do nowej kwatery składającej się z jednego pokoju z piecem. Pierwszej nocy wszyscy spaliśmy na podłodze. Następnego ranka czołgista z kapralem przynieśli dwa łóżka, stół i kilka krzeseł. Dawid opuścił nas już w Łodzi. Kilka dni później Lodka poprosiła czołgistę o pieniądze na podróż do domu. Dał jej jakąś sumę i odprowadził na dworzec. Okazało się, że miała rację, twierdząc, że znajdzie kogoś z rodziny. Po miesiącu przyszedł list od jej brata. Dziękował mi za opiekę nad siostrą i zapraszał do siebie, na tak długo, jak będę chciała. Odnalazł się też wuj Lodki. Więcej od niej nie miałam wiadomości. Rachela też poprosiła o pieniądze i ją też czołgista odprowadził na stację. Widzieliśmy ją wtedy ostatni raz. Zniknęła i nigdy już o niej nie słyszeliśmy. Rosa bardzo tęskniła za swoim przystojnym oficerem i spytała czołgistę, czy mógłby ją do niego zaprowadzić. Pojechali razem do jego jednostki. Rosa przedstawiła się jako jego siostra, kapitan – choć niechętnie – zgodził się więc ją wpuścić. Okazało się, że przystojny oficer siedział w więzieniu za romans z żoną kapitana! Rosa wróciła z pustymi rękami i usiłowała o wszystkim zapomnieć.

Żydów, którzy przeżyli obozy i wracali do swoich domów, nie witano z entuzjazmem. Przed wojną Żydzi w Polsce byli po prostu Żydami. Po wojnie zostaliśmy ujęci w statystykach jako „obywatele polscy, którzy zginęli podczas wojny". Z mojego doświadczenia wynika, że starsze pokolenie Polaków nigdy nie opowiadało młodym, co naprawdę zdarzyło się w czasie wojny i zaprzeczało wszystkim barbarzyńskim faktom. Wielu Żydów, którzy wracali po wojnie do domów z nadzieją odzyskania swojej własności albo znalezienia rodziny, zabiły antysemickie bandy. Wszyscy wyobrażali sobie, że kiedy wojna się skończy, po prostu wrócą tam, gdzie mieszkali, gdy się zaczynała, i życie będzie się toczyć dalej. Wydawało się to dość rozsądne, ale wielu przypłaciło to życiem. Kiedy więc chciałam pojechać do Pruszkowa i do Warszawy poszukać kogoś z rodziny, poprosiłam czołgistę, żeby wybrał się ze mną. Nie pozwolił mi na wyjazd. Już wcześniej słyszeliśmy, że ludzie ginęli.

W Łodzi odwiedził nas z Rosą żydowski policjant ze Skarżyska-Kamiennej, który dowiedział się o naszym pobycie. Był jednym z tych dobrych, nazywaliśmy go Jabłuszkiem, bo miał rumianą twarz. Jako dobrze wychowany człowiek zaprosił nas na kawę do pobliskiej kawiarni. Czołgista na pewno nie pozwoliłby nam pójść, ale nie było go wtedy w domu. Innym niespodziewanym gościem okazał się mężczyzna, który odpowiadał za męski barak w Płaszowie, gdzie zostałyśmy z Aliną umieszczone jako niebezpieczne zbrodniarki. Przyszedł, żeby zaprowadzić mnie do Heńka, swojego brata. Heniek pytał o mnie. Leżał w szpitalu; przeżył, choć jak wspomniałam, został postrzelony w głowę krótko przed końcem wojny. Czołgista wstał wtedy, stanął między bratem Heńka i mną i powiedział:

– Ona jest ze mną i nigdzie nie pójdzie.

Ostatni raz miałam wtedy szansę zmienić swoje przeznaczenie.

W Łodzi, w tym samym domu, gdzie wynajmowaliśmy pokój, mieszkał na drugim piętrze ojciec z synem i dwiema córkami.

Żona i starszy syn zostali zabici w fabryce w Skarżysku-Kamiennej. Często mieli gości, między innymi ocalonych z Holokaustu, a także żydowskich żołnierzy spragnionych rodzinnej atmosfery. Ani czołgista, ani ja nigdy nie byliśmy u nich, ale Rosa ich odwiedziła. Spotkała tam oficera polskiego wojska, Mietka Wolmana, i przyprowadziła go do nas. Był przystojny, wysoki, miał ciemnoblond włosy i błyszczące, niebieskie oczy. Przywitał się ze mną serdecznie i spytał, kto jeszcze z nami mieszka. Powiedziałam mu o czołgiście i jego stopniu starszego sierżanta sztabowego.

– Jestem wyższy od niego rangą. Będzie musiał mi zasalutować pierwszy – oświadczył dumnie.

– Wątpię – powiedziałam. – On nikomu nie salutuje.

– Zobaczymy.

W tej samej chwili czołgista otworzył drzwi. Oficer rzucił na niego okiem i zerwał się na baczność; stał tak, dopóki tamten nie pozwolił mu usiąść. Czułam satysfakcję, choć pewnie nieco dziecinną. Czołgista był buntownikiem. Pewnie każdy, kto go znał albo o nim słyszał, wiedział, że nie jest łatwy w kontaktach. Wtedy nie rozumiałam, dlaczego ludzie się go boją. Mnie zapewne wystarczało, że jest ktoś, kto się mną opiekuje. Ale pomagał też innym. Cieszył się, gdy mógł wesprzeć kogoś w potrzebie.

Kilka miesięcy później Rosa wyszła za mąż za dumnego oficera; skromna religijna uroczystość odbyła się w mieszkaniu jednego z sąsiadów. Rodzina odstąpiła im jeden pokój. Nasza trójka: czołgista, kapral i ja wciąż trzymała się razem. Kapral często mnie irytował. Kiedy kupował torebkę wiśni, ostatnią zjadał przed wejściem do pokoju. Nigdy niczego nie przyniósł do domu, choć jadł i spał w tym samym pomieszczeniu. Nie wtrącałam się, bo był przyjacielem czołgisty. Poza tym, jak się później okazało, i tak nic by to nie pomogło.

Raz dał mi do przymierzenia białą skórzaną kurtkę. Bardzo ładnie w niej wyglądałam, ale kiedy spytałam, czy da mi ją w prezencie, odmówił. Próbowałam go przekonać, mówiłam,

że czołgista mu zapłaci, ale stwierdził, że nie przyjmie od niego żadnych pieniędzy. Byłam na niego zła i zażądałam, żeby się wyniósł. „Będę spał na podłodze pod drzwiami, ale zostanę tam, gdzie jest on", odparł spokojnie. Musiałam się roześmiać. To rzeczywiście była wierność. Opowiedziałam o tym czołgiście, ale nie usłyszałam ani jednego słowa pociechy. Byłam rozczarowana. Podobny wypadek zdarzył się na targu, gdzie zobaczyłam czerwone pantofle, idealnie pasujące na moją nogę. Rosa stwierdziła jednak, że czerwony kolor jest niepraktyczny i że kapryszę. Naprawdę mi się zamarzyły, ale nie miałam pieniędzy, a czołgista by mi ich nie kupił. Uświadomiłam sobie, że nigdy nie będę miała ostatniego słowa. Przyjaciół zawsze stawiał na pierwszym miejscu. Czy takie było moje przeznaczenie? Tak zakładałam. Dla niego oznaczałam dom i byłam wszystkim, czego potrzebował. Miał bardzo silną osobowość, ale czy właśnie to potrzebne było mnie?

Pewnego dnia postanowił, że pójdziemy do fotografa zrobić sobie wspólne zdjęcie. Czekaliśmy na swoją kolej, kiedy nagle pojawił się sowiecki kapitan. Podszedł wprost do czołgisty i zażądał okazania dokumentów, ponieważ ze wszystkich obecnych w poczekalni żołnierzy tylko on nie wstał natychmiast, by zasalutować. Czołgista pokazał dokumenty, podał swój stopień i liczne odznaczenia, łącznie z informacją, gdzie je zdobył. Na pytanie kapitana, gdzie ma medale, odparł, że w domu.

– Jeśli jeszcze raz zobaczę was bez medali i odznaczeń, aresztuję was – oznajmił kapitan. – Tym razem puszczam was, bo jesteście w towarzystwie tej młodej damy.

Zrugał go, po czym zaproponował mu do zdjęcia swój paradny mundur, ale czołgista nie przyjął oferty. Wielu żołnierzy nie okazywało już dumy z munduru i zamieniło go na cywilne ubrania.

Wkrótce dowiedzieliśmy się, że syn sąsiada z drugiego piętra był już dwa razy w Niemczech i wybiera się tam ponownie. Miał na imię Izaak, był mniej więcej w naszym wieku. Rosa

z mężem, czołgista i ja też rozmawialiśmy o wyjeździe z Polski. Przygotowaliśmy się i wyruszyliśmy razem z Izaakiem, który znał drogę. Kapral rozchorował się i nie pojechał z nami. I tak jesienią 1945 roku, po trzech czy czterech miesiącach spędzonych w ojczystym kraju, porzucaliśmy Polskę, by nigdy już do niej nie wrócić. Wiedziałam już wtedy, że moja siostra nie żyje.

Podróże

Bez trudu dojechaliśmy aż do Pragi. Cała Europa Wschodnia okupowana była przez Sowietów. Nie potrzebowaliśmy nawet paszportów ani dowodów tożsamości. W Pradze musieliśmy przesiąść się na pociąg do Monachium, leżącego już w strefie amerykańskiej. Oznaczało to przekroczenie punktu kontrolnego na granicy. Nie mieliśmy żadnych dokumentów podróży, położyliśmy się więc płasko na dachu wagonu i tak ukryci przekroczyliśmy granicę, po czym bez problemu weszliśmy do przedziału w wagonie osobowym. Dotarliśmy wreszcie do Monachium, a stamtąd pojechaliśmy do obozu dla bezpaństwowców w Feldafing, gdzie pod nadzorem Amerykanów żyło kilka tysięcy ludzi, którzy ocaleli z wojny.

Kilka miesięcy później, 16 lutego 1946 roku, czołgista i ja pobraliśmy się. Ślub brały jednocześnie trzy pary. Wszyscy podpisywaliśmy sobie nawzajem dokumenty jako świadkowie. Nikt z nas nie rozumiał prawniczego języka niemieckiego, ale i tak wszystko podpisaliśmy. Po wyjściu z ratusza uczciliśmy nasze śluby bitwą na śnieżki. Nie spieszyliśmy się do domów, bo nikt na nas nie czekał. W pokojach panowało zimno i nie było nic do jedzenia.

*

W Feldafing mieszkaliśmy około dwóch lat, a potem postanowiliśmy wyjechać do Izraela. Do Hajfy przypłynęliśmy

w kwietniu 1948 roku, tuż przed świętem Paschy. Spotkali nas przyjaciele i zabrali do siebie do domu. Kilka dni później dowiedzieli się, że za szpitalem stoją puste baraki – właściwie nie mieliśmy prawa ich zajmować, ale podpowiedzieli nam, by zatrzymać się tam na początek, a potem znaleźć coś lepszego.

Miejsce było beznadziejne. Nazywało się Bat Galim i leżało nad samym Morzem Śródziemnym, za brytyjskim szpitalem w Hajfie, później nazwanym imieniem Rambama. Morze było tuż obok. Podczas sztormu wysokie fale wściekle uderzały w okna. Za to widok stamtąd zapierał dech. Widzieliśmy, jak wschodzi ognista kula słońca odbijająca się w spokojnym morzu, na którym zarzucali sieci arabscy rybacy w małych łódkach.

Baraki były drewniane; prócz nich stało tam kilka betonowych budynków. Zanim Izrael stał się niepodległym państwem, odpoczywali tam brytyjscy żołnierze, którzy w wolnych chwilach korzystali z kąpieli i pryszniców. Kiedy zaczęli do Izraela przybywać emigranci z Europy, nie starczało dla nich domów, a ich samych także nie było stać na wynajęcie czegoś lepszego. Sowieci, którzy też tam mieszkali, nazwali to miejsce Posiołek.

Wejście do mieszkania zrobiono z kamieni wyrzuconych przez morze podczas sztormów. Nie mieliśmy wody, ubikacji ani światła. Mogliśmy tylko prosić szpital, by pozwolono nam wyprowadzić na zewnątrz rurę z kranem. Dokoła nie było żadnych budynków. Na końcu Posiołka leżało trochę drutów pełniących rolę ogrodzenia, które oddzielało nas od koszar bazy floty wojennej. Odkryli to żołnierze, którzy przeskakiwali przez druty, wymykając się do nas bez pozwolenia przełożonych. Czasem ci, którzy nie palili, sprzedawali swoje papierosy z dziennego przydziału. Kupowaliśmy też od nich ryby, łowione przy pomocy granatów.

Wysłaliśmy do szpitala delegację z prośbą o rzecz do życia niezbędną – wodę. Początkowo nie dostaliśmy zgody, bo rzeczywiście zajmowaliśmy tamto miejsce nielegalnie. Poruszyliśmy w nich jednak czułe struny – wiedzieli przecież, że nie da się żyć bez wody

– i pozwolili nam brać wodę ze szpitala. Powoli wszyscy zaczęli powiększać swoje pomieszczenia. My zrobiliśmy kuchnię, ubikację i prysznic. Podobnie było u kilku innych rodzin. Przyjechaliśmy tuż po wojnie i nie mieliśmy pieniędzy na cywilizowane życie. Wkrótce jednak mężczyznom udało się znaleźć jakąś pracę. Po dwóch latach pewien arabski inżynier pracujący dla Palestine Electricity Corporation zawiadomił nas, że w następnym tygodniu będziemy mieli światło elektryczne. Wreszcie nas zaakceptowano.

Zdawaliśmy sobie sprawę, że Izrael nie był przygotowany na jednoczesne przyjęcie tak wielu ludzi. Poza tym rząd nie darzył nas specjalną sympatią. Ocalonym z okrutnej wojny nie poświęcano zbytniej uwagi. Czuliśmy się jak wyrzutki społeczeństwa, mimo że rozumieliśmy niepewną sytuację Izraela i radziliśmy sobie sami, bez pomocy państwa.

Byli wśród nas inżynierowie, pielęgniarki, muzycy, artyści estradowi, pracownicy opieki społecznej, urzędnicy państwowi i dziennikarze. Pochodziliśmy z różnych krajów, barierą okazał się więc język. A jednak mimo wszelkich różnic potrafiliśmy utrzymywać ze sobą kontakty i żyć w harmonii. Większość przyjechała z Rumunii, ale byli też Polacy, Węgrzy, Egipcjanie i kobiety ze Związku Sowieckiego, które wyszły za mąż za Polaków. Francuzka pracująca w czasie wojny w opiece społecznej, i to w oddziałach francuskich za linią frontu, zorganizowała konkurs na najładniej udekorowany pokój. Urządziłam wszystko w beżach i brązach, postawiłam na stole żółte kwiaty i dostałam pierwszą nagrodę.

Po jakimś czasie Francuzka kupiła mi w prezencie książkę – przekład z rosyjskiego na niemiecki, którym już posługiwałam się swobodnie. Była to powieść z czasów okupacji Francji przez Niemców.

Codziennie rano mężczyźni wychodzili do pracy; na miejscu zostawały kobiety i dzieci. Któregoś dnia nasza sąsiadka Licy rozkrzyczała się tak głośno, że wszystkie wybiegłyśmy, żeby zobaczyć, co się stało. Najwyraźniej chciała zwrócić naszą uwagę;

okazało się, że jedna z kobiet zemdlała i potrzebowała pomocy. Wszystkie zawróciłyśmy do mieszkań i po chwili wypadłyśmy z powrotem: jedna z cytryną, druga z octem, trzecia z kroplami leczniczymi, jeszcze inna z aspiryną i chustką z lodem. A na miejscu Licy wybuchła śmiechem. Był to przejaw typowego rumuńskiego zamiłowania do teatru.

– Chciałam się przekonać, czy naprawdę jesteśmy dobrymi sąsiadkami – powiedziała.

Byłyśmy dobrymi sąsiadkami. Zaproponowałam, że popilnuję dzieci, kiedy mamy pójdą na zakupy. Nie powierzały mi zakupów, sądząc, że nie mam doświadczenia. Byliśmy z mężem najmłodsi w tym gronie. Szanowaliśmy się jednak wszyscy nawzajem i mieliśmy pewność, że zawsze w razie potrzeby możemy liczyć na pomoc.

Kiedyś jedna z sąsiadek zachorowała tak poważnie, że zaprowadziliśmy ją do szpitala, ale nie chciano jej tam przyjąć. Położyliśmy ją na noszach, otworzyliśmy bramę i tak zostawiliśmy. Schowaliśmy się potem za domem, żeby popatrzeć, co się będzie działo. Zabrali ją do środka; leżała tam przez dwa tygodnie. Okazało się, że przeszła załamanie nerwowe. Do dziś pisujemy do siebie. Jej mąż pracował daleko; do domu przyjeżdżał tylko na szabas; mieli dwoje dzieci, starszych niż reszta dzieciaków w Posiołku.

W latach 90. XX wieku byłam w Izraelu i po czterdziestu latach odwiedziłam naszych sąsiadów z tamtych czasów, sprzed wyjazdu. Ktoś podwiózł mnie na miejsce, gdzie kiedyś mieszkaliśmy. Było nie do poznania. Zniknęły mieszkania; zbudowano tam lądowisko dla śmigłowców. Nad samym morzem jest wyznaczone kąpielisko i piaszczysty pas plaży, dobrze utrzymany i strzeżony przez izraelskich żołnierzy. Wpuścili nas tam. Zdjęłam sandały i zanurzyłam stopy w Morzu Śródziemnym.

Argentyna

Po siedmiu latach spędzonych w Izraelu postanowiliśmy przenieść się do Argentyny. Mój kuzyn Benjamin przeprowadził się tam przed wojną, ale przez całe lata nie miałam z nim żadnego kontaktu. 6 marca 1955 roku, razem z mężem i dwójką naszych dzieci – Sonią i Natanem – przybiliśmy do brzegu w Buenos Aires. Sonia urodziła się w 1947 roku, Natan cztery i pół roku później. Płynęliśmy francuskim statkiem *Charles Tellier*. W porcie czekała na nas czteroosobowa delegacja. Przewodniczący żydowskiej organizacji imigranckiej *Soprotimis*, pan Shindelman, jego sekretarz, lekarz i urzędnik pomogli nam przenieść bagaże. Zwierzchnicy gminy zarezerwowali nam miejsca w Hotelu Castro.

Wiedziałam, że w Buenos Aires mieszka mój kuzyn Benjamin. Teresa, córka właściciela hotelu, znalazła jego numer w książce telefonicznej. Zadzwoniła do niego, powiedziała, że jesteśmy w Buenos Aires, i podała adres. Mieszkał wprawdzie niezbyt blisko, ale pojawił się natychmiast. Z Polski wyjechał, kiedy miałam osiem lat, jednak rozpoznałam go dzięki dawnym fotografiom. Przywitaliśmy się, zaprosiłam go na górę i przedstawiłam rodzinie. Rozmawialiśmy przez chwilę, po czym poprosił, bym powtórzyła za nim kilka hiszpańskich słów. Ponieważ zrobiłam to poprawnie, stwierdził, że nauczę się hiszpańskiego błyskawicznie.

Benjamin mieszkał z żoną i dwójką dzieci w rejonie Cabildo. Starsza córka była już mężatką. Zaprosił nas do siebie, wytłu-

maczył, jak mamy tam dotrzeć. Bez trudu znaleźliśmy jego dom. W sobotnie popołudnie zapukaliśmy do drzwi. Otworzyła nam Sofia, żona Benjamina.

– Nie wiecie, że w Argentynie obowiązuje sjesta? – spytała. Przeprosiliśmy, bo rzeczywiście o tym nie wiedzieliśmy.

Od Benjamina dowiedziałam się, że w Buenos Aires mieszka kuzynka mojego ojca, Zelda, a na przedmieściach miasta jej dwaj bracia. Zelda z mężem zaprosili nas na obiad w następnym tygodniu. Jej bracia też gościli nas przy różnych okazjach, ale reakcja ludzi na nas była taka sama jak wszędzie – ocaleni z wojny nikogo specjalnie nie interesowali.

Kilka tygodni później Benjamin i Zelda zaprosili mnie na niesamowity wieczór – pokaz tanga. Publiczność była elegancko ubrana, panowała uroczysta atmosfera. Nie rozumiałam wprawdzie ani słowa po hiszpańsku, ale zakochałam się w tangu. Słowa każdego tanga są opowieścią o miłości, żądzy i zemście. Niektóre piosenki zawierają porady, inne snują filozoficzne rozważania o życiu. Carlos Gardel, człowiek o charakterystycznym, niepowtarzalnym głosie, najbardziej czczony wykonawca tang w Argentynie, zginął w 1935 roku w katastrofie lotniczej nad Medellin w Kolumbii. Do dziś wśród fanatyków tanga ma swoich wielbicieli, a jego portrety wciąż można zobaczyć w autobusach i sklepach.

Za czasów Perona imigrantom wolno było zamieszkać w Buenos Aires dopiero po roku pobytu w innej części kraju. Jako osoby przestrzegające prawa podporządkowaliśmy się tym wizowym wymogom; musieliśmy więc przeprowadzić się na odległość większą niż 100 kilometrów od stolicy. Ktoś ze znajomych podpowiedział nam, by osiedlić się w Bahia Blanca, około sześciuset kilometrów od Buenos Aires. Było to nowoczesne, ładne i czyste miasto. Zamieszkaliśmy w nowym domu z dużym podwórkiem. Natychmiast posiałam kwiaty i warzywa. Córkę przyjęto do drugiej klasy szkoły publicznej. Bardzo szybko nauczycielka wybrała ją do przedstawienia dla uczczenia Święta

Niepodległości Argentyny, które przypada 9 lipca. Sonia chodziła do szkoły dopiero od dwóch miesięcy. Po przedstawieniu usłyszałam: „Mała Niemka nas nie zawiodła". – Ponieważ przed przyjazdem do Izraela mieszkaliśmy w Niemczech, byliśmy uważani za Niemców. Syn chodził do przedszkola. Miał dopiero trzy lata i z jakichś powodów wymawiał „r" tak twardo, jak mówi się w Izraelu. W hiszpańskim „r" brzmi bardziej miękko.

Dostałam pracę jako retuszerka; pracowałam w domu dla znanego studia fotograficznego Foto Garbus. Kupiłam sobie słownik niemiecko-hiszpański i podczas pracy słuchałam radia, a w razie potrzeby zaglądałam do słownika. Dzięki temu mogłam pomagać dzieciom w odrabianiu zadań domowych. Dość szybko nauczyłam się czytać i mówić po hiszpańsku. Mój mąż znalazł pracę w swoim zawodzie, jako stolarz wyrabiający meble artystyczne**.** Żona właściciela domu znała niemiecki. Nie czuliśmy się odizolowani. Mąż przyzwyczajony był do codziennego czytania gazety, musiałam więc co wieczór tłumaczyć mu wiadomości. Kilka miesięcy później zaczęłam kupować „Reader's Digest" po hiszpańsku i pismo dla dzieci – „Billiken". Pani z kiosku pozwalała mi zabierać pisma do domu, nie interesowała się tym, czy mam czym jej zapłacić, czy nie. Sąsiedzi mieli do nas zaufanie i szanowali nas. Mieszkaliśmy w stosunkowo nowej dzielnicy ładnych, małych domków, należących głównie do rodzin marynarzy. Wszystko układało się dobrze; bardzo mi się tam podobało. Zawsze jednak jest jakieś „ale" – w tym przypadku były to silne wiatry, podnoszące z ulicy kurz, który wiecznie wciskał się do oczu i nosa. Poza tym miasto było dość małe; w końcu wróciliśmy więc do Buenos Aires.

Wynajęliśmy mały domek w Olivos, na przedmieściu, niedaleko willi zajmowanej przez urzędującego prezydenta. Od stolicy dzieliło nas dwadzieścia minut drogi, a powietrze było lepsze niż w centrum. Większość tamtejszych mieszkańców stanowili Anglicy, Holendrzy i Niemcy. Pan Garbus przysyłał mi negatywy z Bahia Blanca pocztą. Wkrótce, dzięki ogłoszeniom

w prasie, zaczęłam współpracę z czterema innymi pracowniami fotograficznymi. Dzieci kontynuowały naukę, a i mąż znalazł pracę. Oczywiście do centrum jeździliśmy autobusem. Negatywy odwoziłam w różne miejsca, podróżowałam więc wieloma autobusami.

Pewnego niedzielnego popołudnia usłyszałam dzwonek. Otworzyłam, w drzwiach stała czteroosobowa rodzina. Spytali o mnie. Kobieta powiedziała, że jej nazwisko panieńskie brzmi Kenigstein i że pochodzi z Pruszkowa. Zaprosiłam ich do salonu. Szyłam właśnie zasłony na okna, ponieważ dopiero od kilku tygodni mieszkaliśmy w nowym domu. Zwinęłam materiał i zaprosiłam gości do stołu. Wszyscy żuli gumę. (Później dowiedziałam się od kuzyna, że chcieli zrobić nam przyjemność, bo z racji naszego nazwiska sądzili, że mój mąż jest Amerykaninem). Jak wyjaśniła kobieta, dostali nasz adres od kuzyna Benjamina.

– Chciałam cię poznać – powiedziała – bo bardzo kochałam twojego ojca.

Mówiła z wyraźnie widocznym podnieceniem.

– Twój ojciec był bardzo przystojny. Znałam też twoją matkę.

Rodzina tej pani miała sklep z obuwiem, gdzie czasem i my robiliśmy zakupy. Raz w roku, wiosną, gdy obie z siostrą byłyśmy małe, szewc brał od nas miarę i ręcznie szył dla nas jasnobeżowe pantofelki.

Zaproponowałam gościom kawę, ciasto, coś do picia, ale podziękowali; kobietę pochłaniało wyłącznie to, z czym przyszła. Czułam się tak, jakbym swoją propozycją zakłóciła jej wspomnienia. Siedziała urzeczona, wspominając dzięki mnie swoją młodość. Trwało to tylko tak długo, jak jej potrzeba ożywienia przeszłości. Potem nagle odwróciła się do męża i córek i stwierdziła, że muszą już iść. Podziękowałam jej za wizytę i zaprosiłam, żeby przyszła, ilekroć poczuje tęsknotę za dawnymi czasami. Nigdy więcej ich jednak nie widziałam.

*

W 1965 roku moja córka rozpoczęła studia, a syn naukę w szkole średniej. Kilka lat później Sonia pojechała do Kanady i postanowiła zamieszkać w Toronto. Wyszła za mąż i urodziła córkę, Naomi. W 1980 roku my też wyemigrowaliśmy do Kanady, by być bliżej niej. Byliśmy z nią, gdy nadawano jej tytuł doktora uniwersytetu w Toronto. W 1986 roku rząd kanadyjski ogłosił, że zaprasza imigrantów-profesjonalistów. Dołączyli wtedy do nas syn z synową – oboje architekci, absolwenci uniwersytetu w Buenos Aires – i z dwoma swoimi synami, Jonathanem i Joshuą.

Tęsknię do sąsiadów z Buenos Aires. Byli opiekuńczy i pomocni w potrzebie. Pamiętam, jak ludzie, którzy spotykali znajomych na przystanku autobusowym, pytali, dokąd jadą, i kupowali im bilety. Nie wiem, czy ten zwyczaj wciąż trwa.

Nie zapomnę też pewnego wydarzenia z czasów naszego pobytu w Buenos Aires. Jechaliśmy autobusem i nagle jakaś kobieta, która wysiadała na przystanku, upadła. Była pijana. Podnieśli ją dwaj mężczyźni i zaprowadzili do restauracji, posadzili na krześle i poprosili kelnera o szklankę wody i mocną kawę. Kierowca autobusu nie ruszył z miejsca, dopóki nie upewnił się, że kobiecie nic nie grozi.

Naprawdę bez żadnego trudu przyzwyczailiśmy się do życia w Argentynie. Cztery razy byliśmy tam później z wizytą i do dziś, choć minęło tak wiele lat, wymieniamy listy z żyjącymi tam przyjaciółmi.

Posłowie: Kanada

Życie w Kanadzie stało się dla nas spełnieniem marzeń. Po tylu kłopotach i smutkach Kanada okazała się miejscem wspaniałym, gdzie oddycha się swobodnie. Oboje pracowaliśmy, nasze dzieci i wnuki rozwijały się, studiowały i budowały własne życie. Sonia została profesorem, Natan pracował jako architekt. Wszystkie wnuki też wybrały wolne zawody – mamy prawnika, doktora nauk ścisłych na Harwardzie i doktora psychologii. Któż by pomyślał wtedy, w tych pierwszych, tak trudnych latach, że następne pokolenia tak świetnie ułożą sobie życie? To dar.

Wiersze

Dwanaście lat

Szeroko otwartymi oczami oglądałam świat
Jaki jawił mi się w naiwnym umyśle.
Widziałam odbitą w lustrze
Szczęśliwą buzię z warkoczami z obu stron
I marzenia, w samej głębi duszy
Dziewczynki, która rośnie pod bezchmurnym niebem.
W marynarskim ubranku uszytym przez mamę
I w błyszczących sznurowanych bucikach
Widzę w lustrze odbicie tamtego roku
Mojego niewinnego życia.
Czytałam i pisałam natchniona, samotna.
Nic złego mnie nie spotykało
Nie wiedziałam co to zazdrość i nienawiść.
Mam dwanaście lat i cała kochająca się rodzina jest w domu
Nie mogłam chcieć nic więcej
Niż żeby spełniły się moje marzenia.

W polu, Czerniaków

Na początku byłam szczęśliwa
Zachwycało mnie piękno poranku w polu,
Cudowne lśnienie rosy na trawie,
Wciągana w płuca świeżość znad jeziora.

To co przyszło potem, rzuciło na nas cień,
Uciszyło pieśni, które oczyszczały nasze myśli.
Wtedy w warszawskim getcie
Słabi zazdrościli umierającym chorym.
Jutro było takie samo jak wczoraj.

Pochyleni od świtu do zmierzchu
Gładziliśmy glebę przyjmującą sadzonki
Potem zbieraliśmy owoce cierpliwej ziemi
Krew z moich otwartych ran mieszała się z błotem.
Myślałam o latach dzieciństwa,
Usiłując odtworzyć blaknące marzenia.
Światło duchowe było zbyt słabe
By rozjaśnić ciemne, czarne noce.

Młodość trzymała uczucia na wodzy.
Bezsilność miała gorzki smak.
Niebiosa, ulitujcie się, modliliśmy się,
By jutro nie było za późno.
Przyjdzie dzień sądu!

Dlaczego?

Wczesna wiosna w miejscu
Gdzie kwiaty zapomniały zakwitnąć
Skąd uciekły przerażone ptaki
A gwiazdy zgubiły blask
W powietrzu roznosi się odór śmierci.

Odszedł bez pożegnania,
Taka rozłąka za bardzo boli
A dla mnie szok, kiedy rano
Widzę puste krzesło
Tam gdzie pochylał się nad stołem
Z głową opartą na rękach.

Wczorajszej nocy
Pociąg zabrał go daleko.
Nigdy go nie zobaczę
Rozdarta, zostać czy jechać
Postanawiam zostać i nie ranić tych,
Których porzucił w tym miejscu pozbawionym kwiatów,
Ptaków i świeżości wiosny
Moje źródło rady i miłości
Opuściło to ponure miejsce
Bez pożegnania.

Bohaterom Powstania Warszawskiego

Opuszczamy flagę, by uczcić waszą pamięć
Bohaterowie powstania.
Los przeznaczył wam wzniosłość
Nie żyliście na darmo.

Pamiętamy was i opłakujemy.
Iskra nadziei na spełnienie waszych ideałów
Rozbłysła i wybuchła.
Byliście gotowi,
Pozostaliście do końca.

Pamiętamy was i opłakujemy.

Jak żołnierze
Walczyliście o wolność
Z myślą o sprawiedliwości
I straciliście życie.

Pamiętamy was i opłakujemy.

Bohaterowie nie odpoczywają, nawet po śmierci,
Bo pielęgnujemy pamięć o nich
I pilnujemy wiecznego ognia.

Nie zginęliście na próżno.

Pamiętamy was, składamy hołd i opłakujemy.

Blask, który znikł

Fale rytmicznie poruszają muszlą
Jak delikatna dłoń matki kołysząca moją kołyskę,
Mój świat jest w muszli. Zamknięta,
Wybieram izolację, zostawiając za sobą
Wspaniałe obietnice młodości,
Piękno spokojnego świata.

Idę, pokonana, szukając śladu życia.
Bezgwiezdne, ciemne niebo myli mi drogę,
W pamięci miałam nieuchwytną przeszłość.

Przepadły jak blask gwiazd,
Jak pochłonięte przez ziemię
Szczęśliwe, bijące serca,
Słodycz głosów,
Otwarte, uśmiechnięte wargi,
Które uciszył ryk bestii.
Ponure wspomnienia zewnętrznego świata.

Jestem zagubiona.
Zwinięta w muszli na brzegu morza,
To jest teraz mój świat.
Opuszczona, samotna.

Labirynt pamięci

W tajemniczym labiryncie pamięci
Istnieję, oddycham mimo tragedii,
Która odcięła moje korzenie i zabrała,
Oddzielone czasem i przestrzenią,
Daleko, aż ich obrazy
Zaczynają znikać z ekranu moich myśli.

W tajemniczym labiryncie pamięci
Każdego dnia usiłuję przywołać ich drogie twarze,
Znikają, nie wszystkie naraz, ale powoli i boleśnie.
Moje serce rozpacza,
Ale życie płynie dalej… istnieję.

W tajemniczym labiryncie pamięci
Nie można odtworzyć ich kształtów.
Wszyscy blakną…
Jakże męczące i beznadziejne
Jest chwytanie tego, co pozostało z przeszłości.
Złość ani wywrotowe myśli nie pomagają.
W ustach czuję gorycz.
Żyję. W moich myślach oni są zawsze.

Wina

Żal za umarłymi zmienił się w poczucie winy.
Stoję niespokojna i zastanawiam się,
Gardło mam ściśnięte
Jak zapieczętowana baryłka prochu
Gotowa do eksplozji. Pamiętaj!

Pamięć, jak klątwa zacumowała we mnie.
Czy ten ból zostanie na zawsze?
Przerażona, widzę tylko proch
Tylko tyle zostaje z czarnego huku.
Refleksja – czy życie jest zyskiem?
Nadzieja uleciała, ale przeszłość wciąż pozostaje.
Moja dusza wyje z rozpaczy.
Uraza staje się ciężkim kamieniem
Ciężar smutku trudno dźwigać samemu.
Wolność jest tylko złudzeniem.

Mam wyrzuty sumienia, że przeżyłam.
To moja wina.
Rozwścieczona, zadaję okrutne pytanie:
Gdzie będzie mój dom?

Pomnik

Nie przechodź obojętnie! Podnieś wzrok
Na zbudowany dla nas pomnik.
Zobaczysz ręce uniesione
Jak płomienie,
Które wymyślił rzeźbiarz,
By zilustrować grozę…

Usłyszysz nasze głosy,
Gdy po raz ostatni
Wołamy o litość.
Nie spoczywamy jak zmarli
W innych miejscach.
Tu nie jest cicho.

Chcemy, by zostały w twej pamięci
Nasze twarze;
A nie języki ognia,
Bo do ostatniej chwili
Myśleliśmy o miłości do was.

Byliśmy w krainie ciemności,
Gdzie dzwony biły z żalu, że odchodzimy.
Nasze dusze są wciąż pełne bólu
I smutku palącego jak płomień.
Od tamtej chwili wołamy o sprawiedliwość
I wiemy, kto zawinił.

Słuchaj naszego lamentu,
Nie powstrzymuj łez.

Podnieś wzrok i módl się,
By ten koszmar nigdy już nie wrócił.

Z każdym ruchem dłoni rzeźbiarza
Nasze wzniesione ramiona przybierają kształt płomieni.
Kryjemy się też za chmurami
Ponad pomnikiem zbudowanym dla nas.
Niespokojni, płaczemy nad swoim losem
Póki nie przypomnisz sobie, by podnieść oczy.
Nie przechodź obojętnie! Nie odwracaj wzroku!

Czas

Ulecz moje rany, czasie,
Tylko ty
Potrafisz to zrobić.
Spraw, bym zapomniała przeszłość,
Utratę miłości,
Cierpienie samotności.

Ulecz moje serce
I mój zagubiony umysł.
Krzyczę głośno, bo cierpię.
W zranionej dumie
Szukając ciepła,
Uświadamiam sobie hipokryzję.

Ulecz mnie!
Wciąż boję się uprzedzeń,
Które tak bardzo mnie ranią.
Napełnij mnie nadzieją.
Wymaż złe wspomnienia.

Otocz mnie magią, Czasie,
Który leczysz wszystkie rany.
Zabierz ode mnie melancholię.
Ulecz mnie!
Ulecz moje rany!
Tylko ty potrafisz to zrobić.

Mojej Matce, Ojcu i Siostrze

Wasze dusze przekraczają czas i przestrzeń,
By ukoić mój niepokój, by skrócić
Dystans kiedy marzę by zobaczyć
Wasze imiona wyryte w czarnym granicie.

Tylko dusze pobudzane miłością
Mogą pokonywać oceany,
Lasy i granice by spocząć tam gdzie mogę dotknąć
Waszych imion wyrytych w czarnym granicie.

Tu mieszkają wasze dusze po podróży,
By być blisko, tam gdzie mogę kłaść kwiaty
I rzucić okiem na widoczne niżej
Wasze imiona wyryte w czarnym granicie.

Słyszałam fanfary sławiące wasze przyjście,
Które już przeczuwałam.
Ze łzami w oczach i głębokim westchnieniem
Zrealizowałam swoje pragnienie, by was powitać
W tym skromnym domu, gdzie zostaniecie na zawsze,
W czarnym granicie.

Nie na próżno więc moja miłość i pamięć o was
Znosiła pełne niepokoju oczekiwanie
Aż zdołam uczcić wasze imiona
Wyryte w czarnym granicie.

Słowniczek

Amchu (hebr., skrót od Amcha Beis Yisroel, twój naród, lud Izraela); słowo używane w latach wojny i zaraz po niej jako „kod" pozwalający rozpoznać się w Polsce Żydom mówiącym w jidysz. Żydzi mogli zadawać sobie pytanie „Amchu"?, nie ujawniając swojej tożsamości. Rozumieli to ludzie zaznajomieni z żydowską terminologią religijną i odpowiadali właściwie; dla kogoś, kto nie był Żydem, „Amchu" po prostu nie znaczyło nic.

Amerykańsko-Żydowski Połączony Komitet Rozdzielczy (American Jewish Joint Distribution Committee, JDC), nazywany też „Joint". Organizacja charytatywna udzielająca wsparcia materialnego Żydom prześladowanym w Niemczech i na terytoriach okupowanych przez nazistów, ułatwiająca im emigrację do krajów neutralnych, takich jak Portugalia, Turcja i Chiny. W latach 1939–1944 JDC pomógł blisko 81 000 europejskich Żydów znaleźć schronienie w różnych stronach świata. W latach 1944 –1947 ponad 100 000 uchodźców żyjących w obozach dla tzw. dipisów[1] skorzystało dzięki JDC z programów zdobywania nowych kwalifikacji, z działań kulturalnych i z finansowej pomocy umożliwiającej emigrację.

Beit Jakow (hebr.), dosł. dom Jakuba; ruch założony w 1917 roku w Polsce przez krawcową Sarę Szenirer (1883–1935) z myślą o zapewnieniu wykształcenia dziewczętom z ortodoksyjnych rodzin żydowskich.

Blockälteste (niem.), blokowy, wyznaczony przez niemieckie władze więzień funkcyjny, odpowiadał za utrzymanie porządku w baraku, przysługiwały mu pewne przywileje.

[1] Dipis, ang. *displaced person*, w odniesieniu do drugiej wojny światowej osoby, które po wyzwoleniu znalazły się poza obszarem swojego kraju, np. robotnicy przymusowi, więźniowie obozów (przyp. red.).

chalucim (hebr.), pionierzy; imigranci, którzy przybyli na tereny, na których później powstało państwo Izrael. Przygotowywali ziemię, sadzili drzewa, osuszali błota, by stworzyć miejsca osadnictwa i zbudować samowystarczalne wspólnoty. *Chalucim* kojarzeni są przede wszystkim z tzw. trzecią aliją (1919–1923), falą imigracji po I wojnie światowej, i z ustanowieniem Brytyjskiego Mandatu Palestyny. Mianem *chalucim* określano też w młodzieżowych ruchach syjonistycznych w innych krajach tych członków, którzy zamierzali emigrować do Palestyny.

chewra (hebr.), grupa towarzyska lub wspólnota. Także przyjaciel albo towarzysz.

cheder (hebr., dosł. pokój), ortodoksyjna żydowska szkoła podstawowa ucząca podstaw żydowskich praktyk religijnych oraz analiz tekstów a także języka hebrajskiego.

Chujowa Górka, wzgórze w pobliżu obozu pracy w Płaszowie, wykorzystywane jako masowy grób więźniów. Wiosną 1944 roku zbocze wzgórza zostało przekopane, a ekshumowane szczątki spalono w krematorium, by zniszczyć dowody pochowania tam ponad 10 000 ciał.

Dror (hebr. wolność), świecki młodzieżowy ruch syjonistyczny wywodzący się z Rosji, a w Polsce założony w 1915 r. Do lat 30. XX wieku Dror koncentrował się w Warszawie i stopniowo rozprzestrzeniał się na inne wspólnoty w Europie Wschodniej i Ameryce Południowej. W warszawskim getcie Dror zorganizował grupę przygotowującą do życia w kibucu; wielu jej członków zaangażowało się w działania konspiracyjne i walczyło w powstaniu w getcie warszawskim. W 1982 roku Dror, wciąż istniejący, połączył się z Habonim Union tworząc Habonim Dror.

hachszara (hebr. dosł. przygotowania), program szkoleń przygotowujących kandydatów na imigrantów do życia na ziemi Izraela.

Haszomer Hacair (hebr.), Młody Strażnik. Lewicowy, syjonistyczny ruch młodzieżowy założony w Europie Środkowej na początku XX wieku, nastawiony na przygotowywanie młodych Żydów do pracy w fabrykach i na roli, do zakładania kibuców – spółdzielczych gospodarstw – na terenach, na których później powstało państwo Izrael i do pionierskiego zagospodarowywania ziemi. Przed II wojną światową ruch liczył 70 000 członków na całym świecie; wielu z żyjących na terytoriach okupowanych przez Niemców zaangażowało się w działania konspiracyjne w gettach i obozach koncentracyjnych albo wstąpiło do oddziałów partyzanckich walczących w lasach środkowej i wschodniej Europy. W warszawskim getcie członkowie Haszomer Hacair zorganizowali konspiracyjne kształcenie; walczyli też w powstaniu. Jest to najstarszy z istniejących do dziś syjonistycznych ruchów młodzieżowych.

jidysz, język powstały na bazie dialektu średnio-wysokoniemieckiego, z elementami hebrajskiego, aramejskiego, języków romańskich i słowiańskich; zapisywany alfabetem hebrajskim. Mówili nim Żydzi z Europy Środkowo-Wschodniej przez tysiąc lat – od X wieku do połowy wieku XX; wśród europejskich Żydów był to aż do wybuchu II wojny światowej najbardziej rozpowszechniony język.

kibuc (hebr.), spółdzielcze gospodarstwo lub osada w Izraelu, zarządzana demokratycznie przez członków. W środowiskach niektórych syjonistycznych ruchów młodzieżowych w Polsce określano w ten sposób również ugrupowania, które czuły się związane z Palestyną, choć tam jeszcze nie mieszkały. Ich członkowie przechodzili „szkolenia kibucowe"; niektórzy

uczestniczyli w zajęciach przygotowujących do wyjazdu na tereny Brytyjskiego Mandatu Palestyny.

koszerne (z hebr.), dozwolone, dopuszczone do spożywania, zgodnie z przepisami prawa żydowskiego. Żydzi przestrzegający prawa stosują się do reguł koszerności, określających, co wolno jeść, w jaki sposób należy przygotowywać pokarmy i jak dokonywać uboju zwierząt i drobiu. Żywność uznana za przygotowaną zgodnie z obowiązującymi zasadami jest koszerna. Niektóre pokarmy, zwłaszcza z mięsa wieprzowego i owoców morza, są zabronione.

kwuca, grupa; także pionierzy, którzy osiedlali się w Izraelu w okresie przedpaństwowym.

madrich (hebr.), przywódca, przewodnik.

Oneg Szabat (hebr.), radość szabatu. Spotkanie towarzyskie, które odbywa się w piątkowy wieczór lub w sobotę dla świętowania szabatu, często połączone ze wspólnym śpiewaniem i dyskusją.

ORT (Organizacja Rozwoju Twórczości Przemysłowej, Rzemieślniczej i Rolniczej wśród Ludności Żydowskiej), system szkolnictwa zawodowego, założony w Rosji w 1880 r. przez Żydów dla Żydów.

Purim (hebr., dosł. losy), święto upamiętniające uchronienie Żydów od zagłady w Persji. Historia opowiada o doradcy króla perskiego Hamanie, który postanowił wymordować Żydów. O jego planach dowiedziała się jednak królowa Estera i jej przybrany ojciec Mordechaj i to oni przekonali króla, by Żydów uratował. Uczestnicy obchodów święta Purim przebierają się za postacie z tej opowieści; odbywa się czytanie Księgi Estery i parady.

Rosz Haszana (hebr.), Nowy Rok. Jesienne święto rozpoczynające żydowski rok i otwierające Jamim Noraim. Tego dnia na zakończenie modlitw w synagodze dmie się w szofar (róg barana). Później następuje zwykle rodzinny obiad, podczas którego podaje się słodkie potrawy, takie jak jabłka z miodem symbolizujące słodki nowy rok.

Szabat (hebr. šabbat, jidysz szabas szabes), cotygodniowy dzień odpoczynku trwający od zmierzchu w piątek do zachodu słońca w sobotę. Rozpoczyna się zapaleniem świec w piątkowy wieczór i odmówieniem błogosławieństw nad winem i chałką. Jest to dzień świętowania i modlitwy; zazwyczaj w szabat jada się trzy posiłki, uczestniczy w nabożeństwie w synagodze i powstrzymuje od pracy i podróżowania.

Szema Jisrael (hebr. Słuchaj, Izraelu), nazwa i pierwsze słowa jednej z najważniejszych modlitw w judaizmie. Słowa: „Słuchaj, Izraelu, Wiekuisty jest naszym Bogiem, Wiekuisty jest jedyny!" odnoszą się do wiary i wierności jedynemu Bogu, co stanowi esencję judaizmu. Modlitwa „Szema" obejmuje trzy fragmenty Tory; pobożni Żydzi odmawiają ją dwa razy dziennie, rano i wieczorem.

szmira (hebr.), piecza, ochrona.

Simchat Tora (hebr. Radość Tory), święto kończące coroczny cykl czytania Tory i rozpoczynające nowe czytanie. W tym dniu Żydzi w synagogach tańczą ze zwojami Tory.

Soprotimis, skrót od: Sociedad de Protección a los Immigrantes Israelites, Stowarzyszenie Ochrony Imigrantów Żydowskich. Organizacja utworzona w roku 1922 w celu ułatwienia imigrantom osiedlania się w Argentynie; udzielała pomocy prawnej, socjalnej i finansowej.

Żydowska Organizacja Bojowa (ŻOB), konspiracyjna organizacja powołana w warszawskim getcie w 1942 roku, złożona z członków młodzieżowych ruchów Dror, Haszomer Hacair, Hechaluc i Bnei Akiva. Utrzymywała łączność z innymi konspiracyjnymi ugrupowaniami w gettach okupowanej Polski i z polskim podziemiem, gromadziła broń i organizowała zbrojny opór przeciw Niemcom. Pierwsza akcja zbrojna ŻOB, z 18 stycznia 1943 roku, przerwała wywózki z getta; później, 19 kwietnia 1943 roku, wobec planowanych deportacji, organizacja wywołała powstanie w getcie warszawskim, największy akt oporu w czasach Holokaustu.

Spis treści

Wstęp od wydawcy polskiego 5

Ku pamięci matki mego ojca, Ity–Baili Litman Synalewicz ... 11
Na Dzień Pamięci 13

Przedmowa autorki 15
Historia mówiona 19
Moja Polska 27
Ryzyko i niepewność 43
Wrzesień 1939 59
Z getta do getta 65
Czerniaków 73
Szukając szansy 93
Żyjąc w kłamstwie 111
Współpraca z podziemiem 119
Życie z babcią 131
Zdradzona 149
Z Płaszowa do Skarżyska-Kamiennej 159
Tak blisko, a tak daleko 175
Wkracza przeznaczenie 185
Nowi opiekunowie 199
Z powrotem w Polsce 207
Podróże 213
Argentyna 217
Posłowie: Kanada 223

Wiersze 227

Słowniczek 239